



Jestem nabyta przez Stowarzyszenie kolejowe
„OGNISKO“ w Białymstoku.

„Ognisko” jest instytucją społeczną i kulturalną.

Zatem ja jestem własnością społeczeństwa. Dowód kultury da ten czytelnik, który mnie będzie szanował. Nie plam mnie, nie drzyj, nie kreśl, nie pisz, gdyż tem czynisz krzywdę społeczeństwu. Przetrzymując mnie zbyt długo, również krzywdzisz bliźnich. Po przeczytaniu, zwróć mię taką jaką otrzymałeś z czytelnika. Szanując mnie zasłużysz na szacunek dla siebie. Pamiętaj kto nie szanuje cudzego nigdy nie wart swego.

OBRAZKI I NOWELLE.



Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Мая 1900 года.



885.4 - 3M.2

R. 614
14/12.45w.



MACIEJ BENCUR.

(Pseudonim Marcin Kukuczyn.)

Bencur, jeden z najwybitniejszych nowelistów słowackich doby współczesnej, syn wieśniaka, urodził się w Jasenowej na Orawie r. 1860. Nie mogąc, dla braku środków, ukończyć studyów gimnazjalnych, przeszedł do seminarium i po odbyciu w niem kursów został nauczycielem ludowym w miejscu rodzinnem. Dopiero po kilku latach mozolnej pracy pedagogicznej, która dała mu wyborną sposobność gruntownego poznania ludu, złożywszy egzamin dojrzałości, wstąpił na wydział lekarski w Pradze. Po otrzymaniu dyplomu, Bencur osiadł jako lekarz w Dalmacyi. Aż do tej chwili życie jego było szeregim ustawicznych borykań się z nędzą. Walka ta wszakże nietylko nie obezwładniła go i nie złamała, lecz owszem, wyrobiła w młodzieńcu tężyznę charakteru, hart woli, niezakłócony spokój ducha i dziwną pogodę umysłu, która stanowi cechę znamiennej twórczości literackiej Bencura. Nauczony w walce z życiem pokonywać wszelkie przeciwności i ufać we

własne siły, Bencur nie uległ pesymizmowi beznadziejnemu i goryczy, którą zatruli siebie i ziomek inni pisarze słowaccy, wszczępieni w dolę niešťczęsną swego narodu, gnębionego i poniewieranego przez Madziarów.

Wystąpiwszy na arenę literacką około r. 1880, t. j. wówczas, gdy ucisk madziarski na Słowaczzynie dosięgnął szczytu okrucieństwa i bezwzględności, Bencur wniósł odrazu do literatury ojczystej świeże tchnienie talentu, lubującego się przeważnie w obrazach jasnych, pogodnych, które orzeźwiały serca, budząc w nich nadzieję lepszej przyszłości. W swoich szkicach humorystyczno-sielankowych Bencur nie żali się, nie kwili i nie rozpacza, lecz wydobywając z duszy Słowaka ukryte w niej skarby charakteru, budzi w rodakach swoich przecucie siły własnej i to niezłomne przekonanie, że jasne jutro i wyzwolenie z pod jarzma niedoli będzie udziałem tych tylko, którzy zachowają odporność ducha i żywotność sił narodowych. To też idea zwycięstwa, przenikająca wszystkie utwory Bencura, tłómaczy wyjątkową ich popularność wśród Słowaków.

Bohaterem tych utworów jest prawie wyłącznie lud wiejski, z całą galeryą typów, wprost z życia wziętych. Proboszcz katolicki lub pastor, organista i nauczyciel, szewc lub krawiec, pastuch, młynarz, gajowy, cygan, żebrak, gazda spanoszony lub włóścianin starej daty i t. p., oto postacie, które Bencur odtwarza w swych obrazkach z całą prawdą życiową i plastyką na tle takich skromnych wydarzeń wiejskich, jak: wesela, chrzciny, wybory i t. p. Do-

dać wreszcie trzeba, że język Bencura jest wszędzie jasny, prosty, wolny od wszelkiej sztuczności i przesady, oraz, że kompozycja, przeważnie dość zaniedbana, nadaje utworom jego cechę materiału raczej, fragmentów, niżeli prac artystycznych w ścisłem znaczeniu tego słowa. Bencur, pragnąc przede wszystkim, żeby utwory jego były przez lud czytane, rozumiane, unikał kunsztowności w opracowaniu swych nowelek, dzięki czemu zdobyły one olbrzymią popularność wśród Słowaków. Bencur napisał przeszło 50 nowel i obrazków, z wyjątkiem dwóch p. t. „Nierozbudzony“ i „O Michale“, które drukowane były w „Słowenskich Besiedkach“, powiastki p. t.: „Dies irae“, wydanej oddzielnie, i kilku drobnych utworów, pomieszczonych w kalendarzach, wszystkie utwory swoje drukował Bencur w miesięczniku „Slovenske Pohlady“. Tu więc wyszły: „Maj“, „Pan Majster Obszywał“ (1883), „Wielką łyżką“ (1886), „Visitatio canonica“ (1887), „Cienie i światła“ (1887), „Romans wiejski“ (1891), „Kuleje — ani słowa“ (1891), „Do szkoły“ (1893), „Szczodry dzień“ (1897) i wiele innych.

Brak zbiorowego wydania prac Bencura w części tylko zastępuje rozpoczęte w r. b. w Węgierskiej Skalicy tanie, zeszytowe i wyłącznie dla ludu przeznaczone wydawnictwo powiastek utalentowanego pisarza.

Dr. Wawrzyniec Szrobar.

Praga czeska,
w kwietniu 1899 r.

Nierozbudzony.

I.

Na ziemi leży Jędrzej Machuła, gęsiarz lenowiecki. Nie żeby był zabity lub zraniony — wylega się na pastwisku, bo nie ma roboty. Ciało jego—bezwładna masa, śladów życia nie zdradzają nawet nogi, ustawione w kozły, choćby przez powtarzające się uderzenia kolanem o kolano. Nie dba nawet o muchy, które na niego bezwstydnie nacierają i po twarzy się pasą. Tak mu się nadał odpoczynek w czas dusznego upału: nie spojrzalby ani na pół Lenowca, za przerwanie swej wygody. Używa jej nie nieświadomie, ale jak smakosz pożądliwie. Przed zamrużowaniem oczyma tworzy mu się najpierw mały, czarny punkt, który rośnie, nabiera barw i rozszerza się we wszystkich kierunkach. Jeden ruch oka wystarcza, aby zjawisko pierzchło, ale wnet znów rość zaczyna i znów ginie. Jędrzej marzy! Ktoby mu nie zazdrościł? Nie troszczy się o żonę, o dzieci, o majątek, o dom, o gospodarstwo—o nic. Jest mu tak dobrze, jak w raj.

Jest gęsiarzem (po słowacku: „husarem“), ale nie widać konia, żeby się pał obok niego, ani uniformu, żeby zakrył niedostatki, które pochodzą od matki przyrody. Zamiast tego, widać na boku rozlezione jego gęsi, w większych i mniejszych gromadkach. Gęsia republika nie chce gęsiarza uznać za swego przełożonego pana, chyba wtedy, kiedy musi.

No, a on zaprawdę ani o tem pomyśli, aby im miał swą wolę narzucać; kosztowałoby go to wiele pracy, a skutek byłby żaden. Zawrócone gęsi za krótki „Ojciec Nasz“ rozlazłyby się znów po całym pastwisku, a gęsiarz musiałby je znów zawracać.

Dobrze tedy robi, że się wylega, bo to jest i tak jedyny przywilej jego stanu. Dość się natłucze po domach tu i tam, gdy jest w polu, przynajmniej teraz niech sobie wygodzi. We wsi popychają go z kąta w kąt, wszystkim zawadza. Tu w polu nie zawadza nikomu, chyba może tej trawie, na której leży, bo jej zabiera światło. No, do jesieni — mój Boże — jeszcze się jej i ta strata wróci.

Jędrzej Machula to zaprawdę biedny twór Boży. Kto tylko na niego spojrzy, musi go żałować. Zda się, jakby Stwórca chciał wzbudzić w ludziach podziw, gdy go obsypał wszystkimi niedostatkami. Głowa wielka, pokryta włosiem ostrym, który swoją niepodatnością podobny jest raczej do zwierzęcej sierści. Czoło niskie, oczy nadzwyczaj małe, kości policzkowe wypukłe, nos rozplaszczony jak ogórek, a usta szerokie. Postawa mała, nierozwinięta, przygarbiona. Kiedy idzie, ręce mu się naprzód pelętają jak cepy, cały człowiek mało ma podobieństwa do człowieka. Ludzie patrzą na niego ze współczuciem, a z prawdziwą delikatnością obchodzą się z nim, jak z małym dzieckiem. Ale on sam nie ma się za niedołęgę, zadowolony jest z siebie, nigdy nie wyrzeka na swój los i biedę. Ba, zdaje się nawet, że sam się uważa za przystojnego, bo często staje na brzegu moczaru i z próżnością patrzy w nieczyste jego głębie. Smak ma, umie rozemnać piękne od brzydkiego, no, ale o swojej osobie sądzi z uprzedzeniem. Wszak jest człowiekiem...

Rodzicami jego byli bardzo uczciwi lenowieccy gospodarstwo. Każdy ich lubił, jako dobrych, zgodnych ludzi. Nikt nawet złego słowa o nich nie powiedział. To też żalowano ich bardzo, gdy się im ten

syn, Jędrzej, narodził. We wsi zaczęto szeptać, że go im boginka wymieniła za piękne, udatne dziecię. Inni wytykali położnicy, że niepotrzebnie na owym jarmarku patrzyła się na malpę...

Machula rozpaczał, bo jego żona omal życiem nie zapłaciła widoku własnego dziecięcia. Biedaczka w końcu poddała się z pokorą woli Bożej i z tem większą miłością przygarnęła do serca swe dziecię. Bardziej je miłowała takim, niż gdyby było się urodziło podług jej marzeń.

Tem więcej jednak nie przypadło do serca ojcu. Ten nie mógł na nie ani spojrzeć. Za każdym razem zamierało w nim serce, trapił go ból palący. Często siedział zadumany za stołem, oparłszy głowę na dłoń, a twarz jego była zachmurzona złemi myślami i rozpaczą. Żona nie ośmieliła się go zapytać, co mu jest; dobrze wiedziała, co go dręczy. Raz przecież przemówiła do niego:

— Jasiu, nie martw się nic. To była wola Boża.

Spojrzął na nią tępo, a do jego głosu wmieszał się i ton gniewu, którego żona jeszcze nigdy z jego strony nie uczuła. Z tajonym bólem wykrzyknął:

— Jakżebym się nie martwił, kiedy mam nie dziecię, ale... Ot, co — machnął ręką — to przecież nie dziecię. Wszyscy ludzie śmieją się ze mnie, w oczach im to widać, jak się radują z mojego nieszczęścia. Dobrze, że mi serce nie pęknie. Cieszą się za moimi plecami, myślą, że ja nie widzę dalej nad nos własny!

— Ależ nikt się z ciebie nie śmieje, nie! Przecież nie są poganami, aby się z twojego nieszczęścia śmieli.

Jan wybuchnął śmiechem rozpaczliwym:

— Ha, ha, ha! Pewnie, nie śmieje! Tobie to dobrze mówić „nie śmieje“, skoro się ani na świat nie pokażesz. Nie śmieje! Gdybyś poszła tylko w pole, jak ja, albo do kowala; naprawdę, widziała-

byś, jak się to nie śmieją. A dlaczegożby się nie miał śmiać ojciec, co ma piękne dziecko, z ojca, co ma dziwolągą! Boże! gdybym ja miał dziecko, jakiegom pragnął! Ach!...

Bolesny jęk jego przeniknął całą duszę żony. Zebrała siły, podeszła ku niemu; znała go jako dobre, miękie serce, przystępne mądrymu, przychylnemu słowu.

— Widzisz, ja go i tak mam rada; przecież to jest stworzenie Boskie. I ty przywykniesz do niego, najciężej je tylko wziąć na ręce. Jasiu, spróbuj... przecieżeś mu ojciec...

— Nie, Zuzko, nie! Idź, nie potrafię. Widzi Bóg i ludzie, nie mogę. Ledwo o niem pomyśle, a już mi mało serce nie pęknie. Jakżebym je mógł wziąć na ręce? Byłoby lepiej, gdyby go wcale nie było.

Zuzka osłupiała, serce jej ścisnęło się z bólu. Gwałtownym mocnym głosem napominała go:

— Nie wyzywaj, Jaśku, Pana Boga! Dotądśmy same dobre rzeczy mieli od Niego, a dla jednej złej mielibyśmy się już buntować? Nie, co na nas dopuścił, będziemy znosić cierpliwie.

— Wszystkie te dobre rzeczy sto razybym oddał, gdyby się to nie było stało, sto razy! Cóż mi ze wszystkiego, że mam tego dość, skoro nie mam tego komu pozostawić?

— No, nam ludziom nigdy nie wygodzi. Gdyby ci się teraz spełniło życzenie, a za to gdyby ci Bóg zabrał dom, pole, łąki, dobytek, żywność, zdrowie; powiedz, czybyś znów się nie buntował, że ci z pięknego syna nic, kiedy mu nie masz co zostawić. Ja wiem, żebyś znów sobie życzył, aby ci wszystko przywrócił, a syn, aby był jak dzisiaj. Ludzie patrzą zawsze tylko za tem, czego nie mają. Tego, co mają, nie cenią ani tyle, co ziarno maku.

Jan był pokonany, nie umiał odpowiedzieć ani słowa. Czuł, że żona ma świętą prawdę i że odgadła na włos, co się w nim dzieje. Ale właśnie to mu

dokuczyło do ostatniego. Nie mógł znieść na tym punkcie pouczenia od żony; do boleści przyłączyła się i duma jego, przez nią dotknięta. Oko błędziło niespokojnie po izbie, przybrało wyraz nieugiętości. Trzasnął drzwiami i wzruszony, rozgniewany wyszedł.

W karczmie szukał ulgi po raz pierwszy.

Już była noc ciemna, kiedy się do domu przyszlapał. Żona własnym oczom nie wierzyła, żeby to było możliwe, przecież to nie on, nie jej Janek. Z przytłumionym oddechem śledziła każdy krok jego. Ale on nie troszczył się ani o żonę, ani o nikogo. Zmęczony rzucił się na ławkę za stołem i mrucał coś niezrozumiałego przez zęby. Przewracał się na swoim miejscu, ale pożądaný sen nie przychodził. Dziecię w płachcie poruszało się i zaczęło płakać. Matka skoczyła natychmiast do niego i starała się je uspokoić.

— No, czegoż nie śpisz? Leż a śpij! Niech się drze, jak chce i do rana...

— Połóż się i ty Jasiu. Już noc późna.

— Ja? O, nie... spać mi się nie chce, tu mi dobrze. Daj mi pokój... oj, pokój.

Ostatnie słowa wymówił już napół senny. Jedną nogą stał jeszcze na jawie, druga kroczyła już po tajnikach państwa, wymarzonego przez rozbująłą wyobraźnię. Jakby się z niego wyśmiewać chciała, podniecona nieszczęściem rodzinnem i wypitym trunkiem, roztaczała przed nim słodkie złudzenia, w których coraz więcej tracił świadomość. Z pięknych snów wyrwał go krzyk dziecka, które właśnie dzisiaj spało niespokojnie. Jan skoczył na równe nogi i podszedł ku żonie. Szeptał jej do ucha coś straszego. Ona ze strachem krzyknęła:

— Na Boga! Jaśku! Idź... idź! Nie podnoś ręki na ten drobiazg!...

Jan podniósł dziecko z płachty i trzymał je w rękach, ale nie patrzył na nie z miłością. Jego twarz

była surowa i wyrażała raczej gorycz i cierpienie. Matka, przeczuwając nieszczęście, skoczyła do niego i z rąk mu je wyrwała. Zatoczył się aż do stołu, patrząc na nią z podziwem; ona zaś jak była napół ubrana i bosa uciekła z dzieckiem do starszej siostry.

Jan przewrócił się na ławę i spał aż do dnia białego. Gdy się zbudził, nie czuł głowy na karku, zupełnie o niczem nie pamiętał, ale nieobecność żony i próżna płachta, zawieszona pod powałą, popchnęły myśli jego w rzeczywiste koleje. Było mu żal i żony i dziecięcia; zapłakał nad rzeczywistością, ale żalując, nie poszedł przecież po żonę, aby ją zawołać napowrót do chaty. Sam nie wiedział co, ale coś mu broniło. Został sam. Nie miał mu ani kto uwarzyć, ani posprzątać, smutno mu było w domu! Przytknął drzwi i poszedł się pocieszyć tam, gdzie był wczoraj.

Tak trwało rok — dwa. Jan przywykł do takiego życia; więcej bywał w karczmie, niż w domu. Stracił i ten niewielki majątek, który mu ojciec pozostawił; nie potrzebował się troszczyć, komu to po swej śmierci pozostawi. We wsi nie miał gdzie skłonić głowy; przed zimą schronił się do gorzelni. Tam dostanie tego „pokrzepienia,” ile tylko jego dusza zapragnie. Na wiosnę opuścił i gorzelnię; nie zostało po nim ani słychu, ani dychu. Będzie prawdopodobnie w Peszcie i tam się gdzie poniewiera, jeżeli mu gorzałka jeszcze nie dała spoczynku.

Zuzka zamieszkała u siostry. Kiedy podchowała dziecko, chodziła na zarobki. Ale całe jej życie było już zatrute; dla niej, wzgardzonej żony i matki. Unikała ludzi, o ile tylko mogła; widziała i tam urazę, gdzie jej nie było. Ostatecznie śmierć uwolniła ją od wszelkich kłopotów żywota. Chłopiec został pod opieką ciotki.

A nie miał u niej biedy. Po macierzyńsku starała się o niego i do szkoły go posyłała. Chłopiec

dobrze się uczył; było na nim widać, że przecież i w tem brzydkim ciele siedzi dusza, dusza taka, jak u drugich. Było to wielką pociechą dla stroskanej ciotki, a nawet i zapłata.

II.

Jędrak ma już dwadzieścia lat, a nawet i więcej; nadzieja ciotki, którą jeszcze od jego dzieciństwa żywiła, że dalszy rozwój naprawi braki wrodzone, nie spełniła się. Wady jego nietylko się nie zmniejszały, ale z roku na rok wyraźniej na jaw występowały. Jego ciało było bardzo słabe, do innej pracy, prócz paszenia gęsi, niezdatne. Rozsądek daleko pozostał po za wiekiem, tylko pamięć, a zwłaszcza wyobraźnia, rozwijały się i to na szkodę wrodzonego rozsądku i rozumu. Jeśli o czem sąd wyda, zawsze to jest dziecinne. Co robi, to i teraz ma na sobie piętno niedojrzałości. Ciotka i obcy ludzie obchodzą się z nim dotąd, jak z niedorostkiem. Żyje osamotniony, bez człowieka, bez serca, któreby go rozumiało. Rówieśnicy od małego stronią od niego, między dziećmi ma jeszcze najwięcej znanych przyjaciół. Z temi zwykle jeszcze najlepiej wychodzi, bo go one najlepiej rozumieją. Często kupą napadną na niego w polu, a on bawi się z niemi przy potoku. Napędzi im wodę do korytek zrobionych z zeschniętej kory, pod nie da wierzbowy pręt, przez który na krzyż przeciągnięte są wążki deszczuleczki — i młynek już miele. Gdy się robota powiedzie, klaska w ręce razem z dziećmi i wydaje okrzyki zadowolenia. Umie i powiastki piękne, dzieci słuchają go z zatrzymanym oddechem. I to właśnie wiąże go do nich; rad, że i on ma państwo, w którym panu-

je, dlatego z tem większem oddaniem się opowiada im, a dzieci tem więcej lgną do niego.

Dziś nie rusza młynka. Jest sam, a samotnego zabawa nie cieszy. Dobrze mu zresztą leżeć i do tego na zielonej murawie. Myśl jego lata Bóg wie gdzie. Widzi się w rycerskich szatach, jak kroczy do zamku na sroczej nóżce. Stoczy bój ze smokiem, a kotek, jedyny mieszkaniec zamku, przemieni się w księżniczkę. Oto pada mu w objęcia i przysięga wieczną, wieczną miłość. Jakżeby się mógł nie uśmiechać? Czyż on sam tylko ma wydrzeć ze swego serca pragnienia szczęścia? Uśmiecha się, ale to nie uśmiech, lecz skrzywienie ust, które jeszcze więcej szpeci twarz jego.

Na czoło siadła mu mucha; chociaż czuje, jak mu po niem orze, nie odgania jej. Myśli, że wystarczy zmarszczenie i poruszenie czoła. Mucha podleci, a za chwilę wróci i powtarza swoje. Jędrrek nie czuje nic, marzy dalej.

Mucha siadła mu na policzek i czuć, jak się przedziera przez rzadkie ściernisko jego brody. To mu dokuczyło. Wyciągnął rękę i całą dłoń przykrył twarz. Muchy nie chwycił, ocaliła się wcześniej. A Jędrrek śni i śni dalej.

Czy długo leżał i śnił, nie wie. Dopiero obudziły go lekkie krocзки, pod którymi ani trawa się nie ugięła. Jędrrek obejrzałby się, kto to, ale mu ciężko dźwignąć głowę. Pewnie jakiś chłopiec idzie prosić go o młynek. Dziś jednak mógł lepiej w domu pozostać. Jędrrek nie będzie młynka robił, choćby to był chłopiec wójta. Oto ta księżniczka tak pięknie do niego się śmieje! Co znaczy dziesięć młynów, nie młynków, ale młynów, wobec tego uśmiechu!

Kroki odezwały się w kierunku ku niemu. Jędrrek zamrużył oczy; udawał, że śpi. Przez powieki na włos otwarte w niewyraźnych konturach widział postać, ale nie dziecięcą. To jest coś większego. Ba, schyla się nad nim, i słychać miękki i cichy głos:

— Jędrus! Jędrus!

Otworzył oczy, wytrzeszczył je. Ten głos, oj ten głos! Niczem głos księżniczki!

— A toś ty, Zuziu?

Ustrojona głowa przytaknęła mu, głowa Zuzki Bieżanówny.

Jędrrek przymrużył oczy, olśniewał go blask takiej piękności. I nie dziw. Jej twarz jasna, czerwona jak róża, kiedy słońce jej listki ogrzeje. Dwoje niebieskich oczu, jakby kto kawałek niebios włożył, z zadumą patrzyły na Jędrka. Różowe wargi odsłaniały dwa rzędy białych pereł. Jędrkowi przysła znów na myśl księżniczka. Nawet ona nie była piękniejsza, chyba tylko, że suknie miała z gwiazdeczkami. I Zuzki suknie nie są jednak brzydsze. Ta czerwona chustka na szyi z temi frendlami dodaje jej wdzięku razem z białemi bufiastemi rękawami jej oplecka. A to znamię okrągłe, jakby wyrastało z białych fałdów rękawa. Wytrzeszczonemi oczyma patrzył Jędrrek na mile zjawisko; myślał, że się jeszcze znajduje pod sroczym zamkiem.

Zuzka, nie badając, co się z nim dzieje, rażno go zapraszała: „No wstań rychło i jedz.”

— „Aha, aha!” — Teraz dopiero przyszedł do poznania, że to nie księżniczka, lecz Zuzka. Nie przyszła ona, aby go za szyję objąć i wprowadzić do sroczego zamku, ale mu jeść przyniosła. Miał umówione od młodych gęsi po groszu, a od starych po dwa, nadto póki trwa pasza, jedzenie kolejno daje dom po domu. Dziś żywi się u Bieżanów. Zuzka mu przyniosła obiad.

Kiedy jeść, to jeść. Teraz przestała mu płonąć, pokryła się mgłą, jak gdy przez księżyc przesunę się lekkie obłoczki. Chwycił dwojaczki, rzucając na ich zawartość wzrok badawczy. Nie doznał pociechy. Dlaczego Zuzka nie przyszła do niego z prónemi rękoma, ale z takim sercem, jak owa księżniczka? Dlaczego?

— A cóż ci się tak spieszy? — zapytał ją chłодно, spoglądając na nią bez zachwyty.

— Nie widzisz, co jest teraz! — I podniosła w ręce wyklepany sierp, ukazując nim naprzeciw leżące zboże, posiane żeńcami.

— Aha, i ty idziesz, mhm, mhm! — Szybko wkładał łyżkę po łyżce, tak, że z dwojaków coraz więcej ubywało. Cały się oddał pracy, na Zuzkę ani spojrział. Było znać na nim, że je nietylko mechanicznie, ze zwyczaju, ale że całą duszą oddał się temu zajęciu. Wypróżnione dwojaczki zawiązał do chustki i podał je Zuzce.

— Na! Już próżne, idź sobie!

I obtarł usta rękawem.

Zuzka poznała w nim zmianę, ale nie umiała jej sobie wytlómaczyć. Teraz tak zimno na nią patrzy, a przed chwilą omal się nie stopiła pod płomieniem jego oka. Nie chciała zostawić zagadki nierozwiązanej. Zaczęła ogródkami:

— Czy się nie gniewasz? Może obiad nie był dobry. Wiesz, teraz w czas robót... musisz to i owo wybaczyc.

— No tak, obiad! Najadłem się potąd!

I położył palec napoprzek gardła. Widocznie nie przykładał do tego wagi, jakie jest jadlo, ale czy go jest dosyć.

— A przecież się o coś gniewasz?

— Ja? Ależ ja się naprawdę nie gniewam.

Było znać, że nie chciał absolutnie przeczyć.

Zuzkę coś gnało naprzód, nie była zadowolona z wyniku; nie wiedziała, dlaczego zmienił swoje zachowanie się. Gniewało ją to nieco, że ten nędzarz nie korzy się przed nią, ale wymyka się z koła, w którym ona pierwiej na niego oddziaływała.

— No, dobrze, że się nie gniewasz, tom rada. Zachmurzonych ludzi niechętnie widzę, bo chodzą, jak mruk, kiedy im co na nos siądzie.

Jędrka to zgiewało, że mu tak mówi. Ani nie jest księżniczką, ani nic, więc odciął jej:

— A zapewne, nie patrz... nie uronię dlatego ani jednej ły. Jak chcesz!

— Ja to wiem przecież, wiem! — i Zuzka, udając, westchnęła. — Dumnyś wielce, ani nie spojrzysz na mnie! Nie wiem dlaczego, ale ani na podwórze nasze nie rzucisz okiem, kiedy gęsi pędzisz. Nie wiem.

I spuszcżając zalotne oczy, małą nóżką grzebała w ziemi.

Jędrka to dotknęło.

— Księżniczka prawa, księżniczka! Naprawdę księżniczka!

Rozjaśniło mu się w duszy i podszedł ku niej.

— No, martwi cię to, martwi? Aleby cię więcej nie marwito, gdyby Jasiak Dąbrowa nie spojrział na ciebie!

Z jej oczu buchnął płomień nienawiści ku gęsiarzowi. Jej głos stał się ostrym i od wzruszenia drżącym:

— Ten? A może być, ale o to mnie głowa nie zaboli.

— Czyście się może pogniewali?

Gęsiarz otworzył usta, czekając na odpowiedź. Zuzka starała się twardym głosem odpowiedzieć, ale darmo. Cicho i raczej z żalem potwierdziła:

— Rozeszliśmy się na dobre.

Tłumione westchnienie wyrwało jej się z piersi. Jędrka to spostrzegł. Był wzruszony tem szczęściem, że serce dziewczęcia otwiera się mu pomału, komórka za komórką. Z zaufaniem i przyjaźnią patrzył jej w twarz.

— Nie żałuj tego, że cię nie weźmie. Nie byłby cię nawet wart. Doprawdy, nie dostanie takiej, choćby nogi schodził po kolana.

Zuzce podobała się ta pochwała i to zwłaszcza z ust gęsiarza. Niech ciecze woda przez jakie chce rury, lecz niech będzie czysta. Niech chwali kto chce,

byle chwalił. Pogłaskało ją to, chciała jeszcze więcej usłyszeć.

— Przedemną tak mówisz, ale po za oczy! On też tak mówił — i mimowoinie westchnęła. Wpadła znów w dawny ton żalściwy.

Jędrak widział, że jej serce pęka, więc go to martwiło.

— A ty go żałujesz. Nie żałuj wcale!

Zuzkę dotknął tem do żywego, rana się zakrwawiła.

— Jakże mam nie żałować; mnie opuścił, ma już drugą!

Gęsiarza oczy zapłonęły. Już był w jej mocy. Podniecony, wykrzyknął:

— Nie bój się, ja cię nie opuszczę. Wiesz, ile razy podszeptałem ci w szkole, gdyś nie wiedziała? Tylko tobie podpowiedział; tyś była ze wszystkich najlepszą, a ja cię lubilem. Raz mnie i zbili dlatego!

Już dawno nie czuł, ażeby mu była krew tak szybko w żyłach krążyła, jak teraz. Naprawdę był na większy upał wystawiony, niż gdy leżał na słońcu. Dziewczę się do niego uśmiechnęło, a on był już szczęśliwy tym uśmiechem. Górna warga zaczęła mu drżeć.

— Wszak pamiętasz? A tyś się potem również boczyła, jakbyśmy się byli nigdy nie widzieli. A gdyś się połączyła z tym Dąbrową, to mi tak dokuczalo! No, ale teraz przynajmniej już dobrze.

Zuzka osiągnęła cel zamierzony: gęsiarz zaprzął się w jej jarzmo.

Ale ona chciała się rozkoszować swoim zwycięstwem. Coś ją gnało dalej, byle dalej.

— No, a co teraz?

Jędrka to pytanie zdziwiło. Nie pojmował, dlaczego nie może się domysleć.

— Teraz? Ukończę paszenie i pobierzemy się. Pójdziemy pięknie na plebanie, zapowiedzi ogłoszą.

O katechizm się nie bój, ja odpowiem i za ciebie A będzie nam cały świat zazdrościł.

Zuzka znów się rozweseliła, dobry humor jej wrócił. Jędrak sobie tem to tłumaczył, że jej się jego słowa podobały. A ona chciała się jeszcze z nim pobawić.

— A jeść, co będziemy jeść?

— Jeść? Co nieco wysłużę za paszenie, to nam wystarczy.

— Aleś ty wiele przepasł. Ile ci gęsi brakuje?

— Ani jednej. Wierzaj, ani jednej.

I położył dłoń na piersi.

— A gęś Fiałów gdzie się podziała? Ciebie obwiniają, a i Rębałowie skarżą się na ciebie.

Gęsiarz słuchał w milczeniu, potem się uśmiechnął dobrodusznie.

— Gęś Fiałów? skoro w las poszła. Po cóż tam chodziła, mogła już mieć rozum! A gęś Rębałów wróciła do domu, to wiem napewno. Widziałem ją, jak drogą zamiętała. Ale musiała im uciec z podwórza, nigdy jej dość nie było. Poszła pewnie gdzieś wstecz i otruli ją, a teraz na mnie zwałają.

— No, jeść byłoby już co może, ale gdzie mieszkać?

— No, pewnie. U ciotki jest tam piękna izba. Będzie nam dobrze.

— Ale ja nie chcę się poniewierać po cudzych kątach. Ja chcę mieć swoje.

— Dobrze, wystawię mały domek.

— A w czem pójdziesz do ślubu?

— W czem? Mam w czem.

I gęsiarz oglądał swoje szaty, które ani wtedy, gdy były nowe, nie odpowiadały modzie lenowieckiej; były zupełnie takie, jakie się chłopcom dziesięcioletnim szyje, tylko, że ufarbowane. I na kolanach były dziury.

— Musisz mieć szaty, jak inni kawalerowie.

— Ciotka mi da uszyć, gdy skończę paszenie. Mówiła, że mi i kożuszek kupi.

— Ale musisz mieć pieniądze na życie, ha, ha, ha! — zaśmiała się Zuzka z jego kłopotu, że go tak wpędziła w kłamkę, i odeszła od niego.

— Ty nie uciekaj! Pojutrze jest sobota, przyjdę sobie po bukiet.

— Nie, pojutrze nie. Ja ci przecież powiem, kiedy będziesz mógł przyjść. Jeszcze gwoźdźniki nie kwitną. Wiesz?

Jędrak się uspokoił.

— Dobrze, dobrze!

Zuzka odeszła ze spuszczonei oczyma. Jędrak spoglądał za nią, podobała się mu.

— Hm, będzie z niej żona! Dobra robotnica. Krok ma jakby grenadyer, będzie nam obojgu do twarzy. A Dąbrowa, ale co, ten jej nie wart. A ona się mi przyzna, hm, hm...

Do wieczora gęsiarz nie myślał o czem innym, jak tylko o księżniczce, którą już znalazł w rzeczywistości. Zamek na sroczej nóżce już się nie kręcił, ale stanął. Nie potrzebował na niego ani tupnąć nogą.

III.

Ciotka gęsiarza mieszkała w porządnym domku w środku wsi. Była to wdowa i to wdowa pobożna. Nie zaniedbała ani jednej niedzieli, choćby miała iść na kolanach. Dodawało jej to w gminie znaczenia, bo ona robiła tak, jak mówiła. Nie pominęła biednego, choćby samej sobie miała ująć. Ale zato przejrzała swem okiem każdego żebraka, a jeśli widziała, że jest jeszcze zdolny do pracy, nie dała mu nic, lecz oblała go jeszcze takim wrzącym potokiem słów, że żebrak nie wiedział, na którą nogę pierwiej

stąpić, gdy wychodził z jej podwórza. We wszystkim jest taka akuratna i dlatego stoi nad wszystkimi kobietami w Lenowcach. Ludzie uznają jej władzę wyższą i boją się jej języka. Z poszanowania nazywają ją ciotką w całej wsi.

Tylko w swoim własnym domu niczego dokonać nie może. Gdzieindziej, co sobie przedsięwzięmie, to i wykona; w domu nie może. Przedmiotem jej ostrego języka bywa Jędrak. Co się mu nakładzie w głowę, a wszystko darmo, jak groch na ścianę sypany. On nie ugnie przed nią swego karku, jego obojętności nie skruszy ani dobre, ani złe słowo, nic. Kto inny na jej miejscu byłby przestał rzucać perły do błota, a wodę lać do kosza, ale jej energiczna natura nie może ścierpieć odporu żadnego, dlatego czyni ciągle nowe i nowe próby.

Marna to praca wtłaczać pęcherz do wody, a jeszcze marniejsza chcieć przerobić Jędraka. Machuła będzie Machułą dopóki, choćby jedna wrona będzie krakać.

Właśnie ciotka wróciła od żniwa i znużona, odpoczywa na podsieniu. Ni ztąd, ni zowąd, miły Jędrak wszedł na podwórze. Jego twarz była skrzywiona uśmiechem. Widać, że przyroda przeznaczyła go na biedę i zmartwienia, tak mu z tym uśmiechem nie do twarzy. Ciotka pogląda na niego z ciekawością, czując, że niesie jakąś dobrą nowinę.

— Ciotko, gdybyście wiedzieli!...

— Gdybym wiedziała, nie potrzebowałbyś mi mówić.

— No, powiem wam cosi.

— No! — ośmieliła go ona.

Jędrak otoczył rękami jej szyję i po dziecinnemu przytulił się do niej. Jej serce się wzruszyło, rozgrzało się i zapłonęło do niego miłością macierzyńską.

Gdy w ten sposób tulił się do niej, przychodziła jej zawsze na pamięć nieboga siostra, jak na śmier-

telnej pościeli polecała jej w opiekę swoje jedyne, nieszczęśliwe dziecko. Oczy jej napełniły się łzami, pogładziła parobka po twardych włosach, jeszcze raz go ośmielając:

— No— rzekła — przecie już powiedz, jeśli wiesz co dobrego.

— Pewnie, że dobre. Żenię się.

— Co ci znów do głowy strzeliło? Że-e-nisz się?

— Ano, tak— przyświadczył Jędrrek.

— A kogóż bierzesz, czy miotłę?

— Zuzkę Biezanównę.

— No, no, proszę cię, nie żartuj. Zuzkę Biezanównę! To niby tak łatwo Zuzkę Biezanów. Za ciebie, synku, ani cyganka nie pójdzie, a nie dopiero Zuzka Biezanówna. Cóżes sobie to znów na tem pastwisku wbił do głowy? Mówiłam ci, abyś się tam z obrazą Boską nie wylegiwał, ale abyś sobie raczej co z Nowego Zakonu przeczytał. A tu Zuzkę Biezanównę...

I tu ciotka przeszła w swój zwykły ton. Z jej głosu zniknęła wszelka miękkość. Jędrrek jeszcze przyświadczał.

— A tak! Zuzka pójdzie za mnie, tak mówiła.

— Chyba jeśli ją rozum już zupełnie opuści.

— Ona to sama mówiła. Skoro skończę pa-szenie, będzie ślub.

— Ano, pewnie ten stary da ci ślub, ale kijem! Żebyś mi we wsi tego nikomu nie mówił, bo jeśli tylko co posłyszę, język ci karkiem wylezie.

— Ale skoro Zuzka chce...

— Nie mówię to, że mu się rozum zamacił! Rozważ sobie tylko, jakby cię mogła chcieć Zuzka? Gospodarska córka — żebraka, najpiękniejsze dziecko—ciebie, straszdyło! Przypatrz się tylko dobrze sobie! Nawet żebrak tak nie chodzi.

— Ale ja już tak nie będę od dzisiaj!

— A czy ty wiesz, kto ją sobie weźmie? Już jest zaręczona z Jankiem Dąbrową. Na wiosnę

pomagał orać u Biezanów, a teraz tam kosi! Mogłaby ona doprawdy porzucić Dąbrowę, a ciebie chcieć?

— Już się rozeszli, już go nie chce.

— Kto ci to znów natrąbił? Powiedz ty mnie, ale sprawiedliwą prawdę.

— Ona mi mówiła, gdy mi przyniosła obiad na pastwisko.

— Tak? Lepiejby była zrobiła, gdyby ci była kazała połatać sobie spodnie na kolanach, ty kawalerze! Fel jak się nie wstydzisz tak chodzić! Jak straszdyło! Spójrz na siebie, jak wyglądasz. Gdybyś się przynajmniej ubierał, jak ludzie.

— Ano, kupię sobie nogawicę i gunię. Na Wszystkich Świętych kupicie mi, i kapelusz, i pas, a potem...

— Idź do lasu i naodłupuj z kory drewnianych grajcarów. Jeśli ci za nie uszyją nogawice i gunię, to dobrze.

— Za to mi nie uszyją, ale jak dostanę za pa-szenie...

— Ty? Nigdy nic, ani grajcara. Wszystkoś przepasł. A ja, grzeszne stworzenie, mam się starać, jakby cię przyodziać i obuć na zimę.

— Ja będę miał przyodziewę, uszyją mi. Ja nie straciłem ani jednej gęsi, tylko wpierają we mnie.

— No, dobrze. Ale gdzie będziecie mieszkać? Czy się spodziewasz, że cię wezmą na komorę¹⁾ i będą tam chodzić koło ciebie?

— Stary da nam ogródek, w nim wystawię chalupe.

— Chyba ją ulepisz z błota, albo gliny.

— Z drzewa będzie, z drzewa.

— Ale to sobie za wiele na głowę bierzesz.

¹⁾ To jest na mieszkanie wspólne.

I paść, i szaty dać sobie uszyć, i ożenić się, i dom wystawić. Gdybyś to umiał rękami tak robić, jak językiem, toby było lepiej!

— Tylko kupcie wełny na szaty. Uprzedziemy jeszcze do jesieni, nim jeszcze co będzie.

— Synku, nim co będzie, to dotychczas i dziesiąta wełna urośnie na owcach. O to się ty nie troszcz! Ale nie gębuj o takich rzeczach, jak żeniaczka. Skoro o tem stary posłyszysz, na miejscu cię zabije. No, a młody Dąbrowa, ten ci kości połamie.

— Ja nie gębuję, ani nie będę. Mnie ona obiecała, to się ożenię.

— Stul gębę, niepoczciwy chłopcze! Nie rób sam z siebie pośmiewiska, dosyć go drudzy narobią. Módl się do Pana Boga, aby ci dał dar Ducha Św. i dobry rozum.

Jędrak zeszedł z oczu rozgniewanej ciotce, która skokiem pobiegła do Biezanów, aby się dowiedzieć, co to znaczy.

Gospodyni Biezanowa wytrzeszczyła oczy, czego szuka u nich stara ciotka.

— O jej, a toście już dawno u nas nie byli. Trzebaby wam popiołu na nogi... A cóż was tu do nas przynęcało?

— Ano, pomyślcie sobie, temu chłopcu coś strześliło do głowy, chce się żenić.

Biezanowa ze zdziwienia uderzyła dłońmi w zapaskę.

— Ale nie gadajcie!

— I plecie niedołęga—ciągnęła ciotka—że sobie weźmie waszą córkę.

Biezanowa, mając ręce na padołku złożone, podniosła prawą i pogroziła nią ciotce na znak podziwu.

— Ale idźcie-że, idźcie!

— Naprawdę. Mnie się omal coś nie stało ze

złości. Nigdy jeszcze o żeniaczce nie wspomniał, dopiero się dziś z tem pochwalił.

— Może mu się znów co w głowie robi. Ono ta jego głowa nie całkiem jest na miejscu. Jest jak dziecko.

— Ano, prawda, bez rozsądku. Ale jego ktoś obalamucił. On mówi, że wasza córka.

— Jakto?

— Ano, że ona dała mu słowo, gdy mu obiad przyniosła. Do jesieni ma być i wesele.

Biezanowa roześmiała się wesoło.

— A, prawda, może i to być! Może jej znów jaki piorun poświecił, może.

— Ale jej też powiedzcie, niech jemu da spokój. Potem tylko ja miałabym z nim strapienie.

— Prawda, prawda. Wiecie, że to młode stworzenie. Papele to i plecie bez ładu i składu. Moja córka, prawda, chętnie żartuje. Od małego było to takie miłe a dowcipne, co nie daj Panie Boże, dobrze, że w ogień nie skoczyła. Ale jej powiem, niech mu nie zawraca głowy nieborakowi.

— Proszę was, powiedzcie jej. Niech się raczej z nim ani nie spotyka. Przecie mu to może wywietrzeje z głowy.

— Ano, pewnie. Prawda, że wywietrzeje.

I rozeszły się w najlepszej zgodzie. Każda z nich chwaliła drugą, jaka to uczciwa, mądra osoba. A obie były zaprawdę i uczciwe i mądre...

IV.

Jędrak Machula czynił poważne kroki do żeniaczki. Zaraz w ten wieczór połatał sobie nogawice na kolanach, aby jutro nie miała mu czem oczu wyklówać. Chciał wczas wygnąć gęsi i wczas przyszedł na śniadanie. Żywił się u sąsiadów poniżej

Bieżanów. Aż się zdziwili gospodarstwo, że tak wczas wpadł do ich domu. Kiedy indziej przychodził w połowie południa, kiedy jadło już wystygło, dziś było jeszcze w garnku.

— No, synku, dziś jakoś wczas wstałeś. Pewnieś sobie dobrze na wieczrę nie podjadł, jak widać. A możeś się doprawdy wstydził jeść więcej przed Zuzką?

Jędręk znacząco uśmiechnął się do gaździny, że tak przejrzała jego serce i żołądek. Jeszcze więcej to go pocieszyło, że mu zrobiła uwagę:

— Jędrus, naprawdę, trzebaby się za czem obejrzeć; lata idą, dopókiś młody, pomyśl o sobie. Na starość już za późno.

— Ano, prawda—przyświadczał jej gorliwie. — Jużem się postarał.

— A bodajże cię! Takiś to ty! Zcichapek! Ale na wesele przecie mnie zaprosisz! Chciałabym czego użyć!

Jędręk jej nic nie obiecywał. A tożby ich miał na weselu, gdyby zapraszał każdą, która mu się tylko przymówi! Zajrzał do kuchni i zachmurzył się. W garnku ujrzał ziemniaki, które jeszcze nawet nie zawrzały, ale zaczynały się pnieć.

— Nie macie mi dać co zjeść? Poszedłbym już.

— A cóż ci się tak śpieszy. I za dwie godziny masz dość czasu. Już pianę widać, zaczekaj aż zawrą.

— A z wczorajsza nic wam nie zostało? I zimne zjem.

— A juści! Abyś mnie obgadywał, że cię zimnem jedzeniem zbywam. Ja nie wiem, co ci się stało, że się tak śpieszysz.

— Zaganiać chcę, zaganiać.

— A na co? Jeszcze nawet cieląt nie gnali. Czy chcesz przed pastuchem cieląt?

Jędręk usiadł; czekał, jak na szpilkach. Za chwilę, jemu się zdało, że po roku, postawiono mu kar-

tofle z mlekiem. Była to potrawa, której był zapalonym miłośnikiem. Teraz mu tak dalece nie smakowało. Wziął do ust raz, drugi raz, nabrał pełną garść kartofli i poszedł wyganiać, w drodze dojadając.

Gęsi zaganiać, to nie żart. Do tego potrzeba biegłości przynajmniej tyle, jeśli nie więcej, niż do dowodzenia wojskiem. Ukrywa się to przed pastrem i stara się mu stracić z oczu. Ale Jędrus zna wszystkie niebezpieczeństwa swego zawodu, przeniknie wszelkie fortele gęsiej przebiegłości. Na długą tykę założy swój kapelusz, a te bojaźliwie uciekają przed nim. Wielkie to szczęście, że takim głupstwem można je nastraszyć, inaczej niktby im nie dał rady. Przy całym strachu przed Jędrkowym kapeluszem gęga jedna z drugą bez przestanku. Tu stara pogęguje, zwołując swoje młode, które się zgubiły w tem zamieszaniu; tu młoda kwili, czując się sierotą między obcemi. Tam znów jedna stara dzióbnie drugą, że się do jej kupki zanadto zbliżała. I tak to idzie przez całą wieś. Gęsi gęgot rozlega się z jednego końca na drugi. Jedzie wóz ze zbożem i musi się zatrzymać, gęsi się nie usuną i włożą, jak ślepe, nawet pod koła. Tu Jędręk się i do tego przyczyni, aby nie było cicho. Macha za niemi kapeluszem na kiju i krzyczy:

— A liwy, ha! huś, huś! Liwasia, liw, liw, liw!

I naśladuje głos wszystkich zwierząt. Raz gwiżdże za niemi, drugi raz zatyрка kijem na chrześcianym płocie, a gęsi uciekają.

Ale taki strach wywiera skutek na małą odległość: te, które są przed gęsiarzem, uciekają, które są nieco z boku, przystają. Pobiegnie ku nim, to tamte znów stają, nie czując go za sobą i prowadzą dalej swary. W ten sposób zatrzymuje się pochód raz na prawej, drugi raz na lewej stronie, bez końca i ladu.

Ta mieszanina krzyków ludzkich i gęsich drażni

nerwy. Człowiek, mimo którego taka gromada przejdzie, stanie, jak oszołomiony, i długo, długo czuje, że mu w uszach piszczy.

Ale Jędrka to nie dotyka. Wszelką pracę wykona, a przytem ogląda się po sadach i międzypłotkach. Gęsi bowiem, posłyszawszy, że ten hałas się już zbliża, chowają się w miejsca zakryte, aby ująć z oczu swej gaździny. Ani nie pisną, poskromią swą przyrodzoną szczebiotliwość na tę chwilę, ale skoro gromada przejdzie i znów zapanuje cisza, wykradają się ostrożnie z ukrycia i pójdą gdzie na miejsce zakazane. Widać, że im wcale nie słodko pod batem Jędrkowym.

Kierdel doszedł przed dom Biezanów. Jędrak się oglądał, kto też gęsi wypędzi. Nikogo nie było widać — ani gęsi. Skoczył tedy do podwórza i doświadczonem okiem ogarnął całą przestrzeń. Gęsi nigdzie — tylko gaździna chodzi, przeglądając wszystkie skrytki.

— Przekłete gady! Przepadły, jak kamień w wodę!

— Gdzieś będą schowane! — I Jędrak pomagał jej szukać. Uchylił drzwi do stajni — nic. Wszedł do niej i zwrócił się do kąta ku małej zagrodzie — a oto w niej siedzą schowane.

— A liwy ha! a liwy ha!

Gęsi wyrwały się z ukrycia i z wielkim szumem leciały przez stajnię. Za karę, każda skacząc z wysokiego progu stajennego, uderzyła się o gawol, nie mogąc zawiosłować łapą w powietrzu.

Jędrak miał na drodze dużo roboty, nim zegnał tę czeredę, tam i sam rozproszoną.

Na pastwisku nie rozlegał się, nie kradł Panu Bogu dnia. Kiedy się gęsi napasły na murawie, zaszedł do pobliskiego lasu. Oglądał go, czy niema gdzie drzew uschniętych. Był tam gąszcz wielki i wiele uschłych, wykorzenionych jodeł. Wyciągnął z kabata nożyk, który miał uwiązany na rzemiyku

u dziurki na guzik, i przeciągnął parę razy palcem po jego ostrzu. Twarz mu się rozjaśniła; widocznie z ostrości był zadowolony. W pocie czoła wskrobał się na suchą jodłę i odciął jej wierzchołek. Za chwilę miał przed sobą całą ich kupę. Kora z nich się odtupała, a gałęziasty wierzchołek za chwilę był przerobiony w gładką matawkę (rogal do mieszania).

Tak przechodził mu czas — na czole sperlił mu się pot i w grubych, obfitych kroplach ściekał na dół po licach do ścierniska jego rzadkiej brody. Ale on na to nie uważał. Pracował usilnie, aby dokończyć tego, co sobie w nocy na łóżku umyślił. Ani się nie spodział, kiedy Gaździna stanęła za nim z obiadem.

— Ani mnie nie widzisz — od wielkiej roboty. Cóż to strużesz?

— Ano. — Nie wyjawil swej tajemnicy.

— Ho, ho, co tu matawek! Zkądś ich ty tyle nabrał? Akurat trzeba i mnie, mógłbyś mi doprawdy dać jedną.

— Ano — to tę!

— Dobrze, niech będzie. Patrzcie-no się, jak on ją porządnie obrobił. No, no! — Gaździna ujęła ją w dłonie i kręciła nią, jakby robiła paciarek.

— Cóż ci dam za nią? Mąki ci nie trzeba, skoro się chowasz po domach...

— Dajcie mi garść wełny, ale dużą. Jest właśnie najdłuższa.

— A co ci po tej wełnie?

— Hm, a na cóżby innego? Na nogawice...

— Aha, chcesz się wystroić. Dobrze, masz. Wieczorem przyjdź — dostaniesz.

Nim wieczorem doszedł do połowy wsi, były już matawki rozchwyte. Pod pazuchą niósł zamiast nich spory węzeł białej wełny. Gaździny mu dodawały chętnie, cieszyło je, że się już do czegoś bierze. Jednej tylko matawki nie chciał ustąpić ni-

komu. Prosiło go o nią już wiele, a on nie i—nie. Obiecał, że jutro znów im przyniesie sporą wiązan-
kę. Kobiety się uspokoily.

Ta była ze wszystkich największa i najpiękniejsza. Jakże tylko umiał Jędrak, powyrzynał na niej figury. Kiedy przyszedł przed Bieżanów, zaniósł ją do wnętrza.

— Cóżes to nam przyniósł? co? — uśmiechnęła się do niego gaździna, przysłała świekra.

— Mątewkę. Widziałem, że nie macie, więc...

— O do stu biesów! Naprawdę mi się przyda. No, a cóż żadasz za nią?

— Nic.

— Ależ nic. Jakżeby to było. Darmo się nawet do Pana Boga nie modlimy.

Wybiegła na strych i ucięła spory kawał sloniny. Zanim zesłała ze strychu, Jędrka już w izbie nie-
było. Mątewka leżała na stole.

Gaździna włożyła ją w łyżnik i uśmiechnęła się.

Po chwili wrócili wszyscy Bieżanowcy do domu. Na przedzie gazda—za nim czeladź. Gaździna zawołała córkę do kuchni.

— Ty dziewczyno, ja nie wiem co jest w tem, ale ten gęsiarz się koło nas zanadto kręci.

Dziewczyna spojrzała i mrugnęła oczyma. Wiodocznie się przelękała. Ale dręczyła ją ciekawość — zapytała tedy:

— A co?

— Ano rano mi sam gęsi wygnał, czego jeszcze nikomu nie zrobił; teraz nam zaś przyniósł mątewkę i nic za nią nie chciał. Wczoraj wieczorem była tu jego ciotka żalić się, że całkiem ogłupiał—tylko się żenić, a żenić. Myśli właśnie o tobie.

— Głupiec obrzydly!—i wyszła z kuchni dziewczyna.

Matka podkładała pod kocioł i mówiła do siebie:

— Szwarne dziewczę... wszystko przed nią na

kolana. Młodych zięciów na każdy palec po dzięsięciu. Tak się uganiają za nią! No, chwała Panu Bogu.

V.

Czas splywa szybko, jak woda z gęsi. Płynie szybko, ani się nie spodziewasz, chyba że stoisz tam, gdzieś pragnął, albo gdy się czego boisz. Machuła nie może tego powiedzieć. Nie żeby mu płynął szybko, ale wlecze mu się, jak ślimak. Ledwo przeczeka zawsze ten dzień Boży. I robotą sobie go skraca i wszystko, a przecież każda godzina wydaje mu się rokiem. Jakżeby nie? Oczekuje go tyle szczęścia, a to wszystko w jeden dzień ma paść w jego objęcia. Najpierw rozdzielenie gęsi, potem nowe suknie, wreszcie ślub.

Rozdziału gęsi czeka z tęsknotą, jak chory Bożego światła po długiej nocy. Ale go czeka ze spokojem. Przecież brak mu jeno tych dwu gęsi. Od czasu jak się porozumiał z Zuzką nie stracił ani jednej, a to jest bardzo wiele.

Suknie będą uszyte dziś lub jutro. Przynajmniej przedza jest już w kłębkach; lada chwila pójdzie na krosna, a resztę się zrobi rychło. Kiedy sobie pomyśli, jak lekko można przyjść do nowego ubrania, musi się rozradować. Zrobił kilka mątevek, a do tygodnia miał już dość wełny i czarnej i białej. Od uszycia też będzie miał czem zapłacić. Ma już trzy opalki z jałowcowych korzeni uplecione. Za takie rzuca mu chętnie i grosz jaki, bo taka opalka przetrwa i dwu gazdów.

Najciężej mieć nowe ubranie; potem ku weselu jest tylko skok wróbli.

— Hm, przyszedłem do żony—do wszystkiego. U Bieżanów mnie mają radzi, a jakżeby nie! Gęsi im znalazłem i mątewkę przyniosłem. A teraz—Ję-

drek się zaciął, radość mu głos odjęła, ścisnąwszy go za gardło—teraz im dam nie byle jaki podarunek. Do wieczora go ledwie uplotę. Eh, temu Dąbrowie utarłem nos! Będzie mnie też pamiętał!

Ale wtem ogarnęło go coś ważnego, jakaś obawa.

— Bądź jak bądź, ale myśmy się przecie mieli kiedyś spotkać oboje. Od tego czasu nie mówiłem z nią nic. Ten bukiet—ona, prawda, przyrzekała, ale bukiet—to będzie. Najtrudniej mieć szaty. Do tego kapelusza mi go przecież nie przypnie! Muszę ciotkę posłać po nowy. No, a opalka będzie wnet, mam się przecież po co załgać, kiedy tam iść zechcę. Gdybym ją tylko zastał w domu, ale ona w domu mało bywa. Muszę jej wstążkę kupić, albo chustkę... A juści!

Przed wieczorem z gotową opalką zaszedł do Biezanów. Rozejrzył się po domu—oprócz starej, nie widział tam nikogo.

— Może nam znów co niesiesz?

— Ano—przyświadczył Jędrek.

— Ho, ho, opalka nam się bardzo przyda do kopania. Będzie na wielkie kartofle. Jeszcze gdybyś jedną upłócił na drobne. Wszystkie nam się połamały na pośmiech.

Zaczęła w kącie łóżka czegoś szukać. Po chwili wyciągnęła węzelek. Jędrek czuł, co w nim będzie. Wziął kapelusz i zabierał się do odejścia, jak i wówczas, kiedy przyniósł matawkę. Ale stara zastąpiła mu drogę.

-- Nie, nie! Tobym się wstydziła przyjąć. Ileś się ty namozolił, nimeś nawyciągał tyle korzeni, jakżebym ja to mogła wziąć darmo? — I podawała mu coś białego—szóstaki.

On włożył ręce w kieszenie, aby się nie dać skusić do wzięcia, a opornie poruszył całym ciałem, że nie chce.

— No, tylko weź, skoro ci dają. Nie gniewaj

mnie!—I wciskała mu szóstki. Jędrek się bronił, aby do niego nie mogła przystąpić.

— Ale co ci się to dzieje? Każdego dnia coś przyniesie... a wziąć nie chce nic. No, weź sobie to i—idź.

Jędrek spojrział gaździnie w twarz jasno i z zaufaniem. Ten wzrok wyjawiał jej wszystko i potwierdził słowa ciotki. Jędrek wierzył—wierzył! Gaździna starała się wydostać z pod jego wpływu i mówiła dalej:

— Ale dlaczego nie chcesz?

On patrzył w jej oblicze i gorącym głosem zawołał:

— Boby mi to nie przyniosło honoru!

— A mnieby przyniosło! Mnieby przyniosło! Skoro nie chcesz pieniędzy—jak chcesz, ale i ja nie chcę twej opalki. Któżby brał żebrakowi laskę?

Jędrek poprzednim ciepłym głosem odpowiedział:

— Ja nie żebrak. Mam ich jeszcze pięć — te sprzedam. Od was nie przyjmę ani grajcara.

— No, a dlaczego?

— Dlatego. — I znacząco spojrział na gaździnę. Tej w niemilej sytuacji tchu brakowało, bała się iść dalej, aby nie usunąć wszystkich przeszkód jego zaufania, które dziś siedziało na jego obliczu. Tylko ze zwyczajną zapytała go:

— No, jużbyś przecie mógł powiedzieć!

— No, miałem wam przy robotach pomagać, ale nie mogłem... nie miałem kiedy, za to...

— Pomagać? hm, hm.

— Przecie młodzi zięciowie pomagają, mnieby też było należało, ale jak mówię...

Gaździna rozśmiała się z politowaniem.

— Mój miły zięciu, a któż cię oprzął?

On nie pojął jej uśmiechu, ufnie patrzył jej w oczy. Cała twarz jego była jakby przemieniona. Nawal uczucia, miłości i radości wprawił w drganie

jego górną mięsistą wargę. Starej się go żal zrobiło. Przecież on nie winien, że taki się narodził. Dostyć go los chłosta—i ona ma stanąć przeciw niemu? Spojrzała nań miękko i położyła dłoń na jego twardej włosach.

— A kto ci to mówił, mój synu, że będziesz naszym zięciem?

— Kto?—Usta brzydaka skrzywiły się. Szczęście, radość, głos mu stłumiły w gardle. Wreszcie z wielkim wysiłkiem wyrzekł:—Zuzka.

Stara kiwnęła głową, jakby to pochwałała. Chciała mu powiedzieć, co to miało znaczyć, ale nie mogła.

— Nie, tej radości mu nie zepsuję—nieborakby zwaryował. Ale jej muszę powiedzieć. Strach—takiego narobić zamęt!

Ale wnet wrócił jej rozum do głowy. Na czemś rzeczywistym myśl spoczęła. Spokojnym głosem powiedziała:

— Idź, synku, do domu. A nie pochwalże się przed nikim, że ci powiedziała...

— Nie, ani żywej duszy. Ciotka, co prawda, już wie, ale ta nikomu nie powie.

I uradowany gęsiarz poszedł do domu.

Bieżanową ta sprawa dręczyła nieslychanie. Tak jej duszno, jakby jej co na piersiach zaległo. Ten niedolega i jego twarz zmieniona pod wpływem gorącego uczucia prześląduje ją wszędzie. Kiedy bydlę zaczęło wracać do domu ucieszyła się, przynajmniej w tej pracy zapomni o kłopotcie.

Wieczorem, kiedy czeladź polegała, stara chwyciła Zuzkę na słówko:

— No, tyś znów dokazała; ja nie wiem, co teraz będziesz robić?

Zuzka zbladła, jakby ją chycono na gorącym uczynku. Zaledwo mogła wyrzec:

— A co?

— Ano z tym gęsiarzem.

— Ee! juści.—I przytem obróciła się na pięcie i ruszyła ramionami. Matka wpadła na nią:

— Ty sobie myślisz, że to żarty? A ja doprawdy nie wiem, jak się go pozbędziesz. Cały jest ogłupiały. Tylko powiedz, co to było między wami, już to musiało coś być.

Dziewczyna spoglądała w ogień, utopiła w nim oczy, zamyśliła się. Po chwili oprzytomniała i szczerze matce powiedziała:

— Nic—nie było nic!

— A ja temu nie wierzę. Co to, to nie! Tenby tak na ślepo nie przybierał sobie do głowy. Przecież cały jest zmieniony. A naprawdę żal mi go, jak nigdy.

Stara nie kłamała. Widać było po niej, że mówi prawdę. Łza jej pociekła na dół po licu. Zuzkę to tknęło i teraz pojęła doniosłość swego czynu.

— Ale wiercie mi, mamó, nie było to nic. Ja mu przyniosłam jedzenie i przemówiłam do niego dwa, trzy słowa. Głupiec, mógł doprawdy poznać, że to nie było naprawdę.

— Nieszczęsne dziecko, coś ty narobiła! Wezmą cię na języki, ani mowy. Będą patrzeć na ciebie, jak na jaką zbląkaną. A potrzeba to tego było?

I stara zaczęła łamać ręce. Na Zuzkę wywarło to wielkie wrażenie. Jej pewność pierzchła, a przecucie jakiegoś niepewnego nieszczęścia ogarnęło ją całą. Już dawno żalowała tego kroku lekkomyślnego, a gdy zobaczyła matkę rozpaczającą, tembardziej się przeleżała. Zaczęła i ona ręce łamać i radziły z matką, ale tylko szeptem. Bały się starego — ten umie bardzo szybko rozsądzać takie sprawy.

— Przecież mu powiedziałam tylko tyle, że... że...

— No cóż za „że.” Może, że go lubisz?

Zuzka kiwnęła głową, przytakując.

— Że za niego pójdiesz?

— To nie, ale się przed nim poskarżyłam.

— Poskarżyłaś? Cóżes się ty miała przed nim skarżyć? Czy on ci ojcem, czy bratem? A na kogoś się przed nim żaliła?

— Na Janka, że mnie porzucił.

— A to była prawda? Naprawdę cię porzucił...?

— Wieczorem pogniwaliśmy się, ale potem my się przeprosili.

— O wy, o wy! Ale na co się przed nim było skarżyć? Na co, na co?

— Ano, na co? I ja tego żałuję. Lepiej, że-bym była oniemiała. Ale on, skorom mu przyniosła jedzenie, tak dziwnie patrzył na mnie. Nie mówił nic do mnie, jakbyśmy nie byli z jednej wsi. To mnie gniewało, chciałam do niego co przemówić, no i pozaliłam się przed nim na Janka. Ano tak!

— Już się stało. A co się stało, stało się źle. Abyś tylko jako nie przyszła w obmowę, ja się tego tylko boję. Uważ sobie tylko, jakby ojciec...

Stara nie dokończyła. Ani tego nie było potrzeba. Córka już na wspomnienie ojca zniknęła. Przedstawiła go sobie surowego, jak ją bada, a wykrywszy cień grzechu, jak ją karze. Hej! gdy on powie słowo, trzęsie się przed nim cały dom gaźdiny aż po warzechę.

— Ale on się o tem nie dowie. Któżby mu to powiedział?

— No, moja córko, czart nie śpi. Znajdzie się łatwo jaki gałgan, a... jabym się potem raczej nie wiem gdzie podziała. A Janek, czy tenby zamilczał? Z ojcem są jakby jeden palec; tenby też nie milczał.

Córka w niemem zakłopotaniu zalała rękę. Nie była zdolna nawet do myślenia, rady nigdzie nie było. Gęsiarz był dla niej nie tylko biedakiem, ale straszylem, które ze wszystkich kątów czyhało na nią. Jej wzrok przybity padł na matkę, pytając:

— Co począć?

Matka to zrozumiała.

— Ano co, co robić? Któż ci tu poradzi? Najlepiejby było doprawdy, gdyby się ślub odbył czemprędzej.

Córka chwyciła się tej myśli.

— Gdyby, doprawdy, gdyby!

— Ale tu znów nie masz jeszcze kupionych ani poduszek, ani szat. Jakóbski jarmark zaniedbaliśmy ładnie składnie, możemy teraz czekać do Michała. A nim się to jeszcze poszyje, urządzi... Boże mój...

— Niech będzie jak chce. Ślubnych szat nie potrzebuję mieć, niech się wszystko odbędzie w świątecznych. Przecież i te są piękne, a mam ich tyle, że się nikt nie spodzieje, aby to były tylko świąteczne. A poszewki na poduszki—no, to się i po ślubie może doszyć. Niech będą gotowe tylko jedne, drugie się doszyje. To na jedno wyjdzie, czy im leżeć w skrzyni, lub u farbiarza.

— Juźci prawda, ale ani czepców nie masz tyle, ileby wypadało. Starogórskiej czekam z dnia na dzień, a jakoś jej nie widać. Ale najgorzej będzie jeszcze z ojcem.

— Jakto?

— Ano takeśmy już postanowili, że ślub będzie na tydzień przed WW. Świętymi. A teraz gdy go będziemy namawiać, czy ty myślisz, że się nie zapyta, jaka tego przyczyna? Ten nie tak łatwo uwierzy.

— Uwierzy, czemuby nie?

— Co on raz powie, to jest już jakby pod pieczętką.

— Ale my mu nic nie będziemy mówić, tylko Janek.

— To prawda, córko. Ten mu wytłómaczy wszystko; poskarży się mu, że nie może się już na czas kopania obejść bez żony, że przez żniwa również ledwo się bez niej obesзли. A temu najrychlej

uwierzy. Tylko ty powiedz Jankowi, niech podmówi ojca, a może wszystko jeszcze będzie dobrze.

VI.

W niedzielę po nabożeństwie nie mówiło się w Lenowcach o niczem innym, tylko o zapowiedziach Janka Dąbrowy z Zuzką Biezanówną. Mało która zapowiedź była taką niespodzianką dla poczciwej parafii, jak ta. Bo i jakżeby nie! Już i wróble ćwierkały na strzesze, że wesele będzie około WW. Świętych, po robotach, a tu naraz zapowiedzi spadły w połowie lata, jakby z nieba. I jakżeby, do kęsa! nie mieli mówić, kiedy Dąbrowowie sami nie chcieli się tak śpieszyć, odkładali z weselem, jak mogli; stary Biezan też mówił, że wszystko będzie aż około WW. Świętych, a tu już zapowiedzi! Naprawdę, kto to tak wszystko przewrócił? Młody zięć, nikt inny. Mówi, że do kopania trzeba im gospodyni. Niech mu wierzy, kto chce; we żniwa obeszli się bez niej, a w czas kopania jużby nie mogli? No, kto mu uwierzy?

A kobietom, jak się to nie podobało! To przyspieszenie może nie, ale ta zagadka, ta zagadka! One chcą mieć przed sobą sprawę jasną, przecież znana jest ich pilność w szukaniu światła w zagadkach. Nie darmo mają najwięcej roboty z przędzą, one wszystkie kwestye chcą rozmotać tak, jak przędzę. Kiedy napotkają węzelek, usiłują go rozmotać; gdy nie można, przetną go i idą dalej. Prawda, często z przeciwnego końca zaczęły rozmotywać i trafiały na nowy węzeł. Ale im to nic nie przeszkadza. Byle miały co w rękach.

Tak i tu doszły do jakiegoś rezultatu i milczały. Nie pochwały się z tem nikomu, publicznie. Ale po kątach, w cztery oczy, a nawet w sześć,

szeptano coś wiele. Biezanowie coś - coś przeczuwali. Nie uszły zwłaszcza uwagi Zuzki owe badawcze spojrzenia, któremi ją wszędzie prześladowano. Zaprzęła się sama przed sobą. Stara też wszystko rozumiała. Co krok spotykała kobietę, która dobrodusznie spoglądała na nią, jakby chciała zapytać: „We wianku pójdzie do ślubu, czy jak?”

Stary wielu rzeczy nie pojmował, zwłaszcza tych smutnych zrażonych twarzy kobiet. I te zapowiedzi mu się nie podobały. Kiedy Dąbrowie mogli od zapust czekać, mogli się doprawdy obejść jeszcze parę tygodni. Ale on nie rad badał takie kwestye. On ma to na pieczy, aby się postarać o to, czego potrzeba córce do wiana, o resztę njech się same kobiety starają. Jak sobie piwa nawarzą, niech sobie je same wypiją. On, na sumienie, będzie miał wolną głowę.

Gęsiarz Jędrak nie wiedział nic o zapowiedziach. Nie miał kto z nim o tem mówić. Gdy mu przynoszono jedzenie, żadna mu tej nowiny nie opowiedziała. Przecieżby to był czuł, gdyby mu tego sąsiadka nie była już wczoraj opowiedziała, więc na co próżno drzeć język? A nawet nie wdawały się z nim w rozmowę, co najwięcej zamówiły u niego opalkę lub co innego. Do Biezanów nie szedł, nie miał po co. Iść po nic nie mógł, a przysłużyć się czem już nie miał. Z Zuzką się nie spotykał, bo ta po największej części siedziała w domu, niechętnie chodziła po wsi, a ciotka ani pisnęła. Rada była, że chłopiec pomału zapomina.

Ale Machuła nie miał spokoju. Coś go ustawicznie trapiło. Pragnął znów z nią porozmawiać, choćby tylko chwilkę. Ale iść do Biezanów, i to z próżnymi rękoma? Cóż powie, gdy się go pytają:

— Cóżes nam przyniósł?

— Mątewkę już mają i opalkę. Mam zanieść jeszcze jedną opalkę, ale tej nie mam. Jakże więc

iść? Jeszczeby myśleli, że przyszedł za tę matawkę żądać zapłaty. A powinienby iść doprawdy, powiedzieć Zuzce, że sukno już tego tygodnia wyjdzie z warsztatu i pójdzie do krawca; niechby i ona o czym pomyślała. Ale jak tu iść... jak?

W miarę zbliżania się wieczoru rósł i niepokój jego. Nigdy go jeszcze nie ciągnęło do Bieżanów tak, jak dzisiaj. Pół kierdla gęsi dałby za to, gdyby mu kto poradził, pod jakim pretekstem się załgać. Ale rady nie ma. Niespokojny chodził tam i napowrót. Myślał to u Zuzce, to o szatach, to o rozdzielaniu gęsi. W głowie jego przeganiały się myśli, jak obłoki w czasie letniej burzy.

Przed zachodem słońca doszedł wreszcie do rozwiązania kwestyi. Zaśmiał się wesoło i machał w powietrzu rękami. Ktoby go widział, myślałby, że dostał bzika. Gęsi, spostrzegłszy jego dzikie ruchy, zlekły się i zbiły w kupę, jak gdyby orzeł zakrażył nad niemi. Jędrka to jeszcze więcej cieszyły. Jego oczy śledziły bystro, jakby czego szukały. Oto wpośród czeredy mały jeden kierdel. Skierował się równo ku niemu, czereda zrobiła mu szeroką ulicę. Mając pod pazuchą zwinięty kabat, wyrwał go i rzucił na mały kierdelik. Czereda się rozbiegła, tylko trzy stare wróciły do kabatu, a machając skrzydłami, gniewnie na niego syczały. Ale wnet i one uciekły; kabat zaczął się przewracać z boku na bok. Z pod niego dziurą na grzbiecie wyjrzała główka, a oczy pojęły, co się dzieje, gdy spostrzegły, że pastuchowa ręka sięga po kabat. No, ruszyć się nie było można. Kabat już był pod pazuchą gęsiarza.

— Alem cię przecie chwycił! No, nie bój się, nie zabiję cię! — Poglądził ją po grzbiecie, stara uszczypnęła go w rękę swoim ostrym dziobem.—No, no, tylko się nie bój, nie ubliżę ci.

Siadł na ziemię, gęś położył sobie na łono i objął ją lewą ręką. W kabacie miał sznurek, rozmotał go: jeden koniec przywiązał gęsi do nogi.

— No, tak, nie bój się. Przecież cię tu nic nie zje. Za chwilę i tak przyjdę po ciebie.

Zaniósł gęś do wierzbiny i przywiązał ją do korzenia. Kabat przerzucił przez plecy i ruszył za kierdelem. Przestraszone gęsi czując, że wieczór nadchodzi, same ciągnęły do domu. Wiodła je stara, kulejąc na nogę.

Kierdel dostał się szczęśliwie do wsi. Zatrzymał się w potoku, wypłókał gardło, rozdzielił gęsi na małe gromadki, z których każda zwróciła się w inne podwórze.

Do Bieżanów zwróciła się też mała gromadka, sześć ich w niej było. Nie szły tak wesoło, jak inne, ale nieśmiało skradały się do podwórza. Nie miał im kto drogą gwarzyć: „Ta-ta-ta!“ Bez macierzy ze smutnem gęganiem weszły młode na podwórze. Tu, czując się już w domu, podniosły krzyk głośny, jakby nieobecna chciały przywołać. Ale ta nigdzie się im nie pokazała. Zamiast niej, wyszła gaździna z żerem, wysypując go na środek podwórza. Gąski rzuciwszy się ku niemu, zapomniały wnet o swym smutku. Ale gaździna zaraz na pierwszy rzut oka spostrzegła, że starej nie ma. Wybiegła na drogę i wołała:

— Liwu, liwu, liwusia! liwusia!

Znikąd nie dochodził dobrze znany gęgot starej. Bieżanka pobiegła wsią w górę.

— Liwu, liwu, liwusia moja! liwu, liw!

Nie odzywała się jej nigdzie.

— Ach Boże, nie mogło się to stać już kiedyś indziej. Człowiek nie wie, na czym mu głowa stoi i musi się jeszcze za gęsiami uganiać. A czy jej też gdzie nie zgubił! Rok na rok wywodziła po dwa-naścioro, nigdy takiej gęsi już nie będzie. Oj Boże i te serniaki mi się przypała, „radostnik“ też trzeba było miodem posmarować, a tu człowiek musi tak Bogu niemilo się płatać. Ale przecież się zgłoszę do tego niegodnego nicponia.

— Gdzież jest moja gęś? — zawołała oknem do izby.

Jej mała twarz płonęła gniewem.

Jędrak się jej przelał. Już chciał wyznać wszystko, wszystko. Tak go brzydziło oszukiwanie tej kobiety, którą czcił i miłował. Spojrzał na nią swem małym, ogłupiałym okiem.

— A czy wam nie przyszła?

— A cóż, czy jabym chodziła za nią, gdyby była przyszła? To się rozumie, że nie przyszła.

Już chciał jej wyznać, ale bał się jej gniewu.

— Nie zaplątała się gdzie we wsi, koło rynsztoka?

Tu Bieżanka z gniewu odchodziła od siebie. Bez żadnego względu krzyknęła na niego:

— A czemużby się miała moja gęś koło rynsztoka plątać! Czy jej to nie nakarmię każdego rana i każdego wieczora?

— Cóżes to znów wyprawiał, głuptasku! — krzyknęła i ciotka, wychodząc z kuchni. — Jużes sobie pięknie uszył halenę i nogawice! Wnetbym ci karku nakręciła! Jaki pasterz! Co on tam wyrabia na tem pastwisku. Wnet będzie rozdzielanie gęsi: trzy gęsi stracić, dalibóg to sztuka! Już widzę, nie dostanie ani grajcara.

— Ale moja gęś, moja! Nie dałabym jej ani na wagę złota. Przecież ona każdego roku wywiedzie po dwanaścioro.

— Musiała na pastwisku zostać — dorzucił gęsiarz nieśmiało.

— A jakże, toś trafił — zaśmiała się złośliwie Bieżanka. — Taby ci mogła zostać na pastwisku, ta ma więcej rozumu, niż dziesięciu takich jak ty. Taby została! O jej, ale muszę już iść, „radostnik“ mi się przypali. Zostajcie z Bogiem!

Już było słycać, jak drzwi zawarła. Bieżanka

odeszła. Gęsiarz jeszcze stukał po izbie bez ładunku i składu.

— Zaraz mi się zabieraj! — krzyczała na niego ciotka. — Abyś mi ją przyprowadził. Ani mi przychodź bez niej!

Gęsiarz odszedł z domu za gęsią.

— Nie przyprowadzę, juźci nie przyprowadzę, na despekt, ale przyniosę, aby wiedziały, przyniosę! A jak się gniewa ta Bieżanka o jedną gęś! No, przecież się już długo nie będziesz gniewała!

I uśmiechnął się znacząco, głos trząsł się mu wewnętrznym wzruszeniem i radością, usta przekrzywiły się mu kurczowo z boku na bok.

Ciotka chodziła jak na mękach po domu. Z kuchni do izby, z izby do kuchni, zapominając każdym razem o celu swej drogi. W ręce nosiła warząchew od wody i zanurzyła ją w gorącej kaszy, zamiast w wodzie. Mleko precedziła do faski, gdzie przyrządzała soloną wieprzowinę. Pod szopę wyszła po trzaski, a przyniosła piasku... Tak to szło aż do zmroku, aż do twardej nocy.

— Panie Boże, co się to dziś ze mną dzieje. Ach, wszystko przez niego, wszystko! Grzeszna istoto, co się natrapisz, oj! Com się za nim namodliła, a ono darmo, darmo. Chodzi stargany jak straszidło, a traci wszystko, wszystko.

Kiedyindziej o takim czasie leżała, dziś siedziała jeszcze u okna i patrzyła w noc ciemną. Wreszcie skrzyknęły wrota i ozwały się pod oknem kroki. Z gęstej ciemności wyszła na światło wąła postać Jędrka. Ciotkę uderzył wyraz jego rozradowanej twarzy. Każda żyłka drgała wzruszeniem, radością, szczęściem. Rozpiął potargany kabat, wyciągnął z pod niego pół serniaka i trzesącą się ręką położył go przed ciotką.

— Macie, to Bieżanowie przysłali, za przysługę.

— A gęś?

— Ano, geś jest. Przyniosłem ją z pastwiska. Ciotka roześmiała się serdecznie.

— Ale, naprawdę? Przyniosłeś ją? A jakżeś ją znalazł?

— Na wierzbinię zachwyciła się o korzeń łapą. Nie mogła sobie dać rady.

— Chwała Panu Bogu, skoro już jest!

Od niechcienia spojrziała na serniak. Jędrak poprosił ją raz jeszcze:

— Macieź... przyniosłem wam...

— Nie, nie. Nie będę jadła. Tobie smakuje, sam zjedz.

— Ja? Ja już zjadłem... to dla was.

Spojrziała na wychowanka. Jej oko zabłysnęło znów wyrazem macierzyńskiej miłości, który się tajemnie wkradał w serce Jędrka i otwierał je zupełnie. Ciotka pomyślała: „Ma serce... oj ma! Dałby i koszulę z siebie. Niebożatko, on jest jak dziecko. Nie zrobi krzywdy ani musze; nie zajdzie drogi nikomu, jakby go na świecie nie było. A nie ma nikogo, tylko mnie, nikt go nie wprowadzi na dobrą drogę, tylko ja. Ej, nie opuszczę go, nie opuszczę!”

I otarła łzę z wilgotnego oka.

— Siądź sobie tu, przy mnie na ławie. Tak!

I pogładziła go po niepodatnych, twardych włosach.

Poczuł, że ciotka jest znów miękka, przystępna, że jej serce znów silniej bije dla niego. Zaczął nieśmiało:

— Ciotko, uszyje te nogawice i halenę?

— A jakżeby nie?—śpiesznie odparła ciotka. — Naturalnie, musi. Po rozdzieleniu geśi w niedzielę już będą na tobie. Pójdiesz w nich do kościoła, pójdziemy razem, jakieś z nieboszczką matką chodził, Boże, daj jej wieczne odpocznienie!

— A nie mógłby ich kto pierwej uszyć? Powiedzcie mu, do niedzieli.

Ciotkę coś szarpnęło, niepokój zagnieździł się w jej duszy. Spokojnym głosem zaczęła go pytać:

— A na kiedyż ci ich trzeba, na niedzielę? Do kościoła nie idziesz, ani nic...

— Chciałbym iść...

— A geśi?

— Popasiecie wy. Chciałbym usłyszeć zapowiedzi, już będzie druga.

Ciotka zbladła. W uszach jej zahuczało, jakby obok niej ryczał wodospad. Cała wzruszona zapylała:

— A kto ci to mówił? Kto ci gadał o zapowiedziach?

— A któżby inny, ona. Pięknie, pięknie — i z wyrzutem spojrział na nią. — Wy mi nie życzyście tej radości, zamilczacie wszystko przedemną, co dobre. Ale kiedy trzeba mnie zganić, nie zamilczyście nic. Gdyby nie ona, nie byłbym nic wiedział, że już mamy zapowiedzi. Na pierwszej nawet nie byłem, anim jej wstążki nie kupił.

— Komu?

— Jej, jej! Młody zięć przecież się musi pokazać, a ja...

— Nie, moje dziecko, nie kupuj ty jej nic. Daj jej pokój, ani nie spojrzuj w tę stronę.

— Ale przed zareczynami, przed ślubem? Coby świat na to powiedział? Pomyślcie jeno! Starej omal serce nie pękło.

— Niebożatko! Czego ona chce, jeszcze teraz, przed samem weselem. Czyby to czyniła, gdyby miała Boga w sercu? Niech jej to Bóg zapłaci! Chodź moje dziecko, połóż się i odpocznij sobie. Jutro musisz wstać wczas.

Jędrak odszedł, położył się, ale nie zmrużył oka; śnił i z otwartymi oczyma. Stara kręciła się

jeszcze dobrą chwilę po izbie, sama nie wiedząc dlaczego. Serniak, który jej przysłano, skruszyła do pomyj...

VII.

Od tego wieczora grubego krawca wiejskiego nie ogonić przed ludźmi. Miał roboty pełne ręce; a gdyby ich był miał i cztery, nie byłby sobie dał rady. I nie dziwota. Wesele tak bez potrzeby przelożyli, że co miało być gotowe za dziesięć tygodni, musi być gotowe teraz za dwa! Panu młodemu nowe ubranie i to wyszywane, ile się tylko wyszyć zmieści! Drużbom trzeba również to to, to owo: jednemu nogawic, drugiemu haleny. A prawie teraz spieszy i gęsiarz. Dwadzieścia dwa lata umiał się obejść bez sukiennych nogawic i haleny, a teraz, aby go gniewać, w każdy Boży dzień rano i wieczorem przyjdzie się upominać. Biedny krawiec nigdy nie był w takich opałach. Raczejby wolał o niczem nie słyszeć, rzekłby się i tego małego zarobku, jest to przecie jak psu mucha, byle się mu tylko ulżyło z tą robotą. Na szczęście, ciotka gęsiarza każdego dnia w południe przychodzi i znów prosi, aby tych szat nie szył na termin. On też nigdy nie wykonywał prośby tak chętnie, jak obecnie. Nie byłby od tego odstąpił ani na włos.

Tymczasem „ten z rożkami” namanil kobietę, żonę krawca. Ta w wielkiej potrzebie przyłożyła rękę do pracy i zszywała jedno za drugim szybko a pięknie. Krawiec rósł z radości, że ma taką żonę! Ale ta przez omyłkę wzięła do roboty halenę gęsiarza. Krawiec poznał omyłkę dopiero wtedy, gdy miał do niej sznury przyszywać. Poskrobał się w głowę gniewliwie, a ostatecznie zawyrokował:

— Skoro tak, niechże i tak będzie. Zeszyj mu tam i te nogawice, niech sobie je tam ma. Dla mnie

są jego pieniądze takie same, jak i Dąbrowy, albo kogobądź innego: są okrągłe i ślizkie, uciekają z pod rąk. A taki to jeszcze rychlej zapłaci, niż ci bogacze, co rzemieślnika za nic nie mają.

Tak tedy krawiec na życzenie Jędrka wykończył ubranie. Ciotka krawca złała, ale ostatecznie wypłaciła należność, związała suknie w węzeł i zamknęła je do skrzyni.

Gęsiarz cieszył się swoim ubraniem.

— No, już nie będę chodził obtargany, nie potrzebujecie się mnie wstydzic. Teraz już mogę iść i do kościoła, tylko kapelusza jeszcze nie mam. Jutro pójdę go sobie kupić, i wstążki na niego.

— Ale, co się masz spieszyć. Do rozdzielenia gęsi. Boże mój!...

— Ba, mnie kapelusza trzeba, skoro wszystko jest nowe. Hm, jakżebym ja szedł do kościoła... Naprawdę, wy sposobicie co?

— A co mam sposobic, nie mam czego sposobic.

— Juzciż się to wszystko odbędzie u Bieżanów... już pieką! Dziś już i jałowicę zabili.

— Już? To już na wesele.

— Byłem tam, jak ją zabijali... na boisku. Zuzka uciekła z domu: nie mogła się na to patrzeć, a ja nie uciekłem.

— Mówiłam ci, abyś się tam nie włóczył, czemu nie słuchasz?

— Muszę pomagać, coby na to powiedzieli?

— Bez ciebie obeszliby się tam zupełnie.

Nie gniewała się już na niego, przecież on temu nie winien, ale tamte. Już dawno w niej wrzało, dziś kipiało. Byłaby poszła prosto do Bieżanów i wyrąbała im prawdę, ale nie miała ochoty. Do domu, gdzie ma być wesele, obcy ludzie niechętnie chodzą. Ale stara Bieżanowa ma dziś przyjść z „radością”, więc ostrzyła sobie na nią język. Posta-

nowiła jej dokładnie wyłożyć, jak grzesznie się bawi z łatwowiernym, niedojrzałym gęsiarzem.

Oczekiwana chwila nadeszła. Przed wieczorem przypędziła Bieżanowa z ogromnym koszem na grzbiecie. W nim były poukładane kołaczki, które tem więcej znikaly, im więcej domów gaździna nawiedzała.

Ciotka zaczęła bez wszelkich ogródek:

— Naprawdę, nie byłabym przypuściła, że nam taką psotę wyrządzą, ty i twoja córka. Chłopiec biedny miał spokój, nigdy mu nic podobnego do głowy nie wpadło, zanim go nie zbałamucila. Myślałam, że to zrobiła z pustoty, a ono znów po raz drugi. A jeszcze i ty jej pomagasz! Ja nie wiem, czemuśmy ci zawinili! Każdemu dasz pokój, a przecież każdy cię skubnie, gdzie tylko może. Ale za co, za co?

— A na cóż się skarżycie, myśmy nie zrobili nic złego, ani wam, ani waszemu chłopcu.

— Nie zrobili! Juściż ja wiem, że to dla was nic, kiedy nas szacunku pozbawicie. Dla was to nic, kiedy z chłopcem wyjdę na pośmiechowisko. Ale skoro to dla was jest niczem, pójdę do twojego, albo do Dąbrowów, a powiem, jak bałamucicie mego chłopca. Przecież ci nie powiedzą, że to jest nic. Zobaczę ja, czy jest jeszcze prawda na świecie.

Ciotka była cała w płomieniach. Twarz jej płonęła, a głos drżał. Bieżanowa stała przed nią zawstydzona, nie śmiejąc nawet wzroku podnieść. Ale kiedy jej zaczęła grozić, że ją przed mężem oskarży, przelękała się naprawdę.

— Proszę was, nie gniewajcie się, ciotko. Ze szczerego serca wam mówię, że nie chciałam wam robić przykrości. Ale com miała czynić? On poszedł w pole, wyszukał mi gęś, przyniósł mi ją na rękach do domu, a ja miałabym go zasmucić! A taki był ucieszony, gdy ją przyniósł, dobrze, że się mu od radości co nie stało. Jużem miała na języku, że mu powiem, aby Zuzce nie wierzył, że z niego zrobiła

glupca, ale gdym spojrzała w tę jego twarz rozradowaną, serce mi nie pozwoliło. Nie mogłam go zasmucić, boby mu serce było pękło. Powiedzcie sami, czy myśmy tego przyczyną. Dlaczegoż nam go żal taki? Kto to wie? Pół gospodarstwa oddałabym, gdyby się to mogło jako odmienić, naprawić.

— Trudno naprawiać, gdy jest już za późno. Co wyrzucisz, tego nie uchwycisz. Mój chłopiec nie umie kłamać, myśli tedy, że i drudzy prawdę tylko mówią, a jeszcze gdy mu co przyrzecze taka dziewczyna! Powiedzcie, czyby i inny chętnie nie uwierzył? A w ten sposób on się spodziewa, że pójdzie do ślubu. Na nieszczęście i szaty mu uszyli. Ja nie wiem doprawdy, co z nim pocznę, kiedy przyjdzie dzień ślubu. Ale niech to Bóg ma w swojej opiece! Kiedyście to umiały namotać, teraz odmotajcie! Ale wam wstyd będzie, kiedy sobie obok niej klęknie przed ołtarzem. Jemu wstydu nie ma.

— Wy mu powiedzcie sami, co jest w tem wszystkim. Was najrychlej usłucha.

— A czy ty myślisz, że moje serce z kamienia? Tobie go żal było, a mnie ma być nie żal? Mogliście mu powiedzieć, wamby uwierzył, twojej córce byłby na jedno słowo uwierzył. Mnie z pewnością nie. Na moją mowę nie będzie zważał, moje słowo tyle dla niego znaczy—i tu ciotka plunęła na środek izby.

— Ależ miejcie cierpliwości na ziarnko maku. Przecież moja dziewczyna też się nie spodziewała, że to tak się stanie. Chciała sobie z nim pobaraszkować trochę; niedoświadczoną dziewczę, niema się jej co dziwić.

— Ano, dobrze; mój chłopiec jest jeszcze młodszy, i ma gorszy rozum. Nie dziwcie się mu, jeśli wam na weselu co spleta. To będzie potem wasza szkoda.

— I doprawdy się gniewacie? Przecieżby to

było co innego, gdyby się robiło umyślnie, ale nie świadomy grzech, a taki gniew!

— Kiedy wy tak, to i ja będę tak! Dotychczas cierpiałam, ale odtąd koniec.

— A czy wy wiecie, żeby się wszystko rozbiło? Gdyby się dowiedział mój stary, albo młody zięć, niech Pan Bóg broni. Przyszłoby nam potem z tej wsi uciekać. Na dziewczynę spadłyby jeszcze większe obmowy. Nie słyszeliście, co wymyślili na nią dlatego, że wesele przyspieszamy?

I tu Bieżanka coś starej do ucha poszeptala. Twarz ciotki wydłużyła się od zdziwienia, jej wargi wyszeptaly:

— Niegodziwy świat, niegodziwy!

— A wiecie, dlaczego przyspieszamy? Dla niczego innego, tylko dla waszego chłopca, aby długo o niej nie myślał. Im rychlej się odprawi wesele, tem rychlej sobie ją z głowy wybije; bo kto wie, co by się mu jeszcze stało, gdyby dłużej do nas przychodził. A tak trochę się pogryzie, potrapci, ale po mału może i zapomni o niej. Boże mój, mnie samej go tak żal! Gdybym nie musiała, nigdybym mu tego nie uczyniła za skarby świata.

Ciotka widocznie nieco zmiękła, ale i teraz niepewnym głosem zapytała:

— Cóż więc zrobimy, aby wam na wesele nie przyszedł? Ja nie wiem, co robić.

— Wysłać go gdzie—radziła Bieżanka.

— A pójdzie ci? Czemużeś mu opowiedziała wszystko, kiedy ma być ślub? Przecieżonby był o niczem nie wiedział. Ja to kryłam przed nim a modliłam się, naprawdę modliłam, aby mu tego kto nie powiedział. A tyś mu to wszystko musiała powiedzieć; kogożby to nie gniewało?

— Ano już się stało. To darmo.

— Ano stało się, stało.

I Bieżanowa z ciężkiem sercem odeszła.

Ciotka została smutna, nie wiedząc, co po-

radzić. Rozmyślała, jakby temu przeszkodzić, aby jej chłopiec nie zrobił wstydu sobie i drugim. Ale rady, pomocy nie było. Im więcej zbliżał się dzień ślubu, tem więcej bladła nadzieja dobrego zakończenia.

VIII.

Już jest po ślubie. Janek Dąbrowa i Zuzka Bieżanówna należą do siebie. Nigdy nie było piękniejszego ślubu w Lenowcach! Do kościoła nagarnęło się tylu ciekawych, że ani ławki ich nie pomieściły. I nic dziwnego! Przed każdym obywatelem lenowieckim leżała zagadka, której nie umiał rozwiązać. Wszyscy łamali sobie głowy nad tem, dlaczego urządzono ślub tak szybko. Wyprawa panny młodej jeszcze niegotowa, niewykończona, dopiero po ślubie mają ją wykończyć. Co zmusiło Bieżana, systematycznego i porządnego gazdę, aby przy weselu swojej córki postąpił wbrew swoim zwyczajom, podług których zawsze i wszędzie postępował? Jedni szukali przyczyny w tem, drudzy w owem. Większość myślała, że jest na właściwej drodze. Panna młoda w ostatnich dniach tak mało wychodziła z domu, a wyraz jej twarzy był taki pełen trwogi. Widocznie chciała się ukryć przed oczyma ciekawych. Dlaczego? Nikt nie ważył się domysłu swego drugim nawet poszeptać, a nie dopiero otwarcie powiedzieć. Ten stary Bieżan jest taki popędliwy, nie można mu wejść w drogę. Wszystkie usta milczały, ale tem wyraźniej mówiły oczy. Ślub miał dać dowód, czy domysł jest właściwy, dlatego tylu ciekawych. Wszystkie oczy spoczęły na głowie panny młodej, nie wiem, czego na niej upatrywały. Chyba tylko tego wianka! Jest tak piękny, zielony, przepleciony różami. Prawdopodobnie na niego się tak patrzają...

Panna młoda wcale nie jest trwożliwa. Przed ołtarzem mówi nawet za głośno. A kiedy się obróciła do odejścia, jej oczy z przyjemnością i spokojnie spoczywają na obecnych. Spogląda długo, długo. Nie widzi tam tego, kogo upatruje. Krok jej jest tem pewniejszy, a twarz tem większem szczęściem jaśnieje.

Nic dziwnego! Przy jej boku kroczy dumnie Janek. Prawie przewiduje, że to już po raz ostatni ma czarować ludzi gibkim, lekkim krokiem. Po weselu musi już zaniechać kawalerskich zwyczajów i krok jego musi być poważniejszy, cięższy. Zgrabnie stawia nogę przy nodze w obcisłych nogawicach. Jego ubranie piękne, nawet wytworne. Wiejski krawiec nie potrafiłby już piękniejszego nic uszyć. Wszelkie pomysły swej fantazyi rozrzucił po nogawicach i jego halenie. Gdzie tylko mógł, umieścił jakieś wysycie; nie opuścił ani takiego miejsca, gdzie można było tylko igłą kołnać. Kawalerowie spoglądają na pana młodego; nie winszują mu ani takich szat, ani żony, cieszy ich tylko to, że niebezpieczny współzawodnik jest już w kajdanach, i nie może im już szkodzić między dziewczętami.

Po ślubie jeszcze więcej byli zawstydzeni podejrzliwi Lenowczanie. Gościna i muzyka odbywały się tak, jak rzadko na którym weselu. Tu już nie widać ani pośpiechu, ani niepokoju. Takie wesele może urządzać tylko ten, kto się przygotowywał do niego długo i poważnie. A to jest zasługą Bieżana.

Jego żona radziła, aby przy weselu nie było muzyki.

— Niech się to odbędzie cicho. Teraz już lada chłystek ma wesele z muzyką. Nie potrzebujemy stroić długiej parady; co zaoszczędzimy przy weselu. dajmy młodym na gospodarstwo, będą mieć z tego przynajmniej jaką korzyść.

— A dlaczego nie mam zamawiać muzyki? Czy mi może na to nie wystarczy? Nie pozwolę so-

bie dziewczyny tak chyłkiem zabrać, aby tego nikt nie widział! Ja się żeniłem z muzyką, niech się ona również wydaje z muzyką. Przynajmniej mi nie będzie robić żadnych wyrzutów.

— Ale i ona chce bez muzyki.

Stary wybaluszył oczy na żonę.

— A dlaczego? Czy rozum straciła?

— Ano tak, nie chce, abyśmy mieli w domu zbiegowisko.

Stary pogroził żonie laską:

— Ej, stara, stara, wyście coś obie z córką nawarzyły — w kuchni. Nie myśl sobie, że ja wasz głupiec. Ja już oddawna coś spostrzegam, coś, co mi się w głowie nie mieści. To również musiało od was wyjść, że się tak śpieszymy.

— Dąbrowom potrzebna pomoc... — dorzuciła stara.

Ale on tem jeszcze więcej się obruszył.

— Idź mi z takimi wymówkami, stara kwo-ko! U Dąbrowów pewnie nie mają dziesiątaka, aby sobie nająć do kopania. Uważ sama, nie jest to czy- sta wymówka? I chcieć mnie to zawiesić na nosie— wy, baby, z długimi włosami i krótkim rozumem. Mnie! I do tego mnie! A czy ja to głupiec? Zaraz mi tu przyprowadź tę swoją pieszczochę. Ja jej przeczyszczę rozum! Ja jej ukażę zbiegowiska!

Stary zaczął się już unosić. Nie mogła opierać się jego woli. Posłusznie przywiodła córkę przed surową, sędziowską twarz jego.

— Powiedz mi ty, ty... No, patrzcie, ani ci nie spojrzysz w oczy! Możesz dziewięćdziesiąt dziewięć wsi spaliła? Cóż się mnie tak boisz? Do licha, tyś coś zbroiła. Powiedz, dlaczego nie chcesz muzyki, dlaczego?

Dziewczyna niepewnym głosem odparła:

— Tylko, kiedy to zbiegowisko i to jeszcze na trzy dni.

— Zapewne, dla niej to zbiegowisko! Ona się

nie chce ukazać światu w niezwykłych szatach! No, ale moje wesele było też zbiegowiskiem? Do tysiąca hajduków—właśnie dlatego będzie muzyka! Jeszcze dłużej niż gdzieindziej! Ja zobaczę, kto mnie ma uczyć. Jeszczebyś mi za jakieś dziesięć lat rzuciła w oczy: Ty czaracie-dyable, aniś mi wesela nie sprawił, jak należy. Ja to zobaczę!

Zuzka od gniewu ojca cała przywiedziona do rozpacz, krzyknęła:

— Tatusiu! nie gniewajcie się... ja tylko chciała...

— Aha, jak się to broni! Ona chciała! Poczekał, teraz ja chcę: a muzyka będzie, będzie i będzie. Mnie nie będzie nikt rozkazywał w moim domu, abyście wiedzieli! A teraz chodź tu, spojrzij mi w oczy!

I stary wziął w ręce twarz córki i surowo, bawdawczo w nią się wpatrywał. Córka omdlewała z przerażenia, przed jego wzrokiem otwierają się wszystkie komórki jej wzruszonego serca. Stary poznał jej strach. Twardym głosem wyrzekł:

— Idź, idź! A ty stara dyablico tu zostań!

Dziewczyna weszła do komory i rozplakała się. Jej serce ranił niemiłosiernie gniew ojca. Teraz, przed samem weselem tak mówić, tak się wadzić! Toto ma być ojcowskie błogosławieństwo? Co jej z bogactwa i miłości narzeczonego, skoro własny ojciec ją odepchnął, wyrzucił ze swego serca. Jego głos i teraz jeszcze słyhać, jak piorunuje w izbie na żonę, która ledwo niekiedy odważy się wtrącić słowo. Zuzka ucichła w płaczu i mimowolnie pod słuchuje.

— Leb ci urwę... tyś ich sprowadzała razem... taki wstyd, jeśli jest niegodna tego wianka...

Zuzka więcej nie słyszała. Bicie gwałtowne serca przygłuszyło i głos ojcowski. Po całym domu wrzało — trzask, prask słyhać było na wszystkie strony.

Za chwilę weszła i matka do komory i poma-gała córce w płaczu...

Chociaż tuż przed weselem tak się zadymilo z domu Biezanów, przecież ślub nie doznał żadnych przeszkód. Stary się udobruchał i zarówno córkę, jak i matkę do serca przypuścił. Panna młoda, wiedzona miłością i błogosławieństwem rodzicielskiem, ze spokojem mogła przystąpić do ołtarza.

A przecie... przecie! Kto to staje między nią a jej przyszłym małżonkiem? Jakaś biedna, złamana postać, odziana hadrami. Jakby przed ołtarzem chciała chwycić okragłą, ogorzałą rękę panny młodej. Ona pewnym głosem, którym odpowiadała na ciężkie słowa przysięgi, chciała niejako odpędzić natręta. No, on przecie jeszcze tam, ciągle jeszcze tam! Zda się jej, że to on przysięga, a nie Janek.

Koniec przysięgi, i ślubu. Nerwy się uspokoiły, ukołysały w stan normalny, zjawisko zniknęło. Panna młoda odetchnęła, jakby jej kamień spadł z serca! Ach, ten ślub, ta przysięga, ci widzowie, to wszystko rozdrażnia i podnieca fantazyę młodej panny, nie dziw, że się jej ukazują straszdyła. Ale gdy ważna chwila przeminie, nastanie równowaga i chłodny rozum odzyska swoje prawa.

IX.

U Biezanów drużyna weselna bawi się w najlepsze. Wszystko, wszystko siedzi za stołem. Boże mój, ależ to stół! Od drzwi aż do frontu jeden, a drugi od frontu aż do szerokiego pieca, a na nich postawione misy i łyżki; z nakrycia widać, że gościna już się znacznie posunęła. No i na drużynie to poznać. Niema człowieka, któryby porządnie siedział i jadł, skoro ma co. Wszystko tylko dyablów zagania. Tu drużba rzuca kulką chleba na drużkę, która siedzi naprzeciw niego. Kulka odbija się od

jej błyszczącego, wymaszczonego ciała i wpada starości do ust. Wszystko się śmieje, tylko starosta pokiwał poważnie głową i rzecze:

— Boży dar! Hej, zjadłbyś go jeszcze kiedy!

Nikt nie dba teraz o jego poważną mowę. Wszystko spogląda na drugiego družbę, który sobie wziął na cel wesołego zwolywacza, zaproszonego na wesele tylko dla rozweselenia weselných gości. Na lał mu zamiast wina octu do kieliszka i podał.

— No, na zdrowie młodych!

Zwolywacz wziął kieliszek we dwa palce i życzył zdrowia:

— Pan Bóg wam daj—wszystkim razem!

I ocet już był tam—nie zostało w kieliszku ani kropli. Ale skrzywiona twarz zwolywacza była świadectwem, że poznał, co się stało, ale zapóźno. Oba stoly i z poważnym starostą pękały ze śmiechu.

Bieżan chodził koło gości, gdzie widział próżne szklanki i kieliszki, zastępował je pełnymi. I było wszystkim, jak w gościnie.

Przyszła i gorąca kasza, przyniosła ją w obwiązanych rękach kucharka, żaląc się, że sobie rękę oparzyła. Nikt jej nie wierzył, a i ta uśmiechnięta, okrągła twarz świadczyła przeciw niej, ale grajczarki przecież wpadały do warząchwi.

Modlitwa starszego zakończyła obiad. Kto tylko był młody, stanął do tańca. Starzy z kąta z po za stolu uśmiechali się spokojnie na tę krętaninę. Wszystko skacze, pokrzykuje, a kręci się, jak głupcy; ha—młodość wiek głupi.

Ale nikt teraz nie rozmyśla o głupocie; te tony wydobyte smyczkiem muzykantów są miłe każdemu. Dziewczęta rzucają zalotne spojrzenia ku muzykantom, stojącym na desce wysoko pod samą powalą. Mogliby sobie usiąść, ale po takim obiedzie dobrze sobie i postać. Skrzypek pierwszy nigdy wogóle nie siada, gdy gra. On umie grać tylko stojąc; może dlatego, aby tem większy mógł wpływ wywierać.

Przecież on nie pracuje tylko rękami, bo on nie najemnik! On ciałem i duszą zatopiony w swej pracy. Jego nastrój duchowy wiernie odzwierciedla twarz jego. To jeden, to drugi kąt ust jego się zwięzi, to ścięgną połoczne się zniży lub podniesie. Wargi jego ust albo się rozciągną w długą linię, albo skrócą w małą soczewicę. Kiedy skrzypce zabrzmia tonem wysokim, połowa jego twarzy się dźwiga. A gdy artystyczny zachwyty dojdzie do szczytu, to błyszczy rozkoszą. Tylko noga i to prawa, ta pracuje jednostajnie. Jakby stworzona do tego, aby takt dawała. Podług tempa podnosi się i opada. Czynią to i inni muzykanci, tak, że deska, na której stoją, pod jednostajnym ich przytupywaniem to się podnosi, to opada, a z nią i oni.

Z sieni do izby otwiera się piękny widok. W pośrodku izby jedno koło, obstarpięne odpoczywającymi dziewczętami. U drzwi koło drugie, mniejsze, w którym się bawią mniejsi; muzyka już od młodości gra na ich nerwach. A nad całą tą mieszaniną gra pięciu, podług taktu dźwigani deską elastyczną.

Im bardziej zbliża się wieczór, tem większy ścisk w izbie. Zeszli się już i postronni ludzie, aby zobaczyć, jak będą pannę młodą czepić. Koło przed grajkami się zwięża, to zaś, które jest przy drzwiach, rośnie. W tem pierwszym trzują się tanecznicy, drugie jest zupełnie próżne. Na jego obwodzie stoi sześciu młodych żonatych i zabawiają się. Tańcować nie tańczą, bo im to nawet nie służy, są już starsi, ale wynaleźli sobie inną zabawę. Do ich pustego koła nikt się wejść nie odważy; raczej zostanie w sieni i ztamtąd wyciągając szyję, patrzy do izby ponad głowy. Kto do koła wstąpi, ani nie może pojąć, gdzie się znajduje, poczuje to tylko, że lata bez skrzydeł. Kogo raz ci żonaci dostaną między siebie, popychają go póty, dopóki się im podobą. Ludzie nie patrzą się więcej na tańczących, ale

na latającego. Kobiety z sieni drocą się z żonaty mi.

— Ach, idźcie, nie macie rozumu ani na narstek!

— Czyście wszyscy poszaleli!

Ten i ów zatrzyma popychanego.

— Dajcież mu pokój; jest jak gnilka, takeście go stłukli.

Istara Bieżanowa wyszła z kuchni spojrzeć, co to za zbiegowisko w sieni. Nie gniewa się na psujących zabawę, ale im tylko grozi palcem i śmieje się:

— Cóżście za potwory! Że wam też tylko taki dyabeł do głowy wpadnie!

I wraca do swego królestwa, do komory, aby im posłać jaką nagrodę.

Panna młoda jest w swoim żywiole, wesola, rozgrzana, jak zwykle bywa na tańcach. Idzie z ręki do ręki; gdy z jednym tańczy, trzech już na nią czeka. Nie zdola jeszcze wyjść z koła, już ich gromada o nią się ubiega. I to nie tylko kawalerowie, ale nawet—Boże odpuść—i starosta! Jego żona pod piecem ścisła pięście.

— Ja ci tu dam, stary psie! Jutro będzie stękał, że nogi ma jak centnary. Ano pewnie, od tak długiego tańca. A jak nią wykręca... na mą grzeszną duszę... jakby kawaler. No, poczekaj!

Starosta zrozumiał groźny wzrok swojej żony, więc puściwszy pannę młodą, zwrócił się do niej. Żyłki drgały w nim, jakby w onych czasach. Darmo mu się bronila, odgryzała, już był tam, w kole Jej oko błysnęło szczęściem. Gdy w nie zajrzał, wy czytał tam przebaczenie i miłość.

Słońce zachodziło, kiedy na podwórze Bieżanów wszedł Jędrak, gęsiarz. Nie widział tam nikogo, tylko ku stodołom zmierzał zwoływacz, który już zupełnie miał dosyć. Wojował dzielnie, ale darmo wreszcie dowojował. Niezdolny do dalszej walki,

idzie sobie prawdopodobnie wypocząć, gdzieś do siana, albo słomy. W ustach jego kawałek cygara—hm, musi żyć po pańsku, skoro jest na weselu.

Gęsiarz szybko wkracza do sieni, rozpierając rękami i nachyliwszy głowę jeszcze niżej, niż zwyczajnie. Nie obziera się ani w prawo, ani w lewo, ale przez sień robi sobie drogę do izby, prosto do izby. No, nie takato rzecz łatwa. Znalazł się między kobietami, które go wnet zatrzymały.

— Ho, ho! jaki dumny! Ani nie przemówił!

— Ba, nie widzisz, że ma nową balenę. Hej—i kapelusz nowy. Jędrak, może ty do pioruna idziesz się żenić!

— Ale spojrzycie-no, kobiety, jakie on ma nogawice; aż kwitną na niem!

Ostatecznie dobił się do drzwi, do próżnego koła. Wesolo do niego skoczył i—już latał. Kapelusz mu odleciał gdzieś za piec, między widzów, jego włosy ruszały się od poruszeń powietrza.

— Dajcie mu pokój! Dajcie nieborakowi pokój—przemawiała za nim jakaś młoda kobieta ze sieni.

— Ale juści—przyświadczyła druga—ledwo chodzi, a oni go zaczną jeszcze prócz tego poturac... Dajcie mu pokój, jeszcze mu co zrobicie.

I dali mu pokój. Jędrak stanął wreszcie na własnych nogach, przyglądając sobie włosy dłonią i głupio się uśmiechając. Wnet zaczął się przedziierać naprzód, gdzie tańczono. Z biedą dostał się aż tam, z kądem ponad głowami mógł widzieć tańczących. Oto i ona! Właśnie tańczy z Janem Dąbrową, a jak patrzeć jedno na drugie! Hm, to dziwne, czego on tu szuka? A ona, jak się do niego uśmiecha—do tego Janka! Doprawdy, nie patrzyła tak, gdy przyniosła obiad do gęsi. Oto położyła mu rękę na ramieniu—Jankowi—i o niego się opiera. Jak owa księżniczka ze sroczego zamku. Ale to przecież nie księżniczka. Ach...

Gęsiarza coś zabolalo—skrzywił twarz.

Ani Zuzka nie patrzy już tak na pana młodego. Oczy nie błyszczą już, jak brylanty — zaszyły mgłą, jak zwierciadło od gorącego oddechu. Jakaś troska, zmartwienie je zamąciło. Często rzuci okiem między widzów, a za każdym razem jakby ją co ukłóło. Duszno jej tu, w tej izbie, nie zdrowo: powietrze jakieś ciężkie, i muzyka do niczego. Tańczący wydają się jej jak figurki na drutach: ach, wszystko jest takie głupie, pospolite!

Jej wzrok spoczął na twarzy gęsiarza, na tem małym oczku, które i teraz tak głupio, a przecież delikatnie uśmiecha się do niej. Na jego twarzy taki wyraz, z jakim się patrzy na osobę skrycie w większym towarzystwie, dając jej do poznania, że się rozumie wszystko.

Wtem gęsiarz zginął między widzami; ktoś go chwycił za rękę i wyciągnął z izby. Nie obejrzał się, kto to; wiedział wszystko.

— A ty potworo jedna... taki wstyd, a ty czopie!—szeptała mu rozgniewana ciotka do ucha.

Okolo stojący nie pojowali, co mu mówi. Ale widząc Jędrka, jak się broni, zrozumieli. Kobiety w sieni zatrzymały go:

— Ale go zostawcie! Przecież nie zawadza nikomu, niech się przypatrzy i rozweseli.

— Nie potrzeba mu żadnej wesołości — dobrze, że ma co na sobie.

— Ależ nie! I ten robak zabawi się niekiedy, nie dopiero człowiek. I w piekle bywa wesele raz do roku.

Wtem wyszła z kuchni Bieżanowa. Z jej twarzy zniknęła wnet wesołość. Pytającym wzrokiem spozjrzała na ciotkę, a potem zawołała na nią przyjaźnie:

— Chodźcie, ciotko, przynajmniej do kuchni. Jeszczeście tu nie byli. Ale niech i on idzie; przynajmniej skosztuje czego z naszego wesela.

Ciotka niechętnie, ale przecież weszła za Bieżanową, trzymając chłopca za rękę. Przynajmniej zedzie ludziom z oczu. Weszli do komory—gęsiarz zaraz zawołał:

— Puśćcie mnie do izby! Czemuż mnie znów trzymacie?

— Cicho! Ani mi piśnij! — I ciotka przyłożyła mu pięść do czoła. On zwrócił się do Bieżanowej, jakby o pomoc:

— Patrzcie, tak wydziwiają ze mną od rana. Ani na ślub mnie nie puścili, ledwo żem im uciekł.

— Już jest po ślubie—rzekła Bieżanowa.

— Jaktó?—Pytającą spojrział na nią.

— Ano już, mój synu miły.

— A bezemnie? Odbył się bezemnie? Jakżeto? kto?

— Tak, tak, bez ciebie.

Ciotka podrzęźniała mu się gniewliwie:

— Czekali na ciebie, widzisz! Radziłam ci, abyś sobie to z głowy wybił. Teraz masz. Czemużes im wierzył!

Gęsiarza to nie zajmowało. On takich mów już się nasłuchał. Chciał się dowiedzieć o ślubie—wszystkiego aż do drobiazgów.

— A kto ją... kto ją sobie wziął?

— Juści Janek—Dąbrowa.

— Ten? No, patrzcie, ciotko; dla czegóżście mnie zamknęli w komorze i trzymali tam aż dotąd. Skorom nie przyszedł, cóż mieli robić? Posłali po innego, a teraz już darmo... darmo.

Siadł na ławce, obciążonej miskami z zimnymi potrawami. Ale on nie patrzył na to. Kręcił kapełusz w rękę. Bieżanowa zapytała ciotki:

— Jakaście to z nim zrobili?

— Jakem zrobiła? zamknęłam go!

— Tak, zamknęła... zamknęła — przerwał jej mowę—a ja ani nie wiem za co? Mialem nową ha-

lenę i nogawice i kapelusz, a jakie wstążki na nim! Tylko brakowało bukietu... mogłem już iść. I hańtki sobie jak należy zapiałem i wszystko... a nie puścili mnie. A teraz... już koniec! Ano, jabym był uciekł, ale nie mogłem pierwszej aż teraz. Gdybyście tylko byli pozwolili—no, teraz już darmo.

Podrzucił nowym kapeluszem, a schwyciwszy go, obracał w rękach.

— Biedaczysko! — pogładziła go Bieżanowa, podając mu spory kawał białej baby. On odwrócił się, nie wziął i bawił się dalej kapeluszem.

— A prawda, że biedaczysko! — wdychała ciotka. — A gdybyś go rano była widziała! Nie śmiałam się do niego przybliżyć. Zaraz na świtaniu zaczął żądać szat odemnie. Ja mu ich nie dałam. A ten, uważ tylko, podniósł na mnie siekierę! Byłby mnie zabił, ale uciekłam, tak, naprawdę, na stare lata. On z siekierą wszedł do komory, odbił ze skrzynki wieko. Powyjmował sobie szaty i ubrał się. Na szczęście weszłam do sieni i drzwi przed nim zamknęłam. Myślałam, że oszaleje, tak płakał, skoro nie mógł drzwi otworzyć! Wierz mi, że mi go bardzo było żal!

Ciotka się rozplakała i ocierała oczy fartuchem.

— Nieborak!

— Nieborak... teraz już nieborak — powtarzał sobie gęsiarz i wyszedł.

Stara, tą mową przejęta, nie dostrzegła tego, a Bieżanowa mu nie wzbraniała. Był cichy, jak ja-gniątko.

— Ale potem puściliście go?

— A juści. Odbił siekierą zamek; futryny zupełnie od drzwi oderwał. Ach, od rana aż dotąd miałam z nim tyle kłopotu, jak nigdy. A com zażyła strachu!

— Ale się już na nas nie gniewajcie; wierzcie mi, nie mam przez niego ani dnia, ani nocy spokojnej.

— Ha, niech się dzieje wola Boża! Ja wszystko to oddaję Bogu. On wie najlepiej, co trzeba.

X.

Gęsiarz wyszedł z komory do sieni i do izby. Koło taneczników zwiększyło się; muzyka grała i podskakiwała na elastycznej ławie. Skrzypek pierwszy wdychał i wykrzykiwał gębą, basy brzmiały głośniejsze niż skrzypce i tupot tańczących przez swoje du-du-dú, du-du-dú, du-du-dú!

Jędrzek na to nie zwracał uwagi. Spoczął wzrokiem na pannie młodej i śledził jej krok każdy. Pod powalą świeciła się mała lampa, a jej mdłe światło rozlewało się skapem promieniami. Jędrzek stał już w półcieniu. Widział wszystko. Jak jego Zuzka tańczy z kawalerami, a najmniej z nim, a jak się do niego uśmiecha! Na jej licach nie znać ani najmniejszego cienia żalu, albo cierpienia. Wszelki niepokój ustąpił przed wesołem usposobieniem i muzyką. Znow jest wesoła, szczęśliwa! Oto młody mąż szepnął jej coś, a ona mu potakuje — jakim wzrokiem na niego popatrzyła! Pełen ufności, miłości, delikatności i tęsknoty — nie, to niepodobna, ona go musi kochać! Jędrkowi tego za wiele. Jego usta skrzywiły się od rozczulenia i bólu.

— Jak ona go lubi, lubi, lubi!

W oczach mu pociemniało. Nie, miga się mu w nich. Widzi tysiące grajków i tysiąc pań młodych, wszystko uśmiechnięte, szczęśliwe. I znow nie widzi nic, ani znaku, oczy zalały się mu łzami. Zwrócił się i łokciami torował sobie drogę.

— Precz, precz! Tu nie wolno, nie można schwycić oddechu!

Wyszedł na podwórze i poszedł pod szopę. Siadł na wozie i dumał, oparłszy rękę na kole, a na niej ciężką głowę. Łza płynęła po łzie. Zapomniany

w samotności, oddał się cierpieniu. Jak dobrze mu tu płakać! Dźwięki muzyki, wykrzykników i tupania tańczących w dziwnej mieszaninie dochodzą do niego. Du-dú, du-dú słyhać wcale wyraźnie. Znów ciszej, ciszej... Nie słyhać nic. Niema, cisza w du-szy i wokoło niego, jak w grobie.

Może wesele odchodzi od Biezanów, albo może gęsiarza unosi? Ano unosi, dalej, dalej, precz ztąd, precz...

W izbie jednak jest tupot i krzyk; z powodu gęsiarza nikogo głowa nie zaboli. Właśnie teraz rozpoczyna się właściwe wesele. Sień i izba pełna widzów, a pod każdym oknem kopa. Każdy przypatrauje się z tak żywym interesem, jakby jeszcze nigdy nie widział ani wesela, ani tańca. Widział, widział, i to ile razy! Ale zawsze to jest ciekawe. Starzy przypominają sobie młode lata, swoje wesele, młodzi dumają, kiedy oni w ten sposób ogólną uwagę przykują do siebie.

Wtem w ogólnym zapale ozwało się z podwórza groźne słowo:

— Gore! gore!

Najpierw grupy odskoczyły od okien. Nikt nie rzekł słowa, jakby nie pojmował, co się dzieje.

— Gore! gore!

Ogłupiałe twarze naraz ożywiły się. Z dziesięciu stron wyrwało się pytanie:

— Gdzie!?

— Ano, spojrzycie!

Stodoła Biezanów stała w płomieniach. Widać, jak kiki odwiązują się z łąt i spadają do płonącego siana. Muzyka w izbie nie ucichła, jeszcze do niej groźna wieść nie doszła.

Jakaś kobieta wsunęła do okna głowę i zawołała:

— Gorejecie, ludzie, gorejecie!

Muzyka ucichła, pary się jeszcze nie puszczały. Zajęci tańcem kręcili się chwilę, a nie słysząc muzy-

ki, stanęli na środku izby, nie wiedząc, co to znaczy. Koło widzów zaczynało rzednąć, wszystko cisnęło się do wąskich drzwi. Nikt nic nie rzekł, ale tembardziej starał się wydostać na zewnątrz.

Tancerzy jeszcze nie pojęli, co się dzieje. Jeden rozgrzany zawołał:

— Muzyka! grać!

Ale z okna zagrział mu głos w odpowiedzi:

— Gore! gore!

Było już po zabawie. Tancerze zostawili swoje tancerki na środku izby i zaczęli się cisnąć ku drzwiom. Myśleli, że wokoło nich już wszędzie ogień; z nieuwagi wpadli w drugą ostateczność, każdy cnciał życie swoje ocalić. W drzwiach powstał scisk nieopisany. Jęki, krzyk, klątwy zduszonych strasznie rozlegały się ze ścisku. Ostatni potracili nadzieję, czy w ogólności kiedy wydostaną się na zewnątrz; poszli do okna. Inni znów kuchnię. Najwięcej ich zostało w izbie.

Ci, co byli już zewnątrz, pomnażali krzyk i zamęt; chcieli to nagrodzić, co zaniedbali w ścisku, zanim wyszli z izby.

— Ktoś podpalił, to wyszło ze stodoły! Ktoś podpalił, to nie wyszło z kuchni!

— Kto? Łapać go! Łapcie go, a prędko!

Kupa podpitych swatów podeszła ku stajniom, nad którymi gorzało. Patrzenie, tam pod szopą ktoś siedzi na wozie. Twarz ma ukrytą w dłoniach.

— Chodź tu! Spalisz się tam, wychodź!

Nic się nie ruszało. Chłopi wyciągnęli gęsiarza, który głupio patrzył na nich; nie rozumiał nic.

— Czegóż tu szukasz? Bierście go!

On im przyświadczył:

— Dobrze. Idę. Gdzie panna młoda? Czas już do ślubu. Chodźmy!

— Aha! patrzcież, ten, Boże odpuść, waryuje!

— Albo jest pijany.

— A ma świąteczne szaty! Co tu robisz? he?

— Po pannę młodą! Na ślub, na ślub! Co będziemy stać darmo.

Przez głowę starosty przebiegła myśl.

— Ludzie, trzymajcie go! Jakby on był... naprawdę!

— Doprawdy, bardzo łatwo... niema spelną rozumu...

Już go trzymali. Gęsiarz całą siłą starał się od nich uwolnić. Swatowie nie mogli sobie dać z nim rady.

— Czego chcecie? Puśćcie mnie! idę po nią!

Jakiś głos kobiecy odezwał się z tyłu:

— Trzymajcie go! Związać go, aby nie uciekł! Jeśli nam podpalacz obiegnie wieś, wszyscy pójdziemy z dymem!

— Związać go, związać!

— Powroza! powroza!

— Dajcie tu powroza!

Za chwilę był gęsiarz przywiązany do plotu. Ręce mu ściągnęli powrozem, że mu aż żyły nabiegły. Nie mógł się ruszyć.

Położono tedy ogniowi szczęśliwie przeszkodę: podpalacz nie zdołał obiedz wsi i ukazać mu drogi. Wszyscy byli pewni, że nieszczęście ograniczy się na domu Bieżana. Gdy już był związany, nikt na niego nie uważał, zostawili go u plotu.

Wreszcie wypróżniła się izba. Na ostatku wyszedł z niej sam gazda. Przestraszony wprawdzie, ale rozsądek już się mógł wydobyć na wierzch.

— Bydło! bydło! Pójdźcie mi pomódz, wyprowadźmy bydło! Prędko, bo się podusi!

Chłopi wbiegli za nim do stajni. Przy każdym wole było ich i po pięciu. Tem trudniej szła im robotą. Co jeden odwiązał, to drudzy zaguźlili. Był bez rozumu.

Bydło wyprowadzili na podwórze.

— W pole je wygnać, w pole!

Bieżanowa jak oszalała biegła po podwórzu, krzycząc:

— Ratujcie nas! ratujcie!

W zamęcie związała poduszki w węzeł i wzięła je na plecy. Tak obciążona biegła przez podwórze i krzyczała. Wybiegła i na drogę, a krzyczała:

— Gore! gore!

Odezwało się z dzwonnicy bicie dzwonu na gwałt. Smutne te dźwięki rozlewały się po wsi, oświetlonej nieszczęśliwą zagrodą.

Przed domem i na podwórzu Bieżanów roilo się od ludzi. Dalsi zostali przy ogniu, sąsiedzi biegli do domów, aby wynosić. Prawda, że podpalacz schwyty i ogień dalej nie pójdzie, ale dla bezpieczeństwa. To już taki zwyczaj.

Niektórzy przynieśli z sobą konewki i cebrzyki napelnione wodą. To przywiodło ludzi do rozumu.

— Gasić, gasić! Strzechę zrzucić! Wodę noś, wody!

Gromada rozbiegła się po wodę. Każdy chwycił naczynie, gdzie mógł. U Bieżanów było już wszystko rozchwytywane. Garnki, w których przed chwilą był rosół i mięso, kasza lub kluski, były już napelnione wodą. Ich zawartość — Pan Bóg wie gdzie!

— Woda jest tu!

— Sikawki, sikawki! — zawołał chłop jeden.

Aż teraz przyszyła im na myśl sikawka. Pobiegli do wójta po klucz od budy gminnej, gdzie stała sikawka.

Wójt przeszukał wszystkie kąty. Wielkanocnym pyłem napelniła się cała izba.

— Klucza, klucza!

— Zaraz, zaraz!

— Gdzie jest? — krzyczeli niecierpliwie obywatela.

— Żona go miała... gdzieś go położyła — nie wiem.

— Wójtowej szukać! Gdzie jest wójtowa?

— Gdzie? Na tem nieszczęsnem weselu.

Pobiegli do Bieżanów i mieli dość pracy, nim znaleźli wójtową.

— Klucza, klucza!—krzyczało na nią naraz dziecięciu.

Pani wójtowa nie rozumiała.

— Co za klucz? Od spichlerza, czy od szafy?

— Od budy... sikawki... klucz!

Wójtowa sięgnęła za pas i wyciągnęła pęk kluczków. Przebrała wszystkie po jednemu, jak różaniec na pięknym mosiężnym łańcuszku, który jej zegarmistrz dał z wdzięczności.

— Ja go nie mam, będzie gdzieś pod powalą.

Chłopi pobiegli do wójta i jeden przez drugiego krzyczeli:

— Pod powalą! Pod powalą!

Ale powała pana wójta nie była mała. Pod nią było 6 tragarzy, a nad każdym dwanaście szpar, utworzonych przez deski na nie pokładzione. Pan wójt szuka, szukają chłopi, wyciągają kopy rozmaitych karteczek, pudełek, urzędowych papierów. Tam było gminne archiwum. Jeden znalazł i brzytwę z mydłem i rozmaite rzeczy, ale klucza nie. Pan wójt szukał ręką po półce i zawołał:

— Tu jest, prędko po sikawkę!

Chłopi pobiegli po sikawkę. Otworzyli budę, odrzucili wójtowe konopie i słomę tam ułożone, i ostatecznie przytarabanili się z nią do pożaru.

Ogień przez ten czas nie próżnował. Stajnie, stodoły i sąsiadki stały w płomieniach. Dach na stajniach już spadł, zaczynała gorzeć powała. Ogień oblizywał już dach nad izbą. Ludzie znoszą ze strychu co można i wypróżniają izbę i komorę. Bieżanowa opiera się temu:

— Nie ruszajcie mi moich rzeczy! Chcą mnie okraść, wszystko mi biorą!

I każdego, który niósł cokolwiek, zatrzymywała,

a wyniesiony przedmiot zanosila za wodę do sadu. Ludzie nie mieli jej za złe, że ich ma za złodziei. Ach, człowiek rozum traci, gdy przyjdzie do takiego nieszczęścia!

Na sikawkę wlał jeden gazda, inni nosili wodę. Ale rzecz dziwna. Im więcej leją do skrzyni, tem więcej z niej się wylewa. Woda przeciekała przez dno, jak przez przetak.

— Zasmarować gliną!—krzyczeli mądrzejsi.

— Zasmarować, zasmarować!—krzyczeli za nimi ci prostsi.

Ale nikt się nie brał do niczego i nie było gliny.

Ostatecznie skoczył któryś do Bieżanki.

— Dajcie mi mąki, macie?

— Nie mam ja już niczego! Okradli mnie, porzobili, podpalili, poodnosili wszystko!

— Gdzie są dzieże?

— Albo ja wiem? Tam gdzieś—ukazała po za siebie.

Chłop pobiegł wstecz, nasypał do konewki mąki, nalał do niej wody i zawinął rękawy. Zanim wrócił na podwórze już w konewce było ciasto.

— Z drogi, z drogi! Zasmarować, zasmarować!

Szparę zamazano i za chwilę sikawka była pełna. Dwunastu chłopów ciągnęło pompę; gruby prąd wody lał się na dach domu. O tylne budowy nikt nie dbał. Dla nich nie było już pomocy.

XI.

Skępowany gęsiarz oparł się o plot! Po ciężkiej walce z chłopami wskutek wzruszenia osłabił Senność zamykała mu oczy. Ach, takby sobie po spał, ale nie można leż, a skoro się tylko ruszy czuje ból około piersi. Pożar go nie zajmuje, a wrzawa ludzi, wokół biegających. Nie pojmuje na

wet, co się wokół niego dzieje. Może to dalszy ciąg wesela. Z ludzi nikt również o niego się nie troszczy; i na coby? Ujść im nie ujdzie, jest związany, a pytać się go, poco to uczynił, nikomu nie przyjdzie na myśl. I tak niema zdrowego rozumu, a ju tro go pewnie wezmą inni na indagację.

Skoro przywieziono sikawkę, wszystko się koło niej skupiło. Jedni nosili wodę, drudzy pompowali, inni oddychali, machając rękami, inni wreszcie patrzyli, jak gore, z założonemi rękami. Znużony gęsiarz stojąc, drzemał, wtedy tylko budził się ze snu, gdy go skępowane ręce zabolaly. Wtem przychodzi ktoś do niego i wola:

— Jędrus! Jędrus!

Ocknął się, otworzył oczy szeroko i uśmiechnięty pojawił się około szerokich ust jego.

— Co tu robisz?—pytano się go jeszcze raz.

— Idę, idę. No, chodźmy do ślubu. Patrz, rano mnie zamknęli do komory i nie puścili mnie do ciebie, teraz przywiązali mnie zaś do plotu.

— A dlaczego cię przywiązali?

— Żem cię przyszedł zawołać. Patrz, mam nowe szaty i halenę i nogawice. Kapelusz mi ktoś wziął. Ale to nic, chodźmy.

— Aleś ty przywiązany.

— Odwiąż mnie, Zuziu. Ręce mnie już bolą, tak mi ścierpły.

Zuzka miała wianek na głowie i była wprawdzie w weselnych szatach, ale pomiętych i zawałanych. Nosila i ona wodę i nią się pochlapala. Jej podkaszana koszulka, która przed oltarzem błyszczała białością, wyglądała już jak zamaszczona koszula walecha. Schyliła się nad Jędrkiem i odwiązywała powróż.

— Nie można, mocno cię związali.

— Ano, mocno, i do komory mnie tak mocno zawarli. Alem ją otworzył. Oderwałem zamek i zawiasy. Rozepnij halenę, na kamizelce wisi kozik.

Zuzka rozpięła jego halenę, a pod nią na kamizelce była uwiązana biała tasiemka. Pociągnęła ją, i z kieszeni wysunął się kozik. Gęsiarz czuł jej oddech przy twarzy, serce mu zabiło mocniej. Odkąd przyszła, owiewała go ustawicznie woń goździków. Jędrzek był odurzony. Za chwilę był wolny; zamachał rękami w powietrzu.

— No, a teraz chodźmy. I wieczorem ślub nam dadzą.

— Ale ja już... z Jaśkiem Dąbrową...

— Prawda, prawda! Już mi to mówili, zapomniałem. Spóźniłem się, wszak na mnie czekaliście dość długo? Nie mogłaś ty mnie przyjść uwolnić, jak teraz. Ach, to ciotka... ciotka. Więc nie pójdziesz ze mną, nie pójdziesz?

Zuzkę ogarnęła litość. Wyrzuty sumienia zaczęły ją dręczyć.

— Nie czekałam na ciebie, nie czekałam. Ja nie chciałam iść za ciebie, tylko cię tak bałamucila. Wiesz? Oszukiwałam cię, a chciałam iść za Janka Dąbrowę, a ciebie zwiodłam. Dlatego nas Pan Bóg tak skarał!

Gęsiarz nie pojmował, co ona mu mówi.

— Spóźniłem się, tak jest, alem ja temu nie winien. Gdyby nie ciotka... ale ta mnie do komory zamknęła.

Zuzka chciała mu wszystko wyjaśnić, aby wiedział prawdziwą rzeczywistość. Chciała, aby ją przeklął, możeby jej było nieco lżej na sercu.

— Wiesz, Jędrzek, jam cię oszukała. Mnie nie mieli wydać za ciebie, ale za Janka Dąbrowę. Wiesz?

— Ano, tak, za Janka Dąbrowę, tak! Skorom ja nie przyszedł, poszłaś za Janka Dąbrowę. No, teraz już późno, późno!

Zuzka załamała ręce.

— Stracił rozum, rozum! Boże, a temu wszystkim jam winna, nikt inny!

Ogień nie dostał się już na dach domu, sikaw-

ka mu drogę przecięła. Tylne budynki praskaly, zboże, zwiezione do sąsiedków, dogorywało.

Od sikawki przybiegła do gorejących budowli Bieżanowa. Z pierwszego lęku już się nieco otrzęsła, zaczęła rozmyślać, coby było jeszcze do ratowania. W dali spostrzegła gęsiarza, a przy nim córkę. Przyśzły jej na myśl gęsi.

— Gdzie są gęsi? Moje kochane gęsi?

Biegła ku sikawce, czy kto jej gęsi nie wypuścił. Nikt się tem nie pochwalili; każdy ruszał ramionami. Pobiegła tedy ku stajni i wołała:

— Liwu, liwu! Liwusia moja... liwu, liwu!

Ze stajni odezwała się jej stara znanym gęgotem.

— Ludzie, ratujcie! Ludzie!

Od sikawki przybiegło kilku chłopów.

— Cóż tam nowego, co?

— Gęsi... moje gęsi w stajni! Spalą mi się niebożątka, ratujcie!

— Ba, jeszcze co? — odezwał się gruby głos z gromady. — Cóż to gęsi, bez nich możecie jeszcze gazdować.

— Ale to nie jest gęś gęsi równa! Ta wywiedzie po dwanaścioro z roku na rok. Ja tu zginę, jeśli stracę!

— Ano, pewnie stracie! Spójrzycie, powała już wnet się przepalił. Któż będzie narażał życie dla gęsi!

— Oj, moje gęsi! Nigdy, nigdy was już nie zobaczę.

Gęsiarzowi dopiero otworzyły się oczy, jakby mu był kto z przed nich zdjął zasłonę. Oto, co widzi: Wszędzie ogień, pełno ludzi, którzy ratują. Tylko on stoi, jak ten kołek w płocie. A tu Zuzka i teściowa oplakują gęś, tę samą, która mu do oświadczenia dopomogła. Zrzucił z siebie halnę i śmiało wbiegł do stajni. Drogę znał doорze; już raz wypuszczał gęsi z małego ogrodzenia, które jest tam w ką-

cie. Stajnia pełna dymu, ale on zna sposób. Schylił się, nad ziemią była jeszcze nizka warstwa czystego powietrza. Otworzył.

— Wychodź, wychodź prędko! — krzyczeli na niego chłopci z podwórza.

— Puść je, a one same wyjdą! Liwu! liwusia!

Ale gęsi się nie ruszały. Gęsiarz skurczony wszedł do kojca i wygnał je. Oglupiałe, rozespiane, nie wiedziały dokąd iść. Jędrzek krzyczał za nimi:

— A liwa ha! a liwa ha!

A Bieżanowa z przed stajni:

— Liwusia, liwusia!

I stara podeszła ku drzwiom do gaździnej, gawędząc swym młodym, które za nią szły:

— Ta-ta-ta, ta-ta ta!

Stara skoczyła z wysokiego progu, kierując się ku gaździnie, nagle runęła, a iskry, wyleciawszy w górę, oświetliły horyzont daleko.

Nad stajnią już niema powały, zapadła się z grubą warstwą palącego się na niej siana. Ogień się znów wzmógł, niedopalone siano dawało mu wiele pastwy. Z ust gaździny i chłopów wydarł się dziki okrzyk i wszyscy w niemem przerażeniu spoglądali na zdarzenie.

Gęś, zestraszona trzaskiem, oślepią blaskiem, chciała latać i wpadła do stajni z opalonemi skrzydłami, między swoje młode i gęsiarza. Bezprzymotną, jakby jaki przysmak, oblizywał płomień.

— Wody tu dajcie, wody! Oseki, sikawki — krzyczeli chłopci, przychodząc do siebie z przerażenia.

— Oseki! wody! prędko! Na gęsiarza runęła powała!

— Kara Boża zato, że podpalili! — zauważył mądry starosta.

I już wszyscy byli przy stajni, zlewali ściany; niektórzy odważyli się i do środka dostać i oblewali gorące belki, głównie deski z powały. Wyciągali

głównie osøkami, rozżarzony popiół spadał coraz niżej ku ziemi; za jedną osøką wywlekło się coś czarnego.

— Mój synu, mój synu kochany! Przyszedłeś tu, przyszedłeś na piękne wesele! Już nie będziesz za wadzał nikomu!

To była stara ciotka. Wszyscy się jej ustąpili i ze współczuciem dzielali jej boleść. Mądry starosta zauważył:

— Ano, kara Boża, kara Boża. Podpalacze jej nie ujdą.

Ciotka nie słyszała, co on mówi.

Stajnie dogasili, zrab prawie cały ocalał. Ani izba się nie zajęła; nie było na szczęście wiatru, a podpalacz nie obiegł wsi.

Nazajutrz, gdy Bieżan czyścił pogorzeliisko, znalazł między głowniami coś opalonego. Nikt nie mógł zgadnąć, coby to było...

Zaraz w ten dzień odbywał się pogrzeb. W jednej trumnie gęsiarz i ta opalona miękka masa, znaleziona między głowniami.

Zwoływacza nigdzie znaleźć nie mogli. Mądry starosta teraz nie mówił: „Ano, kara Boża, kara Boża!”

Romans wiejski.

1.

Gdy Mikołaj odłożył swój, a właściwie kościelny śpiewnik, na kartach pergaminowych dobrze zużyty, a na grzbiecie jakby ogryziony; gdy wstał w ławce, w tej krótkiej, stojącej na prawo od ołtarza i poprawił na sobie gunię wyszywaną, cały kościół zagapił się w tę stronę. Nawet i Katarzyna przebudziła się z ciężkiego snu i patrzyła, co się dzieje; ona, o której zaiste trudno było powiedzieć, po co chodzi do kościoła: czy podzemać, czy też posłuchać słowa Bożego!

Mikołaj wie, że oczy całego kościoła spoczęły na nim, wie, że każdy ruch podpada surowej krytyce. Porusza się tedy z godnością, odpowiadając jego stanowisku, wszak jest kościelnym kościoła wietrnickiego!

W jakim senioracie a dystrykcie ¹⁾ leżą Wietrznice? Kto chce, niech weźmie szematyzm do ręki, w nim Wietrznice bezwątpienia znajdzie; chociaż to

¹⁾ Na „senioraty“ i „dystryty“ podzielone są parafie ewangelickie, których na Słowa żyźnie bardzo wiele.

jest kościół mały (około pięćset dusz, drogo wykupionych), przecież o nim nie zapomniano. Ba, wiadomo i o tem, że przed sześciu laty obchodził stułetni jubileusz swego istnienia, a kazanie, przy tej sposobności wygłoszone, leży, a może i wala się w prochu licznych sąsiednich bibliotek z dalszych kościołów. W tym to kościele jest Mikołaj kościelnym.

Taki młody i już jest kościelnym? Właśnie to jest dowodem, że musi być w nim coś, coś osobliwego, nowego. Proboszcz upodobał go sobie jeszcze, gdy był chłopcem. Póżycał mu książek, które Mikołaj w niedzielę czytywał, i to nietylko sobie, ale i kobietom, gdy się u niego zatrzymały, wracając z niesporów. Stary kościelny oddał Bogu ducha i przeszedł do kościoła „tryumfującego“, jego zaś następcą stał się nasz Mikołaj. „Jeszcze jest młody — myślał proboszcz — da się z niego co wyrzesać. Nie hołduje trunkom, a przytem jest silny; gdy pójdziemy po kolendzie, uniesie worki, choćby były i bezedna, jak zwykle z księży żartują“. I tak Mikołaj zeszedł z chóru, gdzie siadywał między młodymi żonkcsiami, a zajął ławkę, stojącą na prawo od ołtarza.

Z początku było ciężko, nim się wprawił, ale powoli wżył się we wszystkie swoje obowiązki. Dziś mu to już tak idzie, jakby się był do tego urzędu narodził. Z jaką powagą idzie po za ołtarz, ba, i po za ołtarzem porusza się poważnie, a przecież wie, że go tam nikt nie widzi. Bierze dzwonek, na długiej wiszący lasce, którą sam pomalował w piękne desenie. Dzwoni, jakby tylko od niechcienia, ale to ma również swoje znaczenie. W ławie na lewo, gdzie siedzi kurator, komitet kościelny i wójt, panuje ruch ogólny. A Mikołaj kroczy właśnie ku nim i wszystkim po kolei podsuwa dzwonek. Nikt nie czeka, aby Mikołaj dwa razy zadzwonił; każdy rzuca chętnie grosz do torebki u dzwonka.

Zaiste, nie mała to sława! Wójt Przesada z zawiścią patrzy na to. „Jaką on ma koszulę“ — i przygląda się pięknie wyszywanym rękawom na koszuli Mikołajowej. — „I ja też jestem młodym żonkosiem, jego rówieśnikiem, a nie mam takiej. No, Zofia, to żona! Moja Marysia takby nie wyszyla, choćby jej dukatami płacił. Ej, to dopiero żona!“ — A Mikołaj, jakby na złość wójtowi, powyciągał rękawy z pod guni i pyszni się niemi. — „Muszę ja być kościelnym — muszę!“ — myśli sobie wójt.

Inni wierni podziwiają również Mikołaja, ale mu nie zazdroszczą, jak wójt. Żaden z nich nie pomyśli o urzędzie kościelnego. Gdzieżby im się mierzyć z Mikołajem! Przecież takiego kościelnego nie ma może w całym kraju i pewnie nie będzie.

Kiedy obszedł chóry, wrócił na dół z dzwonkiem i poszedł ku kobietom. Jest to zaiste najmilsza część jego niedzielnej pracy. Stare kobiety, młode mężatki, a nawet i dziewczki podziwiają jego rękawy. Radeby tak wyszywać, ale żadna się na to nie odważy. Bo co to Zofia kościelnego! Ta ma coś w sobie, może zna i czary; w dobry sposób to się nie dzieje, taka wspaniała robota! A Mikołaj wie, czemu się tak dziwią; komu za to dziękować. Dlatego czasem rzuci okiem ku owemu słupowi, na tę tęgą kobietę, w białym czepcu, twardo wykrochmalonym. Ona śledzi również każdy ruch jego, ale ukradkiem; rośnie jego sława, bo to jest jego Zofia. Gdy przed nią przysunie dzwonek, tak się zachowuje, jakby jej ani nie znał; tego wymaga surowa etykieta.

Napełniony groszami, a może i guzikami mieszek, zdjął i położył go na cynowej tacy przy ołtarzu. I znów siedzi w swej ławce.

— „Ma piękne ciżmy, jakby lakierowane — myśli z zawiścią wójt Przesada. — Gdybym ja wiedział, od czego się tak świecą... I moje przecież paradne, może i droższe, ale czy chcą tak błyszcząć? A niech-

by i świeciły, jak to słoneczko, to i tak mi z nich nic. Niktby ich nie widział. Czyś bosi, w krypciach lub w kordybankach, jeden dyabeł; nogi masz pod ławką. Muszę być kościelnym, muszę!”

Mikołaj wstał znów przy ostatnim wierszu trzeciej pieśni. Wszedł do zakrystyi i wrócił z księgami, które wyniósł na ambonę. Wszyscy patrzą na niego. Sam pan organista wychylił się z po za organów i patrzy na ambonę. Zofia nie patrzy już bokiem, ale prosto na swego męża. Jej się zdaje, że gołębica, pod daszkiem ambony wisząca, trzepoce skrzydełkami. A przecież gołębica jest drewniana, a co więcej, przybita do powały.

— „Kto go tak pięknie strzyże! — trapi się wójt Przesada. — Mnie jeszcze nigdy tak nie ostrzyżono; dlaczego? Muszę być kościelnym, muszę!”

Proboszcz wyszedł na ambonę, a Mikołaj poszedł ku drzwiom, aby je zamknąć. Gunię ma ledwo przerzuconą przez ramiona; szeroka, mosiężna spinka błyszczący, spoczywając na niebieskiej chustce z czerwoną frendzlą, owiniętej około szyi. Jej końce spadają wolno na piersi, odrzynając się wyraźnie na tle białej koszuli i gęstego rzędu guzików u świątecznej kamizelki. Kobiety i mężczyźni nieraz już podziwiali tę grę barw, a i dziś nie mogą się jej naziwić.

— „Żona go tak stroi — myśli wójt Przesada. — To jest żona, na wagę złota! — Oczy jego wyrażają jakąś głęboką melancholię. — „Ej! gdyby to moja Marysia... No, muszę być kościelnym, muszę”.

A dopieroż w coroczny odpust, gdy... Ale na co to opisywać, które pióroby to opisało? A gdyby i opisało, pan wójt Przesada gryzłby się jeszcze więcej, a serce jego tęskniłoby bardziej za dostojeństwem Mikołajowem. Ba, może i sam nauczyciel żałowałby, że jest nauczycielem i organistą.

II.

Wójt Przesada zazdrości Mikołajowi sławy. Oprócz sławy, chyba jeszcze i żony. Czego innego nie może mu zazdrościć. Jest dobrym gazdą, ojciec mu zostawił piękny majątek; przytem ożenił się bogato i nawet przy wójtostwie, co się rzadko trafia, dobrze się zagospodarzył. Kto ma bogactwo, szuka sławy i pożytku. Ztąd ta jego zazdrość do kościelnego. Że i jemu zazdroszą, z niepokojem patrzą na wzrost bogactwa i znaczenia, to on wie bardzo dobrze, ale tego sobie do serca nie bierze. Zazdroszą mu równie jak każdemu, kto rośnie. Wie, że w Wietrznicach są tylko tacy ludzie, jak i gdzieindziej, pod słońcem: mocnego nienawidzą, słabego biją. Ale jego się i boją, bo jest człowiekiem niebezpiecznym. W wojsku i w urzędzie nauczył się rozmaitych podstępów. Kogo chce, tego wprowadzi łatwo w kłopot. Niektórzy zarozumiałcy dostali od niego taką nauczkę, że zlagodnieli jak jagnięta. Jest tedy we wsi prawdziwym potentatem.

Jeden jedyny człowiek nie boi się go: nasz Mikołaj. Są rówieśnikami i dobrymi kamratami. Ani nawet dziwna igraszka losu nie mogła ich rozdzielić. Dziwna, bo przecież wójt kiedyś kręcił się koło Zofii. Nie było listu pisanego z wojska, aby jej nie był pozdrowił „sto i tysiąc razy”. Na wszelkie sposoby prosił, zaklinał, aby czekała, aż zdejmie uniform i wróci do wsi. Zofia czekała, chociaż trafiali się jej dobrzy konkurenci. Przesada przyszedł z wojska, już miały być zapowiedzi: gdy w tem umarł bogaty Jan Fojtek. Po nim została bogata i bezdzietna wdowa. Przesada odsunął się naraz od Zofii i poszedł w zaloty do podstarzałej wdowy. Ta mu uwierzyła i wydała się za niego, a mógł być łatwo jej synem. Zofia poszła znów za Mikołaja, którego przedtem ledwo trochę знаła, ale nigdy nie byłały pomyślała, że Mikołaj zostanie jej mężem.

I wszystko było dobrze. Na wsi na miłość mało uważają, rodzice patrzą na to najwięcej, czy się rola z rolą zgadza, a prawie nigdy na to, czy się serca młodych porozumiały. A przytem wszystkim rzadko przytrafi się co złego. Młodzi przytkną, przygniotą ich różne kłopoty, a serce wychłodnie, ale zapełni się innymi uczuciami. Tak i teraz. Mikołaj i Zofia byli zupełnie zadowoleni; Zofia zapomniała, że niegdyś miała być żoną Przesady.

Tymczasem jakoś w lecie Mikołaj zaczął dostrzegać, że Przesada mu bardzo schlebia i do domu przychodzi. Mikołaj ani przypuszczał, dokąd Przesada zmierza. Tylko Zofia nieco się zmieniła, była jakby zaniepokojona, nie swoja. Mikołaj myślał rozmaicie, co się Zofii stało, ale nie mógł w żaden sposób trafić na właściwy powód. Aż pod jesień wyjaśniło się wszystko.

Szedł do koszenia, a coś mu nie pozwoliło ominąć żony, która grabiła owies pod gajem. Do domu wracać było jeszcze za wcześnie, a trudno, wstyd, czy nie wstyd, za żoną mu było tęskno; od rana jej nie widział. Tylko z gaju spojrzę, co tam robi; a może się pokaże, że trzeba snopy wiązać, chociażby to owsu nie szkodziło, gdyby tak na kupkach poleżał przez jutro, kiedy i tak jeszcze „żywy“, a pogoda niebywała. Ale poszedł. Przedarł się przez gęstwiny i krzaki i stanął na kraju, z kądem był widok na wszystkie strony. Tam pod miedzą na zagonie grabiła jego Zofia. Ale nie sama! Przy niej stał Przesada. Było doskonale widać, jak ma kapelusznasunięty na ucho i wspiera się na grabiach.

— Czego on tam chce? Co ma za stosunki z moją żoną? Czego się tu zatrzymuje? Czuł, że go coś ubodło.

Cały rój dziwnych myśli snuł mu się po głowie. Gdyby to był inny chłop, aniby nie spojrzął. Ale Przesada, dawny konkurent Zofii... Czy to może znaczyć coś dobrego? Ej, nic dobrego nie będzie

z takich schadzek. A ten jego uśmiech, to wstrętne kiwanie nogą! Nie słyhać ani słowa, co mówią, ale się łatwo domyśleć. Na co tam słowa, gdzie mówi tak wyraźnie ta ukryta dolinka, ta samotność i ten tajemniczy szum sosen...

— „Czy to po raz pierwszy, czy nie?“ — Byłby dał siwe woły za to, gdyby mu był kto umiał odpowiedzieć na to pytanie. A za tem cisnęły się inne. — „Co czynić? Tu czekać, patrzeć na nich i ścierpieć wszystko? Albo iść do nich, by się śmiać ze mnie, że się o nią boję?“ Nie wiedział, co począć. „Gdyby była dobra, czyby się z nim wdawała w rozmowę? Przecieżby się go pozbyła, tak, jak on ją wtedy porzucił. A ona jeszcze z nim rozmawia i słucha go! Co robić, co?“

Wstydził się sam przed sobą. A jakże to niegodziwe wszystko, wszystko.

Jakie to niegodziwe — myślał sobie — że Zofia ma tajne schadzki, że chciwy wójt najpierw wziął majątek, a teraz szuka zabawy. I on sam, że tu stoi, a nie może wystąpić przed nią, ale ją szpieguje, jak złodzieja. Gdyby go tu kto dojrzał, jakieżby bajki urosły we wsi! No, nie słyhać tu nikogo, tylko sosny szumią, kolysane ciepłym wietrzykiem.

Nagle zadrżał. Każda żyłka się w nim napreżyła, niby strzelcowi, gdy mu zwierzyzna na cel idzie. Przesada się skrada ku Zofii. Ona jakby go nie widziała. Chwyta ją za rękę, ciągnie ku sobie. Ona się broni, ale co to za obrona! Nie odepchnie go, ażeby się nogami nakrył. Broni się, jakby miała członki z ołowiu. Pozwała się mu ująć za szyję i spoglądać sobie prosto, prosto w oczy!...

Mikołaj przestał się namyślać. Widział żonę, posłyszał jej słaby wykrzyk. Puścił się jak wichur od boru do zagonów. W prawej ręce trzymał ostrą kosę, a słońce sobie w niej igra i odbija, jak w zwierciadle. Nie widzi nic, tylko żonę na zagonie, a przy niej obcego mężczyznę.

— Czego tu chcesz? nie wstydzisz się? — To było wszystko, co wyrzekła. Zresztą, niech ona mówi, co chce. Przesada się nie ruszy. On nie słyszy i nie rozumie, co ona mówi. Jak pijany spogląda na nią. Wtem ona obróci się i krzyknie. W tym krzyku znalazły wyraz przerażenie i strach. Jakżeby nie, mąż z kosą! Wydał się jej aniołem mścicielem z ognistym mieczem. Ależ jaki on straszny, poznać go nie można! To przerażająca postać! Było widoczne, że jest gotów skończyć za jednym zamachem tę sprawę nieczystą. Ręka z kosą gotowa do strasznej roboty. Sam Przesada, chłop tęgi i wojak, zbladł. Widział, że się może stać coś straszego, o czym będą długie lata opowiadać. Serce się mu ścisnęło i bić przestało. Ręka z grabiami mimowolnie się podniosła, a on się uchylił.

Wtem niespodzianka! Kosa leży na ściernisku, obok niej Mikołaj rozciągnięty, nad nim stoi Zofia.

W drogę mu weszła Zofia; Mikołaj się potknął, upadł całą długością na ściernisko, jak gdy padnie ciężka kłoda. Przesada był ocalony. Pędził, jak bez rozumu; włosy mu się na głowie zjeżyły.

— Ja go zabiję, zabiję! — krzyczy Mikołaj i zrywa się z ziemi. Pędzi prosto za Przesadą, ale kosa została na ściernisku. Zapomniał o niej w tym gniewie. Zofia odetchnęła; z prawdziwą ciekawością patrzy, co się dalej dzieć będzie.

Mikołaj dopadł wójta; chwycił go za kamizelkę i koszulę na plecach. Przesada leży już na wznak, a Mikołaj klęczy mu na piersiach. Oczy mu płoną, wargi się trzęsą. Ma go pod sobą, czuje każdy jego oddech pod kolanem swoim. Ma go zupełnie w rękach, tak zupełnie, że Przesada nie ośmieli się nawet bronić. Czeka w śmiertelnym strachu, co się z nim stanie. Mikołaj był jakby bezbronny. Nie wie, co zrobić Przesadzie.

— Co ci zrobić? powiedz, co ci zrobić?! — krzyczy na niego.

Ten milczy, ani się ruszy. Gdyby się przynajmniej bronił, toby zawrzał Mikołaj nowym gniewem; ale wobec bezbronnego i upokorzonego i on jest bezbronny.

— No, powiedz, powiedz, co ci zrobić?! — krzyczy znów na niego.

— A co masz do mnie? Chcesz się bić? — zapytał Przesada przytłumionym głosem.

Mikołaj się zawstydzil. On jest taki rozwścieczony, a ten pod jego kolanem pyta: chcesz się bić? To jest pierwsze słowo wszystkich, którzy już dostali za swoje, albo mają dostać. Pierwszy zwrot pokonanych. Co ma naprawdę z nim robić, z nim, który się nie chce i nie może bić? Wstał i puścił Przesadę. Wstydzil się, jakby on był pokonany, gdy go widział, jak się zbiera na ziemi.

Za plecami ozwał się jasny, wesoly śmiech Zofii: „Patrzcież, kamizelkę ma rozdarta i koszulę!”

Wistocie plecy Przesady były całkiem nagie. Przesada spojrzal na Zofię z gniewem i pogardą. Jej śmiech i słowa dokuczyły mu więcej, niż to, że na piersiach klęczał mu Mikołaj. Raczej wolał śmierć, niż wstyd, że go ona wyśmiała.

Poszedł bokiem w dolinę i ani razu się nie obejrzał.

III.

Zofia wróciła na pole z mężem. Szła obok niego, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Spojrzała na męża, czy się i on nie śmieje, ale jego twarz była surowa, a raczej zimna. Spoważniała więc i ona ucichła.

— Ty się gniewasz? — zapytała go po chwili. Obawa, a raczej niepewność przebijała z jej głosu.

On milczał.

— A czemuż się na mnie gniewasz? Czy ja co winna?

Pierwszy raz się wydarzyło, że jej nie dał odpowiedzi. Odrazu ją jakoś ogarnął smutek.

— Czy sobie ty myślisz, żem go wołała?

— Co wiem, to wiem; widziałem na własne oczy!—odpowiedział jej szorstko.

Nie byłaby pomyślała, że tak umie mówić.

— Teraz mi daj pokój. Nie mam chęci do rozmowy.

Zacięła zęby, łyzy cisnęły się jej do oczu. Wstyd ją ogarnął, że ją tak surowo i szorstko odprawił. „Jak to, krzyknął na mnie; widocznie za nic mnie nie ma!...” Poszła do roboty i grabiła żapalczywie, jakgdyby praca była jej jedyną pociechą. Spojrzała na niego z ukosa: był zimny, poważny, zamyślony. Westchnęła. Pilnie mu znosiła snopki, kiedy zaczął stawiać kopy. Przeszła obok niego nieraz; czekała, kiedy się odezwie. Milczał, ani nie spojrzał na nią. A kiedyindziej, jak to inaczej bywało! Jak jej wyglądał, jak czekał na każde jej słowo!

W ciężkiem milczeniu wracali do domu. Ona się bała odezwać, chociaż szła obok niego; on, jakby jej wcale przy nim nie było.

— To już koniec; nigdy nie będziemy względem siebie tacy, jacyśmy byli. Co ja pocznę, grzeszne stworzenie.

Mieli prawie wejść do wsi, gdy on nagle przemówił:

— Niech was więcej razem nie zastanę, to ci mówię. Będzie nieszczęście!

Jego twarde słowa, powiedziane bez osłonki, ogłuszyły ją zupełnie.

— Ja go nie wołałam—odparła po chwili.

— Jeszczeby tego brakowało, jeszcze tego! — zgrzytnęła zębami. — To nie taka zabawa, jak kiedy

dzieci bawią się w męża i żonę. To jest rzecz poważna.

— Ja nic nie uczyniłam!—bronila się żona.

— Może ci żal, żem cię tak przychwycił? — rzekł ostro, a słowa te ukłóły ją w serce. Jego oczy z szyderstwem spoczęły na jej twarzy.

— A ty sobie co myślisz?—krzyknęła—Wstydź się, Mikołaju, wstydź!

Jej oblicze oblało się rumieńcem, może z gniewu, może ze wstydu.

— To sobie myślę, żem znalazł przy tobie obcego mężczyznę. Jeśli to uczynisz jeszcze raz...

I zamilkł.

— A com takiego zawiniła? Powiedz, jeśli wiesz?

Patrzyła mu w twarz prosto; widać się go nie boi.

— Kto się ciebie boi? Ja się, chwala Bogu, nie boję.

— Włosy ci obetnę—zobaczysz.

Zofia obejrzała się dokoła. Czy przypadkiem kto nie podsłuchuje, czy kto nie usłyszał, czem jej grozi mąż. Włosy obciąć! Cóż jeszcze więcej może stracić kobieta, gdy jej zabiorą ozdobę i znamię uczciwości? Milczała. Gdzieżby znalazła słowa na taką obrazę?

Weszła do komory, zamknęła się w niej i płakała.

— Mamusiu moja, mamusiu, co ja pocznę? Kogo się poradzić, skoro już nie mam nikogo, ja opuszczona sierota! Do kogo się zwrócić, skoro on...

Wspomnienie matki nieboszczki jakoś jej ulżyło ciężaru, pod którym jęczało serce. Już dobrze się zmierzchało, kiedy się ocknęła z tego bólu, czy też oszolomienia. Weszła do izby, ale ta była pusta; wyszła na podwórze, nikogo nie widać. Zrobiło się jej smutno, jak każdemu samotnemu.

— Opuszczona, opuszczona, o ja nieszczęśliwa kobieta!

Gdzie się podział Mikołaj, nie wiedziała. Pewnie dokądś poszedł i wróci na wieczerzę. Dotychczas może gniew go opuści i spełni się przystawie: „Po zachodzie słońca...” Była gotowa zapomnieć o wszystkim, byle się tylko wrócił i okazał nieco dawnej miłości. Przystosowała wieczerzę, lepszą niż kiedykolwiek. Sama jej nie tknęła, aż on przyjdzie. Wieczerza wystygła, ognisko pod kominem przypadło leciuchnym popiołem, w izbie zrobiło się ciemno, a Mikołaja nie było.

Położyła się do łóżka, ale jakże tu zasnąć? Sen odleciał od niej daleko, a na jego miejsce otoczyła ją męcząca rzeczywistość i widziadła, wytworzone podnieconą wyobraźnią:

— Mamusiu moja! Co ja będę robić opuszczona! Ja tu nie zostanę, nie zostanę! Czemużeś mnie, czemu i ty opuściła; któż mnie teraz przygarnie opuszczoną istotę!

Boleść to była nie burzliwa, ale cicha. Uszlachetniło ją wspomnienie matki.

Zarazem padł i promień pociechy w serce.

— Czybym cię wspominała, matusiu moja, gdybym była taka, za jaką mnie mają? Ty widzisz, żem niewinna. Ach, gdybyś go mogła w tem utwierdzić; gdyby spostrzegł, jak mi ubliżył bez przyczyny! Przyśzedłby, przyszedł i przeproszał...

W tej chwili stanął jej w oczach piękny obraz: on przychodzi, przeprosza, oko jego płonie tą miłością i dobrocią, jak przedtem. Ona przebacza, spokój zupelny gości znów w ich gnieździe...

Z tym obrazem w duszy przebudziła się. Było jej wesoło. Widziała wyraźnie, że to nieporozumienie nie może trwać długo, nie może rosnąć, zle musi ustać. Przecież Mikołaj musi uznać, że nie miał racji; musi przynajmniej pierwszy krok uczynić. Czekająca, chodziła obok niego, nastroczała mu sposobność.

„Jakżeby mu było łatwo naprawić wszystko, tylko jedno słówko, jedno słówko!” Ale darmo czekała słówka. Nie przemówił do niej, ani nawet nie spojrział.

Był zimny, surowy i nieswój. Wczoraj cały wieczór przedział u żyda, w kompanii, której nie lubił. A przecież tam został jeszcze i po północy. Wszedł na drogę nieuczciwą. To go gniewało, dlatego unikał żony. Ciężko mu było spojrzeć jej w oczy.

Zofia traciła nadzieję. Przeszedł dzień cały, a Mikołaj się do niej nie zbliżył. Jakże mu we wszystkim pomagała, do pół drogi wychodziła naprzeciw niego, a on—nic. Zawstydziła się sama przed sobą. Szukała tedy sposobu, aby się okryć pancierzem obójności. Z początku szło to z oporem, później przywykła do tego nowego porządku.

W ten sposób w Mikołaja domu zapanował spokój, ale nie ten miły, który ludzi łączy, jedno z drugim wiąże, ale spokój martwy, w którym kwiaty duszy usychają i giną.

Wójt Przesada również się uspokoił, ale tylko pozornie. Dusza jego dyszy zemstą. Upokorzenie, jakiego doznał na polu, ciągle mu żywo przed oczami stoi. Nie zapomniął szyderczego wyrazu twarzy Zofii, a ten mu najwięcej dokucza, nie da mu spokoju.

— Ja was nauczę! Będziecie wy mnie pamiętać!

Ale jakby tu nastąpić na piętę Mikołajowi? Uważa na siebie, z urzędem niema nic do czynienia. Trudno było trafić w jego słabą stronę.

Wreszcie wójt pochwyił chwilę sposobną do zemsty. Uderzył Mikołaja w stronę najsłabszą.

Jednemu gaździe padł koń. Wywiózł go za wieś i miał go tam zakopać. Skóry mu żal było, więc zawołał pomocników i wieczorem, przy świetle, ściągnął ją z konia. Między obecnych zamieształ się

i kościelny, Mikołaj; zwabili go nowi towarzysze. Niktby był na to nie zwrócił uwagi, gdyby się nie była pojawiła piosnka, wyszydzająca kościelnego, który lupieniem koni rywalizuje z cyganami.

— Niechże więc cygan siądzie teraz przy śpiewniku w kościele, aby kościół wietrznicki już całkiem był podany w pośmiewisko.

Któż był autorem pieśni—nikt nie mówił. Mikołaj dobrze się domyślał, gdzie ona się urodziła. Znalaziono ją w kościele, i to w ławkach parobków niezonatych. Ci ją zaniesli do domów i śpiewano ją jeszcze tej niedzieli.

Mikołaj milczał, ale się i bał. Gdyby to doszło do uszu proboszcza! Ostatecznie się uspokoił, bo cała ta sprawa powoli ucichła.

Ale Przesada nie zasnął sprawy, tylko milczał. Raz, kiedy rada gminna siedziała przy kieliszku, wójt zaczął:

— U nas panuje wielka swawola, i po głowach pozwalamy sobie tańcować!

Wszyscy byli zdziwieni tym dziwnym wstępem. Pytali więc:

— A cóż takiego?

— Ano, Mikołaj, co to zrobił; a cóż mu jest? Nic!

— Przecież nic nie zbroił—bronił go któryś radny—to cóż mu ma być?

— Oblupić konia, to nic nie jest?—zawołał wójt rozgniewany. — Czy to godzien jest taki poświęcane sprzęty brać do ręki? Albo nawet proboszcza ubierać? Ja jestem tego zdania, że taki nie ma już charakteru kościelnego.

— No, nie powinien był tego czynić, jakkolwiek się rzecz ma—„ale nie powinien“—odezwał się przysiężny. — Nie mówię już barana, lub owcę—ale konia: no — jakkolwiek bądź ale... — Zamilkł, ale na znak niezadowolonia kręcił głową.

— Ale cóż robił? Nic nie robił! Żli ludzie to wymyślili — bronił go jeden radny.

— A śpiewka to tylko tak powstała? — mówił z przekąsem wójt. — To dla nas hańba wielka, bo już w innych wsiach ją śpiewają. W piątek byłem w powiecie, tam mi ją inni wójtowie śpiewali. Wstyd mnie ogarnął—wierzcie mi!

— No, to już na nas przyschnie, ja to widzę, jakkolwiek bądź, ale... — I przysiężny znów kręcił głową.

— A cóż mu zrobicie?—wołał radny.

— Zrzucić go z urzędu!—zawołał śmiało wójt. Wszyscy zamilkli. Ten nagły obrót rzeczy spadł na nich niespodzianie.

— A zkądże weźmiemy kościelnego?—pytali po chwili.

— Nie pójdziemy na pożyczki do wsi drugiej. Przecież kogo znajdziemy..

Z tej narady wysłano do proboszcza pismo. Mikołaj ma splamione ręce, nie może być kościelnym. Szkoda, że ten dokument zginął z archiwum kościoła wietrznickiego i nie można go tu dołączyć.

Po wsi się rozniosło, co się będzie dzieć z Mikołajem. Każdy był tego zdania, że Mikołaj jest dłużej niemożliwy. Sam proboszcz postanowił wypowiedzieć mu służbę. Było mu go dość żal, bo był człowiek na miejscu. Obrusy, szaty kościelne, miał w pięknym porządku, pyłu nigdzie nie znosił, ścierał go długą miotką. Zaprowadził również pewne reformy i to dosyć rozumne. Świec nie zdejmował z lichtarzy, gdy je zapalał lub gasił. Zrobił sobie blaszany kapturek, którym nakrywał płomień i dusił. Na nim miał również knot, którym wygodnie zapalał świece. I z winem sumiennie gospodarzył, podczas gdy dawny trzymał się tej zasady, że co schodzi z ołtarza, to dla służebnika, a on za „służebnika“ siebie uważał. W pieczeniu opłatków miał też biegłość niezwykłą. Do tego usłużył był zawsze: przy-

woził proboszczowi siano z łąki, albo zboże z pola. No, szkoda go, szkoda! Ale z drugiej strony: konia obłupić, jest to rzecz nieprzyzwoita, dlatego to tyle gadają. Po Nowym Roku pójdzie się po kolendzie: po domach będą częstować proboszcza, tam będzie i kościelny. Jakże włożyć kawałeczek jaki do ust, skoro będzie Mikołaj jadł tę samą pieczeń, ba! może i palce będzie z niej oblizywał? Nie, Mikołaja nie można uratować. Musi upaść. Tak się rozmyślił ksiądz proboszcz.

W niedzielę po nieszpórach zwołano komitet kościelny, który miał w tej sprawie zawyrokać.

Mikołaj raczejby poszedł w świat daleki, niżby zniósł wstyd taki. Wstydział się pokazać ludziom na oczy. Jakże przepędzi tę ostatnią niedzielę? Nie—nie może iść do kościoła!...

Skoro oddzwonili po raz drugi, wykradł się z domu, ze wsi i poszedł w pole ukryć się w krzakach. Widział ztamtąd wieś całą i kościół, i co się tam dzieje. Jaki był dumny ze swojej służby, ile mu ona dawała pożytku i sławy! Dziś wszystko stracone. Inny będzie obnosił dzwonek, na ambonę wychodził i drzwi zamykał. On będzie siedział tam gdzie w kącie i będzie się cieszył, że go nikt nie widzi. Jakże potrafi odwyknąć od służby, która mu do serca przyrosła?

Ludzie szli do kościoła. Przed kościołem na trawniku stają, dzielą się na gromadki; — tam chłopci, tu parobcy, ówdzie kobiety zamężne, dziewczęta i inne. Pewnie radzą, albo żartują. Czy może nie wspominają i jego—tej hańby i wstydu, co na niego czeka? Dzwonią po raz trzeci. Ludzie się ruszyli do świątyni, a dzwony dzwonią tak smutno, jakby na pogrzeb.

Byłby skoczył i biegł do kościoła przyłączyć się do orszaku wiernych, ale nie śmie, nie może. Jest napiętnowany, jak parszywa owca, wyrzucona z owczarni. Już idzie i sam ksiądz proboszcz. Pewnie

myśli: gdzie jest kościelny, Mikołaj? Niegdyś kroczył on zwykle przy jego boku, od dnia dzisiejszego już nie będzie. Już ksiądz proboszcza nie widać — jest w kościele. Teraz powstał cały kościół, zanim przejdzie do zakrystyi. Dawniej on kroczył za nim. Z tego powstania na miejscach i na niego spadała choć mała cząstka zaszczytu. Odtąd na innego to spadnie.

Ukrył twarz w dłonie i oddał się zupełnie załości. Gdyby się miał przynajmniej przed kim uzależnić, gdyby żona była inna. Ale on sam, sam musi nieść ten krzyż ciężki.

Zofia nie wiedziała długo, co się dzieje. Mąż jej o tem nie powiedział, a między ludzi prawie nie chodziła. W piątek przed nieszczęśliwą niedzielą dowiedziała się od sąsiadki, na co się zanosz. Pojęła wtedy, dlaczego Mikołaj jest w tych dniach taki smutny i zamyślony. Było jej go żal naprawdę. Jakżeby nie, skoro widzi, jaka hańba nad nim zawisła, a przecież i jej to dotyczy. Jakżeby się mogła weselić? Zaczęła się domyślać, kto jest tego wszystkiego przyczyną. Zebrała się więc i poszła do wójta. Gdyby tak mogła uratować męża, a ten się o tem dowiedział! Ta myśl dodała jej siły i odwagi. — Byłaby poszła nie do wójta, ale nawet do cesarza!

— Ho, ho! a to niewidziany gość! — zawołał wójt, a oko mu zabłysło.

— Przecież wiecie, wójcie, w jakim jesteśmy położeniu. Wiecie, com wycierpiała przez was. Od tego czasu jest między nami nieporozumienie.

— Czegoż jeszcze nie powiesz? — dziwił się wójt.—I to jeszcze przezemnie! Byliście takim sławnym małżeństwem, a tu, prawi, nieporozumienie. Przecież ja nie chodzę za tobą; gdzieżbym ja za taką, za taką wielmożną. A tu, mówi, nieporozumienie...

— Ja nic nie mówię: to się już nie może naprawić, co się wtedy porobito—wargi się jej trzęsły

i do oka iza się wkradła. Musiała umilknąć, by pozbiierać myśli.—Ja tylko przyszedłam—ciągnęła pewnym głosem—abyście mojego męża nie gubili z powodu tego konia. Ludzie gorzej nieraz robią, a to się z nimi nie dzieje.

— Bo nie są kościelnymi i to sławnymi. Gdyby to był kto inny, ale okrzyczany kościelny wietrznicki! Któż mu już teraz pomoże!

— Wy możecie, gdybyście chcieli. Przecież ja wiem, od kogo to wyszło. Uspokójcie wieś!

Powiedziała to tak łagodnie, jej słowa go tak polechtały, że musiał panować nad sobą. Ani nie spojrzął na nią. Bał się, że będzie tak, albo może jeszcze gorzej, niż tam na polu pod miedzą. A on nie chce mieć z nią do czynienia, raczej się przysposobi do zemsty.

— A jakże to odemnie wyszło? — zaśmiał się Przesada i umilkł. Oko jego błądziło po ścianie.—No, dobrze, niech będzie i odemnie. Dłaczegom to uczynił, sama wiesz najlepiej. Wiesz, wtedy, kiedyś się tak śmiała? I spojrzął na nią surowo, a raczej z gniewem. Wtedy się tak zgryzł, że byłbym sobie wnet co zrobił. Kiedyś będą się oni gryźć, a ty się śmiać będziesz. I oto—jużeśmy w domu!

— I cóż wam z tego?

— To, że twój mąż nie będzie kościelnym, ale kto inny. Te słowa „kto inny” wymówił tak, że wnet odgadła, kto nim ma być.

— A więc nie chcecie, chociaż was proszę! Wiecie, coście wtedy mówili?—I po twarzy Zofii rozlała się rumieniec. Widać, że jej żal tego słowa, które z ust wypuściła.

Wójt był bardzo podniecony. — Tak to było wtedy—wtedy przysięgał, i byłbym słowa dotrzymał. Ale tyś mnie oszukała, zwiódłaś mnie, a potem wyśmiała, jak jakiego błazna. Oszukać się już nie dam, nie! — Było widoczne, jak mu to w porę przyszło, że mógł to Zofii wypowiedzieć. Twój

mąż może na urządzie kościelnego położyć krzyżyk. Zofia wróciła do domu pewną, że mąż służbę straci. Wójt pragnie tego i pewnie to uzyska...

I wójt rzeczywiście dopiął celu pierwej, niż się sam spodziewał. Kościelnego nie było w kościele, więc proboszcz wezwał wójta, aby go zastąpił.

— To już będzie on, pewnie on—mówiły kobiety.—Proboszcz jego będzie chciał.—Byłyby miały co do powiedzenia przeciw temu, ale się wstrzymywały. Wójt tymczasem kroczył tak dumnie, jakby miał pewność na dłoni. Gdy wynosił książki na ambonę, potknął się na najwyższym stopniu i spadł z książkami z ambony.

— Bóg pysznych poniża!—pomyślały sobie kobiety.

Komitet kościelny zgromadził się po nieszpórach, radził i potem się rozszedł. Kobietom nie podobał się wójt wskutek wielkiej pychy. Było im żal Mikołaja; żony komitetowych nakazały mężom, aby bronili Mikołaja. Takie instrukcje muszą być zwykle ściśle wypełniane. Zawołano świadków; świadkowie udowodnili, że Mikołaj się konia wcale nie dotknął, ale tylko świecił latarnią. To go ocaliło.

Gdy komitetowi odeszli z plebanii, proboszcz zatrzymał Mikołaja.

— Nie podobasz mi się: nie jesteś taki, jakim dawniej byłeś. Przecież ty, jako kawaler, nie chodziłeś po karczmach, a teraz jako młody żonko bardzo często do karczmy zaglądasz. Co to znaczy?

Mikołaj spuścił oczy, bo się lękał przenikliwego wzroku proboszcza. Proboszcz mu palcem pogroził:

— Uważaj na siebie: dyabeł kusiciel chodzi dookoła, patrz, abyś się nie potknął!

Mikołaj odszedł zatopiony w głębokich myślach.

Zawitała zima ze wszystkimi kłopotami. Śpieszyło się jej jakoś; w drugiej połowie listopada po-

kryła ziemię świeżym śniegiem, jak okiem sięgnąć. Na to przyszły tęgie mrozy, gazdowie wyciągali sanki z wozowni, z pod rozmaitych rupieci. Pańscy woźnice zawieszali na koniach zimowe pokrycia z wesolemi dzwonekami. Rano rozlegał się nieraz po wsi znany kwik, którym wykarmiony wieprzek oznajmiał, że się przeprowadza z chlewa na koryto. Chłopcy po szkole wychodzili z sankami po za wieś i spuszczały się na góry na dół.

Ej, ma i zima swe piękności, i to jakie!

Szkoda, że mały Antek miał zupełnie inne zdanie o zimie: nieprzychylnie. Gdyby Boże Narodzenie mógł przełożyć na lato, pewnieby zimę wyskrobał z kalendarza. Nie dziw; mały Antek nie jest poeta, ale tylko dzwonnikiem kościoła wietrznickiego. Patrzy on na zimę, jako na wielką nieprzyjaciółkę. Dzieje się to dlatego, że gdy spadnie śnieg po pas, ciężko mu odmiatać chodnik od plebanii do kościoła. Nieraz sobie chuchnie w palce, zanim się przedostanie przez te zasy aż do drzwi kościelnych. Nawet sobie zapłacze, gdy zima bardzo dokuczy. Inny on chłopiec, niż drudzy. Pochodzi z pańskiej krwi, ma cieńszą skórę; zima mu też prędzej dokuczy, niż wiejskim urwiszom. Jego ojciec jest szewcem gromadzkim, a synalka dał do służby kościelnej, aby zawczasu przywykał do reguły.

Zawitał adwent. Zaraz rano w pierwszą niedzielę adwentu miała być spowiedź. Napadało mnóstwo śniegu, i chudak Antoś już od świtu trapił się przy nim. Długo, długo znosił zimę, ale skoro mu zaszła za paznogie, rzucił miotłę i narzekał przy kościele.

— Co ci to chłopcze? — pytały kobiety, które właśnie szły do kościoła.

— O joj, joj. Za paznogie mi za-a-szło! O joj, joj! — śpiewał Antek.

Kobiety go żałowały, bo zima była niemała. Wiatr dał od wschodu, jakby ciał ostrzem.

— Niebożatko, male jak pięść, a tak go ponie-wierają!

— Mógłby go ojciec wyręczyć. Ale nie ma Boga w sercu, kiedy go tak... Niebożatko! Zarobi ten kawałeczek chleba. Synku, a czemuż ci kto nie pomoże? — pytała się go żona podwójciego.

— Kiedy mają wszyscy robotę — żalił się Antoś.

— Powinniby go wyręczyć, powinni! — mówiły gospodynie.

— Najwygodniej to Mikołajowi — odezwał się im za plecami wójt. Ledwie nadszedł do rozmowy i wnet jej dał inny obrót. — Temu jest dobrze! Ma kozuch, gunię i sukienne chodaki, że z piecaby mógł w nie skoczyć. Jeszcze i rękawice na rękach. Ale on właśnie poszedł na plebanię i wygrzewa się przy piecu.

— Prawda, doskonałą ma odzież — przyświadczały kobiety.

— Czyby mu korona z głowy spadła, gdyby odmógł ten chodnik? — mówił dalej wójt, jakby mimochodem. — Właściwie, gdzie on powinien przebywać, czy na plebanii przy piecu, czy tu na chodniku?

— Mógłby, mógł, gdyby chciał!

— Naturalnie, on też niby do tych należy, którzy sami się do czego wezmą, albo się czego domyślą! Jemu trzeba tylko rozkazać! — rzekł wójt.

— A czemuż mu nie rozkażecie? — wmieszała się w to żona radnego.

— Jemu? To jest większy pan, niż my wszyscy z waszym mężem.

Weszli do kościoła. Przed spowiedzią oceniały kobiety odzież Mikołaja. Zdało się im, że to grzech nosić taką odzież, a nie odmiatać chodnika.

Wróciwszy do domu, rozumowały, co powinien robić kościelny. Sama pani podwójcina postanowiła, że tę reformę musi w życie wprowadzić. Na prządkach namówiła inne, te namówiły mężów, i na naj-

bliższemu posiedzeniu komitetu kościelnego Jurak przedstawił wniosek żony. Podobał się, bo nie pociągał za sobą żadnych wydatków; trzeba było tylko kościelnemu rozkazać. Zawołano go zaraz i oznajmiono, jaki ma nowy obowiązek.

Mikołaj się zdumiał; nie miał ani przeczucia, co się przeciw niemu gotuje. Ale skoro ujrzał wójta i złośliwy uśmiech na jego twarzy, pojął, kto tego wszystkiego inicjatorem. Nie, tu go nikt nie zobaczy; podziękuje za służbę, do której mu taki niesprawiedliwy dodatek przydali, bez jego wiedzy. Ale widział, jak wójt tylko czeka na to i naprzód się radowuje i sposobi się do zajęcia ławki kościelnego.

Zasmucił się i, rad nie rad, przystał.

— Byle mi tylko mógł dokuczyć, ale zobaczymy, kto się podda. Gdyby był kto sposobny na kościelnego, lecz to onby pewnie dostał, on. Poczekaj sobie, poczekaj.

Bądź jak bądź, ale tego to mu już było za wiele. Nie o robotę szło, ale o tę pewność, że to on zrobił, on, który mu i w domu życie zatruł. Jakież dla niego teraz dom inny, pusty. Nic go już nie cieszy. Żona smutna, milcząca w jednym kącie, a on, również zwarzony, w drugim. Ani go urząd nie cieszy. Chętnieby się go zrzekł, chętnie, gdyby mógł.

Panowały straszne wichry, narobiły przez noc zasp, a on je musiał odmiatać. Gdyby to raz w tygodniu, ale to trzy razy: w niedzielę, we wtorek i w czwartek. W Wietrznicach bywały oraty we wtorek i czwartek. Musiał wstawać wczas do dnia, aby chodnik przed szóstą był już odmieciony. Starał się sobie ulżyć, jak umiał. Zrobił sobie szeroką łopatę, a z nią szła mu praca dość sporo. Nie miał jednak i z nią pociechy, bo mu się zdawało, że wójt stoi mu nad głową i rozkazuje, a ta myśl nie dala mu spokoju.

I dziś jest równie smutny. Jutro są jego imieniny: Mikołaja. Uświęci ten dzień tem, że wstanie

do dnia i pójdzie znów odmiatać chodnik. Śnieży od rana i pewnie będzie przez noc całą. Przytem tak mu smutno; powoli zapomni i języka, nie ma z kim ani słowa pomówić.

Spojrzał bokiem na Zofię.

— Jak się jej nie sprzykrzy tak milczeć — dziwił się. — Innaby nie wytrzymała, a ona... Czart mi również nadał, zem tak wpadł na nią. Ale ktoby się był spodziewał, że ją zastanę z takim...

Spojrzał na nią znów.

— Czy ona się gniewa, czy co?

Nad tem łamał sobie długo głowę. Ona odczuła, że mąż na nią patrzy, nie mogła wytrzymać, musiała spojrzeć w tę stronę. Oczy ich się spotkały. Tylko jedno mgnienie oka, ale oboje w nich wyczytali, że gniewu już niema. Zofia się zaczerwieniła po uszy; ani za czasów panieńskich tak się nigdy nie zawstydzila.

— Co się mu stało, że przecież spojrzał na mnie! — dziwiła się. — Może się jaki cud stanie.

Siedziała cicho i nie oderwała oczu od kądzieli, na której miała len nawiązany.

— Przecież ta Zofia jest szwarna! — myślał sobie Mikołaj. — Czerwona, jak piwonja. Miał się ku czemu zwrócić ten dyabeł. Ale gdybym ja wiedział, czy ona się gniewa lub nie.

Przed wieczorem miała Zofia robotę w spichlerzu. Trzeba było zanieść jęczmień do mlyna. Mikołaj został sam w izbie.

— Niech się dyabli dasają, a nie ja! Coby jej tak za figla wypłatać, co?

Rozmyślał długą chwilę. W koszyku przy kominie stało około sześć wrzecion przędzy Inianej.

— Naprawdę, co ona też powie, kiedy jej przędzę pomotam?

Chwycił mótowidło i namotał na nie przędzę z wrzecion. Niezadługo po ukończeniu tej roboty weszła Zofia.

Pięknie wyglądała w białym kożuchu. Chustka kożuch były przyprószone śniegiem. Na powiekach trząsał się również duży płatek świeżego śniegu, ale natychmiast stopniał.

Mikołaj plótł opalkę i jakby nigdy nic, przybrał minę poważną. W duchu się śmiał, co Zofia robi, gdy znajdzie próżne wrzeciona. Zjedli wieczerzę podług nowego obyczaju: każde jadło osobno i jedno po drugim. Już przywykli do tego dziwnego sposobu, który tylko z początku był dziwny bardzo. Zofia obwiązała kądziel chustką, wdziała kożuch i poszła po wrzeciona do koszyka.

Stała, rozmyślała. Była zdumiona, że wrzeciona są puste. Myślała w pierwszej chwili, że pewnie jej kto przędzie ukradł. Ale tu wiele pustych, co to jest? Musiał je kto pomotać! Zdjęła z powały motowidło i policzyła, ile jest pasm namotanych.

O cztery więcej, niż przedtem.

— On, on! — ozwał się jej w duszy, a serce zaczęło w niej skakać.—Czy naprawdę on?

I spojrzała w tę stronę, a on się patrzył na nią. Około jej ust przeleciał uśmiech.

— Śmieje się, przecie się śmieje! — cieszył się Mikołaj.—Ale żeby nie przemówić, naprawdę, chyba ma język odgryziony.

Zofia się śpieszyła, jakby się czego bała. Było jej tak nieswojsko z nim samej. Żeby tu był kto trzeci, nie poszłaby od niego ani na pięć, ale sama, to niemożliwe.

Mikołaj zaś chciał wolać na nią, żeby nie szła, aby tu została. Ale niechtam, przecież się wróci.

Dzisiejszy wieczór wydał mu się niezmiernie długi, nie miał nawet końca. Myśli jego były zajęte ciągle Zofią. Zanim przyjdzie, to cała wieczność! Umyślił sobie, że poczeka na nią. Co ona też pocznie, gdy będzie z nim sama, gdy nie będzie mogła przed nim uciec. Aby sobie czas skrócić, poszedł

z opalką do sąsiada, który cierpiał na reumatyzm. Chorzy ludzie snu nie miewają, mogą gadać. Został tam aż do jedenastej. Gdy sądził, że z prądek już wracają, przyszedł do domu i położył się. Nie spał, ale czuwał.

Zofia przysła przed wrota i spoglądała w okna. Ciemno.

— Już śpi — pomyślała sobie. — Przynajmniej mnie nie usłyszy.

Otworzyła wrota cichutko, aby nie skrzypnęły; wkradła się na podwórze. Kądziel oparła o ścianę i poszła prosto do wozowni. Było prawie widno od śniegu, chociaż księżyc już zaszedł. Śnieg już nie prószył; zdaje się, że się od rana wyjaśni i będzie mróz tęgi.

W wozowni znalazła miotłę i łopatę Mikołajową. Jak weszła, tak cichutko się również wykradła. Lekkim krokiem pośpieszyła po za plebanię stodoły i chwyciła się roboty.

— Co on też powie, kiedy zostanie chodnik obmieciony?

Zrobiło się jej tak wesoło na duszy. Dziś rano postanowiła sobie, że Mikołaja wyręczy. Było jej go żal i chciała mu się przypochlebić. Może go w ten sposób ugłaska. Tymczasem w ten sam dzień przed wieczorem on ją uprzedził, jakby odgadł jej zamiar. Była pewna, że gniew jutro albo pojutrze ze wstydem opuści ich chałupę. Wyrzuca go przed próg na mróz, niech tam zginie, aby nie ożył.

Ej, byłż to praca wesoła a lekka. Było zimno, ale jej było ciepło; było ciemno, ale jej w duszy było jasno; tam za kościołem cmentarz, a zamiast żalu i smutku, jej jest wesoło, wesoło! Prawie trąbiono na pierwszą, gdy wróciła do domu.

— Byle się tylko nie zbudził—myślała sobie.— Byle się nawet nie spodziewał, żem go wyręczyła.

Przysła ku drzwiom, uchyliła je ostrożnie

i chciała się wkraść do wozowni. Ktoś ją schwycił za rękę.

— O jej! dla Boga!—krzyknęła.—Kto tu?

— Gdzieś była?—odezwał się głos męża.

Przeiękła się; głos był surowy i zimny.

— A ty co tu robisz?—pytała go.

— Gdzie się włóczyysz po nocy? Zkąd wracasz?

Głos jego brzmiał groźnie.

— Czy prządki siedzą i po północy?

Z tego pytania brzmiało szyderstwo. Prawie tak, jak po tem zdarzeniu pod lasem.

— No, nie umiesz mówić?

— Któżby się był spodziewał, że cię tu napotkam—zaczęła Zofia.—Chciałam...

— Myślałaś sobie, że śpię! — drwił z niej. — Czasem to dobrze i nie spać, bo człowiek to i owo zobaczy.

— Prawda, tyś przecie...

— ...widział, jak żona o jedenastej porzuciła kądziel, a potem idzie na—zalot!

— Ja, nie.

— Naturalnie. A gdzieżeś była gdzieindziej? Ja już widzę, że nie chcesz włosów nosić. A szkoda je utracić tak przed zimą.

Chwycił ją za głowę i zerwał jej czepiec.

— Mikołaju! nigdzie nie była, daj pokój!

Jedną ręką trzymał ją za włosy, w drugiej widziała coś podobnego do nożyc.

— Przecież ja byłam sama przy kościele. Wierzaj mi, sama!

Za włosy ją jeszcze trzymał, ale drugą rękę upuścił. Odetchnęła nieco.

— Czegoś tam sama szukała?

Podniosła łopatę i miotłę. Po białym śniegu poznał Mikołaj jej kontury, ale nie wiedział, co to znaczy.

— Chodnik odmiatałam. Chciałam cię wyręczyć.

Głos jej drżał od wzruszenia. Naprawdę płakała.

— Chciałam, abyś na imieniny miał spokojny odpoczynek, a ty mnie bez zawinienia szkalujesz.

Wziął z jej ręki łopatę i trzymał w swojej.

— Tak, więc tyś chodnik odmiatała!—rzekł po chwili głosem zmienionym. — A ja taki błazen, taki! wnetbym cię i zabił!

Zofia oparła się o ścianę i płakała teraz już głośno. Mikołaj nie wiedział, co począć. Kogo najwięcej nienawidził, to siebie samego.

— Ja stary błazen, narobiłem takich głupstw. Czy ja ostatecznie już nie mam rozumu ani na narstek?

I jeszcze inaczej zlorzeczył swemu Mikołajowi.

— A bardzo się gniewasz, Zosiu?—nachylił się ku niej i głaskał ją po głowie. — Widzisz, ja taki, taki...

Zofia nie rzekła nic, ale głowę oparła o jego piersi, wciąż płacząc. Nie miała na jego słowa odpowiedzi innej, jak tylko łzy—radości.

— Widzisz, ja się bałem, że ten dyabeł... — tu się zaciął.—Czyż ja nie stary głupiec?

Zofia się przez łzy roześmiała.

— Jak chcesz, skoroś ty tylko... skoro się tylko nie gniewasz!

Pocieszeni weszli do izby. Była taka ciepła, przyjemna...

Skoro rano wstali, było słychać jak wicher hu-czy. Rozkosz to była siedzieć w ciepłej izbie.

— Przecież to dobrze, że chodnik odmieciony — cieszył się Mikołaj, ale natychmiast uderzył się w czoło. — Aha, prawda, odmieciony, skoro wicher dmie. Ja muszę iść raz jeszcze—rzekł wesoło.

— Przecież ci nic nie pomogłam—śmiała się Zofia.—Musisz po mnie poprawiać.

— To za karę, żem cię posądził niesłusznie — odpowiedział Mikołaj i ohotnie pochwycił miotłę i łopate.

Cienie i światło.

I.

Pierwsza od Boga, druga od ludzi, trzecia od czarta...

Taką drabinę dał los pod nogi Jędrzejowi Kutraniowi. Zaczął od wierzchu i zeszedł po niej aż na najniższy szczebel, na granicę rozpacz. Ktoby go dziś poznał, siedzącego na progu z siwą, w dłonie schowaną głową? Włosy wysunęły mu się z po za ucha i w swobodnych kosmykach wisząc, ocieniają chudą rękę z nabrzmiałymi żyłami. Odzież jego zaniedbana, łąta na łacie. Krypcie przywiązane domowym wyrobem, konopnemi sznurkami, bo „na rzemień nie starczy, skoro się nie zarobi“ — mawia jego żona, Maryanna, gdy jej to sąsiedzi wytykają.

Ostatecznie niema stworzenia, do którego by się słońeczko przynajmniej kiedy niekiedy nie uśmiechnęło. Uśmiecha się więc i do Jędrzeja i ogrzewa jego stare nogi. Zeszłej zimy mawiał, że się już nie ogrzeje przy nowem słońeczku, a oto ogrzewa się.

Skrzypnęły drzwi od izby, do sieni weszła żona. Maryanna Kutraniowa jest właśnie w najlepszych latach. Twarz rumiana, goreje jak ogień. Czepiec na głowie biały, szeroki, jak gont twardy. Na szyi chustka barwy oliwnej w kwiaty; rękawy u oplecka namarszczone, błyszczą w słońcu białością.

— Czemuż siedzisz na tym progu? Ruszże się!

Jędrzej nie odpowiedział słowem, ale spojrzął na żonę tak wymownie! Nie zrozumiała go. Westchnął.

— Tylko wzdychaj, a rozsiadaj się! Czemużbyś sobie nie pozwolił, skoro ma kto za ciebie ciągnąć. Ale...

Nie skończyła. Czekala, czy Jędrzej co nie powie, że może potem pójdą od słowa do słowa, i że się rozwinie znów jakie nieporozumienie, którego żadnego poranka nie brakło. Jędrzej milczał.

— Co ja mam robić, biedna kobieta! Siedzi jak niemy, jakby był język połknął; ale do roznoszenia bajek—o wtedy mu się język rozwiąże!

— Ja nic nie roznoszę, byłby to zbytek. Bóg widzi i świat, jaki jestem.

— Tak, tak!—pokiwała Maryanna głową.—Oczy jej błysnęły jak kotu, gdy widzi, że się mysz jeszcze porusza.

— Mnie nie widzi, że się męcę od rana do wieczora, że się trapię i gryzę, żem sobie młode swe lata przy nim zmarnowała i świat sobie zawiązała. Tego nie widzi. Któż cię żywi, cobyś ty sam robił?

— Bodajesz mnie więcej nie żywiła!—wymknęło się biedakowi Jędrzejowi. W smutku ani spostrzegł, że wyrzekął przeciw wyrokowi Boskim.

— Dobrze! Jakiś ty, taka będę i ja. Wstaniez mi zaraz, ale to zaraz, i pójdziesz narąbać trzasek.

— Nie potrafię.

Podniósł rękę, która bezwładnie spadła na kolana.

— Nie potrafisz, kiedy nie chcesz. Musiszabrać ochoty, jak maku. Najciężej się tylko wziąć do kupy, a zobaczysz. To nie są kloce, abyś musiał na nie pałkę dźwigać; to gałęzie, którym ja wczoraj przywlekła. Tylko dźwigniesz siekiere, a gałązka przecię-

ta. Nie daję ci ciężkiej roboty; skorom ja je mogła przynieść, ty je możesz porąbać.

Uspokojony nieco łagodniejszą mową żony, Jędrzej zabrał się ku szopie do wielkiego stosu gałęzi. Trudno uwierzyć, żeby to kobieta mogła przynieść na plecach. Ale kto spojrz na mocną Maryannę, musi uwierzyć. Chwytał siekiere do ręki, ale ją ledwo podźwignął. Położył gałąź na klocek, siekiera spadła, ale gałąź nie była przecięta. Co dla mocnego chłopca zabawką, to było dla Jędrzeja ciężką pracą. Pot wystąpił mu na czoło i oblał twarz pomarszczoną, ginąc w siwych kosmykach dawno niegolonej brody. Ręce opadły na dół, jakby z ołowiu; musiał usiąść na klocek.

Drzwi od izby skrzypnęły, pod ścianą stanęła gaździna.

— Tylko to porąb, aby było co wieczorem położyć na ogień. Obiad masz gotowy pod ogniskiem. Na południe wydoisz krowę, ja dopiero wieczorem wrócę od siana.

Uwiązała sobie na plecach zawiniątko, wzięła grabie do ręki i rażnym krokiem wyszła popod ścianą na ulicę.

Jędrzej westchnął ciężko. Skrył twarz w dłonie i zatonął w dawnych wspomnieniach.

Jedynak bogatego Pawła Kutrania przeżył młodość w dostatku, bez troski. Miał wszystko, czem tylko los człowieka obdarzyć może. Młodość, zdrowie, towarzyszków, pole, lasy, a nadewszystko rodziców. Pod ich skrzydłami opiekuńczymi wyrósł na pięknego parobka. Nie wiedział, co to jest smutek, co troska. Nawet i serce, zapłonawszy pierwszą miłością, nie doznało żadnych goryczy zawodu. Wszak ta, która mu była drogą, już od kolebki była mu przez rodziców przyrzeczona.

Dwudziesty rok był dla niego fatalny. Wójt zabrał go do miasta i bardzo grzecznie się z nim

obchodził. Podróż nie była smutna; szli z nim wszyscy rówieśnicy, z bukietami przy kapeluszach, ze śpiewem na ustach. On śpiewał również, ale jakiś niepokój ścisnął mu serce. Gdy doszli do miasta, wójt ani nie popatrzył za innymi; jego tylko wziął do gospody i dawał mu wszystko, czego tylko dusza zapragnąć może. Właściciel gospody zastawił cały stół jedzeniem i piciem, ale Jędrzej na nic nie miał apetytu. Wójt go wprowadził potem do jakiegoś wielkiego domu, który nazywają powiatowym, tam go w jakiejś wielkiej izbie naobracali, pan z szabla poklepał go po ramieniu i zapisali go do „wielkiej księgi”.

Towarzysze jego wrócili wnet po południu, znów ze śpiewem; Jędrzej dopiero wieczorem, ze zwieszoną głową, ostrzyżonymi włosami i jakimś ciężarem na duszy.

Cóż mu to pomogło, że go wójt cały wieczór traktował, rozmawiał z nim, że cała wieś patrzyła na niego, jakby na jaką wyższą istotę, że mu dozwolono w środku wsi most rozwalić, towarzysza bez przyczyny obić, z każdym się wyklócić i nie bać się ani nawet wójta? Z tego wszystkiego nic mu nie było. Przyszła jesień, matka napięła białych jak śnieg kołaczów, polala je gorącymi łzami i poukładała do nowego tornistra. Były tam i koszule białe, wymaglowane jak papier, i wójt przyniósł podarunek od gminy: cztery nowe koszule muślinowe i pieniądze tyle, jak ich Jędrzej jeszcze nigdy nie miał. Przed domem zatrzymał się wóz — sam wójt go najął — w nim zaprzężone cztery konie jak łanie, wstążkami i chustkami przyozdobione, jakby na wesele. Skoczył do wozu, siadł przy wójcie i jechał przez wieś, a wszyscy go odprowadzali. Wyciągano do niego ręce; on nic nie widział, ale na ślepo ścisnął ręce obecnych. Oczy mu się zalały łzami, i tylko na chwilę widział jasny obraz przez łzy swoje. Na mostku przed domem stoi dziewczę, jakby

przykute do ziemi. Nie ciśnie się do wozu, ani nie płacze, patrzy za nim z niemą boleścią, ale jej oczy mówią:

— Kocham cię i będę cię kochać.

Trzy lata ciężkiej wojaczki minęły, Jędrzej wrócił szczęśliwy do wsi swojej. Ojca już nie było na świecie. Jeszcze przed godami obchodzono u Kutraniów wesele, a Jędrzej po trzech latach tęsknoty tembardziej się cieszył ogniskiem rodzinnym, uświęconem miłością.

Byłby się cieszył do dnia dzisiejszego, gdyby wsi nie był nawiedził gość czarny. Jak każdy gość, tak i ten, zaprosił się do najmielszego domu w całej wsi, do Kutraniów. Widocznie mu się spodobała szwarna, przystojna kobieta i zabrał ją z sobą. Dość mu się nabroniła, dość się Jędrzej napłakał; pierwszą ofiarą gorączki, przyniesionej z Pesztu, stała się młoda żona Jędrzejowa.

Oplakiwał ją trzy lata i byłby ją oplakiwał do dziś, gdyby nie był musiał do swego gospodarstwa wziąć stosownej gaździny. Wyszukał sobie cichą, starszą wdowę. Czego w niej szukał, to i znalazł. Gdyby był szukał więcej i toby był znalazł. Ale jego serce było zamknięte, a klucz od niego z pierwszą grudką ziemi rzucił za pierwszą żoną do grobu.

Cicha wdowa umarła, złamana wiekiem, zrobiwszy go dziedzicem i swojego, bardzo pięknego majątku. Jędrzej został wdowcem po raz drugi.

Byłby może po dziś dzień był wdowcem, ale ludzie mu nie dali spokoju. Chociaż już prawie sześćdziesiąt lat liczył, przecież był Jędrzej pożądanym na męża. Liczne serca wzdychały za nim potajemnie, a właściwie za jego dwureńskówkami, które miał mierzyć ćwiercią. Z apatyj wyprowadziły go nagle bajki i zaczął się wokoło z pewną trzeźwością oglądać. Oko jego spotkało się niepostrzeżenie z czarnem okiem wiejskiej krasawicy i mimowolnie na niem spoczęło. Płomień, który z niego

błyszczał, roztopił lodową powłokę, pod wpływem czarnych oczu zbladł w sercu jego obraz pierwszej miłości. Jędrzej czuł, że powinnością żywych jest zapomnieć o umarłych, a cieszyć się z żywymi...

Tak oto stał się mężem swej Maryanny. Nie szło to wprawdzie tak szybko, jak się mówi, albo jakby tego był Jędrzej pragnął. Młoda żona stawiała rozmaite warunki. Któż się zdoła oprzeć miłości, zwłaszcza, gdy mówi przez tak różowe usta do starego, prawie już osiwiałego wdowca? Jędrzej zapisał żonie wszystko, a jemu zostało z całego wielkiego majątku tylko dożywocie.

Dcżywocie u kochającej żony znaczy więcej, niż skarby Sardanapalowe. Ale dożywocie u młodej, pięknej dyablicy zmienia się w samą truciznę. Taką to trucizną od tej godziny prawie karmiła Maryanna swego starego męża. Kij żebraczy wydawał mu się berłem królewskim. Byłby się go już dawno chwycił, ale nie mógł się wydostać z jarzma, które sobie sam na szyję włożył. Jedyne wyjście wydała mu się śmierć, pragnienia jego zwracały się tylko ku niej, jako pragnienie każdego zmarnowanego życia, osłabionego nadto jeszcze starością.

Ileż to razy pogrążał się w dawnych wspomnieniach! Było to jedyne, co mu jeszcze pozostało i w czem jego dusza znajdowała nieco uspokojenia.

Pod ścianą ozwały się kroki. Jędrzej się ocknął. Gdyby to była ona, a zastała go nieco uszczęśliwionym? Nie miał odwagi podnieść głowy.

— Czemuż tak siedzisz? czyś może chory?
Był to głos jego siostry, Zofii.

— Nic mi nie brakuje, ale odpoczywam.

— A po czemże odpoczywasz, czyś co robił?

Jędrzej pokazał gałąź, położoną na kłocu i jeszcze nie rozrąbaną.

— I ona ci pozwoliła rąbać! Nie boi się, że

ją Pan Bóg skarże? Pozwoliła mu rąbać, a masz ty siłę?...

— Ręce są już ciężkie; słabym jak mucha, ale...

— Ale... ale... A ty się jeszcze dla niej trapisz! A ona czy ma Boga w sercu? Nie ruszaj tej siekierki, bo... bo... A gdzie ona?

— Poszła do siana.

— Do siana—po rosie! Tam jeszcze rosa, a ona już poszła. Czego tam szuka; nie mogła ona sobie sama porąbać—taka młoda! Wiesz co, nie dotykaj się tej gałęzi. Niech sobie kładzie na ogień, co chce, a jeśli ona rąbać nie chce, niech sobie najmie rębacza; ma za co!

Mówiła to Zofia szybko, a całą jej istotę oparowało wzruszenie. Maryanny nienawidziła z gruntu swej duszy. Przeciwno małżeństwu brata pracowała wszelkimi siłami zaraz od początku. Gdy nie mogła bratu wybić z głowy jego miłości, zienawidziła dom jego i na weselu się nie ukazała. Gdy położenie brata było coraz gorsze, nie mogła przemódz na sobie, wrodzona dobroć przywiodła ją znów do niego. Mimo to nie mogła mu przebaczyć tego fałszywego kroku, a ilekroć się z nim zesła, zawsze mu to wytykała.

— Ej, mówiłam ja ci, mówiła, ale na nieszczęście, nie chciałeś mnie słuchać. Jakby ci mogło być... Albo gdybyś przynajmniej nie był jej wszystkiego zapisał, pociąg ty podpisywał?

— Ano tak, ano tak! Gdybym sobie był raczej rękę odciął, gdybym był odciął. No, na drugi raz byłby człowiek mądrzejszy.

— Tak, tak, ale wtedyś się gniewał. Mówiłam ci, abys się nie dał podejść. Nawet gdybyś był młody, jeszczeby mnie to było nie mierzilo, ale człowiek w latach, przy rozumie! Gdzie ci się ten rozum podział, żeby się dać tak przekabacić.

— Dajmy temu spokój, to już darmo. Pan Bóg

mnie pokarał za grzechy. Dlaczego go kusił; ale to nieszczęśliwe ożenienie! Jakżem się go zarzekał po śmierci tej pierwszej, że o drugiej ani nie pomyślę, a ja — oto...

Lzy stanęły mu w oczach. Kiedykolwiek sobie przypomniał szczęście pierwszego małżeństwa, nie mógł łez ukryć. Jego siostra nie była tak miękkiego serca. Nikt jej jeszcze nie widział, aby płakała, dlatego gniewały ją lzy brata.

— Czegóż narzekasz. Jestem tylko słabą kobietą, ale wstydziłabym się. Idź po radę do głowy: nie bądź pachółkiem we własnym domu, ale pokaż jej, kim jesteś. Najtrudniej tylko raz to zrobić.

— Oj, niedolo moja, niedolo!... To się już nie da naprawić.

— Rób sobie, jak chcesz, ale takim głupcem... Ej, co ci będę dogadywać. Idę do siana. Miej się tu dobrze. Ale to sobie zapamiętaj: jeśli tak będziesz na wszystko pozwał, nie było jeszcze złe, ale będzie.

Wyszła na drogę, a Jędrzej został pod szopą, pogrążony w czarnych myślach.

II.

Słońce zaszło a Maryanna Kutraniowa weszła na swoje miejsce. Najpierw rzuciła okiem na szopę. Twarz jej zapłonęła gniewem; kupa gałęzi była nietknięta. Zrzuciła w sieni tobolek, oparła grabie o ścianę i pewnym krokiem weszła do izby. Była na to przygotowana, że jej mąż nie porąbie chróstu, więc się przysposobiła, aby go wylać. Przez drogę sobie wymyśliła nową seryę wyrzutów, aby mu je w twarz rzucić.

Mąż leżał na łóżku. Nie był rozebrany, lecz pierzyny były odsunięte do kąta. To ją znów ubodło...

— Znów się wylegujesz! Doprawdy radabym wiedzieć, kiedy się do licha już wyśpisz. Niema człowieka na świecie, któryby tyle drzemał. Nie byłoby dziwno, gdybyś z lenistwa zgnił za żywa, aby... Cóż to, ani się nie ruszy!

Jędrzej leżał na łóżku, ani jednym członkiem nie ruszając. Maryanna przyskoczyła do niego i targnęła go za ramię.

— Wstańże już raz! Jak się we dnie wyśpisz, nie żal się potem, że w nocy oka zmrużyć nie możesz. Cóż, nie wstajesz?

— Nie mogę — odpowiedział Jędrzej słabym głosem.

Maryanna zaśmiała się złośliwie.

— Nie może, ustał przy robocie! Był od rana przy sianie, na skwarze; wyniósł na ugór czternaście brzemion, albo może grabił dzień cały.

— Gdybym mógł, robiłbym.

— Milcz, ty leniuchu! Cóż, porąbałeś gałęzie? Nie mógł — rąbać nie może, ale jeść — do miski jest go dosyć.

— Nie będę ci długo zawadzał. Mój obiad jest tam, pod ogniskiem. Pewnie ci go żal. Weź sobie go a zjedz, mnie go już nie trzeba.

Obrócił się do ściany i jęczał. Maryanna spojrziała nań złośliwie i weszła do kuchni. Na kominie stał obiad Jędrzeja — nietknięty. Kasza uwarzona jeszcze rano trąciła kwasem; na ciepłym miejscu skisła. Maryanna wróciła się do izby, niepewnym okiem patrzyła na łóżko i stała długo, długo. Sposobiła się do jakiegoś nowego, niesłychanego czynu; jej piękna twarz miała wyraz walki, jaką z sobą toczyła. Na koniec przystąpiła do łóżka i przemówiła:

— Jędrzuś, śpisz? Co ci brakuje?

Jej głos był miękki, niż zwyczajnie, a w uszach Jędrzeja brzmiał jak śpiew anielski. Przeszły lata i lata, a on jej nie słyszał, aby tak mówiła. Byłby wyskoczył na równe nogi z łóżka, byłby ją wyściskał,

byłby ją na kolanach przeproszał, ale nie mógł się ruszyć. Jakieś nagłe omdlenie ogarnęło jego serce i czyniło nieruchomymi i tak ciężkie jego członki. Nie odpowiadał, aby tylko to słodkie pytanie jeszcze powtórzyła.

— Jędrus! Jędrus! Co ci się stało?

Głos jej był jeszcze miękniejszy, przez twarz jej przebiegł jakiś przestach. Pochyliła się nad nim, jakby mu chciała w twarz zajrzeć. Jędrzej czuł jej dech blizki, jakieś rozrzewnienie ogarnęło jego duszę. Oczy przymknął powiekami.

— Czemu się przedemną kryjesz? Jędrus — ja się boję, proszę cię...

Jędrzej nie mógł dłużej wytrzymać. Obrócił się ku niej twarzą i długo, długo patrzył na nią. Zdało mu się, że na jej młodej, pięknej twarzy widnieje jakiś niewidzialny rys czułości. Może to miłość!

— Nic mi nie brakuje, Marysiu.

— Juści nic: obiadaś nie dotknął, a na twarzy takiś zmieniony!

— I tyś trochę zmieniona, Maryś. Może to po raz ostatni. Ach, Boże!...

— Uwarzę ci bżowego kwiatu, albo jeśli ci źle ze żołądka, centuryi. Czyś się nie przeziębil?

— Zostaw mnie tak. Tak, czy owak umrę. Hej! Ja to czuję, że umrę...

— A może posłać po doktora?

— Na co? Przeciw śmierci nie ma lekarza innego, jak tylko umrzeć.

— Co mam z tobą robić, powiedz. Tak cię przecież nie mogę zostawić. Przecieżby mnie Pan Bóg ukarał!...

W jej głosie czuć było ból głęboki i coś jak rozpacz doleciało do Jędrzejowego ucha. Głowa mu opadła na poduszki, a na sercu poczuł lodową rękę śmierci. Coś mu mówiło, że już wytknięty cel, koniec utrapieniom. Wzdrygnął się na myśl o tej

chwili, a usta westchnęły: „Jeszcze nie! jeszcze nie!“

— Idź mi po siostrę i po wójta.

— Na co, na co ci wójt?

— Zbladła z przerażenia i strachu.

— Pożegnać się z nimi i zrobić porządek. I prorok mówił do króla: „Zarządź domem swoim, albowiem umrzesz“.

Maryanna zarzuciła na siebie chustkę, nawet nie przyglądała czarnych włosów pod szerokim czepcem. W pośpiechu wybiegła, jak gdyby chciała dowieść, że śmierć nie czeka.

Za małe półgodzinki wbiegła przelekniona Zofia, a za nią wójt z Maryanną.

— Tegom się spodziewała, ja to przeczuła. Mógłby jeszcze żyć, gdyby miał opiekę — mówiła Zofia rozgoryczona. — Uważcie sobie tylko, dusza mu już siedziała na karku, a ona mu kazała drzewo rąbać. A co się go nagryzła; górni i dolni sąsiedzi najlepiej wiedzą!

Maryanna jej nic nie odpowiadała. Nie z gniewu, ale czuła, że ją to uspokaja, gdy słyszy swoje grzechy.

— Spójrzycie na te jego szaty! Wójcie, spójrzycie: z Kutraniowego gospodarstwa na lepsze szaty nie starczy! Możecie to tak zostawić?

— E, co tam szaty, jakie były, takie się nosiło. Wójcie, chciałem wam... Tu mi z gospodarstwa zostało 12 zlr. srebrem. Każecie mnie pochować, będzie mowa i wiersze.

— Dobrze, żeś jej tych przynajmniej nie dał. Musieliby cię z litości pogrzebać, jak żebraka. Ani na cmentarzby cię nie puściła, kazałaby cię pogrzebać za murem.

— To nieprawda! — krzyknęła z bólu Maryanna — ja sobie go sama każę pogrzebać, jak chrześcianina. Jego pieniądze nie potrzebuję!

— Daj temu pokój, Maryanno. To jest moja

wola. Przysporzysz sobie wydatków, to wiele kosztuje, lata są złe, niech was Bóg ma w opiece!

— Oj, już umiera, mój brat kochany! — krzyknęła Zofia i rzuciła się na bezwładne ciało Jędrzeja. — Umiera, jak żebrak, obtargany, opuszczony!

Maryanna przystąpiła do śmiertelnego łóża, ale Zofia ją odepchnęła.

— Idź sobie przed zwierciadło! Trzeba ci będzie ładniej się ubierać! Jutro już będziesz wdową, trzeba będzie się wydać. Nie zbliżaj się do łóżka...

— Nie gadajcie takich słów nijakich przy tem łóżu śmiertelnem — napominał ją wójt. — Co było, no, jak było, ale tego już za wiele.

— Nie za wiele! to jest mało! Ja wam to udowodnię! — Zofia wybiegła do kuchni i przyniosła obiad brata. — Patrzcie, tak go żywiła. Przekwaszoną kaszą go żywiła! Umiera, bo musi, z głodu! Ale ja nie daruję: wszystko to opowiem. To wszystko musi być w mowie księdza i w wierszach. Każdy musi wiedzieć o tem, co wycierpiał ten chory nieborak. To wszystko ksiądz wypowie!...

Wójt spojrział na jadło i ściągnął brwi ponuro.

— Dla kogoś to warzyła, Maryanno? Ja nie mogę uwierzyć, aby to było dla męża, bo ten ma zaintabulowane dożywocie porządne. Dla kogoś to nawarzyła?

Maryanna stała jak posąg. Pragnęła się zapaść w ziemię, wstydziła się niezmiernie.

— Tak, to musi być w mowie, musi! — zawołał wójt rozgniewany. — Ja sam pójdę na plebanię. Wy — obrócił się do Zofii — wy tu zostańcie, aby się mu co nie stało; miejcie się dobrze.

* * *

Jędrzej leżał na łóżku, przy nim siedziała jego siostra. Maryanna odeszła do komory. Naza jutrz wróciła do izby z opuchniętymi oczyma. Całą

noc spędziła we łzach i na modlitwie. Pragnieniem jej było, aby jej Bóg dozwolił wynagrodzić dawne błędy...

Chociaż Jędrzej Kutrań już zapłacił był nawet za pogrzeb, żyje do dnia dzisiejszego. Ledwoby go kto poznał, tak jakoś odmłodniał. Nie żyje już tylko wspomnieniami, ale miłą terażniejszością. Dwanaście złotych, które taki zwrot spowodowały w jego życiu, ofiarował na Kościół Boży. O pogrzebie jeszcze nie myśli, a gdyby go Pan Bóg powołał do siebie, ma go już kto pogrzebać.

Do szkoły.

OBRAZEK Z ŻYCIA LUDU SŁOWACKIEGO.

I.

Wakacje się kończą. Jędrus Rybak zawsze się zamyśla nad marnością świata i wszystkiego, co jest na nim. Staje mu wtedy i owedy przed oczyma profesor, jak przed czarną tablicą trzymając kredę w ręce, wyklada sławne twierdzenie Pytagorasa. Dreszcz wtedy przejmuje Jędrusia, bo z geometryą od początku znajduje się na stopie wojennej. I arytmetyka nie lepsza, zwłaszcza od tego czasu, gdy do niej zamiast liczb wkradły się rozmaite litery. Nie raz dumał, po co je uczeni puścili do matematyki, przecież i bez nich jest ona dość trudna; czy im było mało już liczb i dlatego wsunęli między nie a i b , lub czy ich fantazya tak się rozbijała, że przekroczyła granice liczb całych, ułamków zwyczajnych i dziesiętnych i Bóg wie jakich, a zabłądziła na niwy, gdzie rosną nieszczęśliwe litery?

— Jakkolwiekbaż — duma Jędrus — litery tam nie mają co robić. Ciężko przecież wierzyć, że $\frac{a}{b} = c$, bo nie wiesz, co jest a albo b .

Staremu rybakowi również to się nie podoba.

— Gdyby was raczej uczyli rachować z głowy, ile wypadnie za to a za to. Jak to żyd, ten ci zaraz wyliczy, doda albo odejmie, a ty nie wiesz, aż cię oszuka. Ucz się ty raczej tego, a nie głupstw takich. — Machnął ręką i dodał: — Na co ci się to przyda, powiedz na co?

Syn zgadzał się z ojcem zupełnie, ale milczał. Chętnieby machnął ręką na to wszystko, ale cóż, kiedy znów stanął mu na myśli profesor z kredą. Spogląda poważnie, grozi, a Jędrus uznaje, że bez algebry nic, że ta być musi, inaczejby się studenci rozbrykali i nie bali się niczego.

Im więcej ubywa wakacyj, tem więcej zakorzenia się w Jędrusiu to przekonanie, że algebrę znać trzeba. Trzeba umieć rozrzucać litery po czarnej tablicy, wkładać między nie rozmaite $+$, $-$, $=$, a dawać obok nich nawiasy $()$, a skoro te nie starczą i klamry i to najpierw takie $[]$, a potem takie $\{ \}$, póki tylko starczy tablicy, aż głowa od owego potopu liter omal nie pęknie.

Ba, w domu to całkiem inaczej! Jakby ciężary spadły z głowy! Książki, rzucone za piec, przypadły pyłem. Jędrus rozbija się po wsi, udaje junaka między małemi i większemi dziećmi, budzi zazdrość i podziw towarzyszków, którzy nie byli „nawet po za stodołami“. Gdyby to tak było cały rok! Ale zaledwo się żniwa skończą, jaskółki jeszcze są, a on już musi jechać do Muz, które go wołają do Św. Jakóba ¹⁾. Parobek zaprzęgnie do drabiniastego wozu, do którego włożą tłumok z plackami (poduszki i kufy zostały u gospodyni w Jakóbie), ojciec siedzie obok niego i wio! Ej, ciężko to się rozłączać z wioską rodzinną; przez te wakacje, jakby znów przyrosła do serca.

— No, jakże, stary; pojedziesz ty z tym chłopcem, czy jak? — pyta się Rybakowa męża.

Dopiero co świta, Jędrus śpi w łóżku, ale go te słowa obudziły.

— Panie Boże, już tylko tydzień! — myśli ze

¹⁾ Miasteczko tej nazwy, jak wiele na Słowaczyźnie.

strachem. — Jakże to przeszło! Gdzie się to podziało?

I podsluchuje, co ojciec powie.

— Ja nie wiem, czy jechać... — odpowiada. — Samego, jakże go puścić. Sam sobie nie poradzi. Najgorzej z końmi. W polu się wszystko opóźniło, właśnie trzeba będzie zwozić. Bez koni nic w domu nie poradzisz. Jak przyjdą deszcze, wszystko zgnije. No, nie?

Spogląda na żonę jakoś niecierpliwie.

Ona odwróciła się ku ogniu, przez usta jej przebiegł uśmiech. Boi się, że ją na nim przyłapie. Ona już wie, w co on bije. Zna każdą jego myśl drobną, może i pierwej, niż on sam. Chciałby iść do Św. Jakóba pieszo, dlatego tak ogródkami krąży. Chodzić pieszo, to dla niego radość największa. Na jarmarki zwykł również chodzić pieszo, choćby nawet do trzeciego okręgu. No, on się na pana nie urodził. I kiedy jedzie do szkół z synem, idzie po największej części za wozem, „aby się konie nie zszarpały“.

— Juścić prawda — odpowiada żona, niby nic nie przeczuwając. — Ale jak się to robi! Już lepiej wy jedźcie wozem, a my tu pozwozimy wołami. I Jasiak nam pomoże.

Myślała o swoim bracie.

— Jasiak — przerwał — tyle się mu naprzykrzamy; już się nieraz i wzdragam.

— Ależ dla Boga! on to doprawdy robi chętnie każdej chwili. Wszystko mu jedno, czy mu konie stoją w stajni, czy tak. Po furmankach nie jeździ i prawie ciągle stoją. A zresztą, przecież my darmo nie chcemy; no, nieraz mu się też pomogło...

— Najlepiej to zaś nie potrzebować nikogo. Co zrobisz, zrobisz sam najlepiej. A pieszo, to nie taka wielka rzecz. Kufra nie ma, chyba te węzłki i drobiazgi, to ja to łatwo uniosę. I furmanka się w dro-

dze może trafić. A robotaby nie stała. Jabym do prawdy najchętniej pieszo.

Żona milczy. Gdyby mu się zaczęła sprzeciwiać, onby obstawał przy swoim tem silniej. Da mu spokój, za tydzień to mu z głowy samo wyleci.

— No nie? — dodaje. Chciałby tę rzecz stanowczo zakończyć podług swej woli. — Ja myślę, że takby było najlepiej.

— Rób, jak myślisz — dokończyła żona.

On umilkł, ale nie był zadowolony. Ta odpowiedź mu się nie podoba; taka ani słona, ani tłusta... Ustąpiła mu, ale to widoczna, że dla miłego spokoju, aby nie było swaru. Onby wolał klótnię, przekonałby ją pewnie i byłaby rzecz skończona. Teraz może z nim wojować, ale chyba po za plecami, czemkolwiek go nie zwycięży. On ją zna.

A pieszo, jakby to było pięknie! Szliby noga za nogą, drogami i ścieżkami. Zna każdy chodnik, nieraz już przebywał drogę do Św. Jakóba. Zna każdą studzienkę, każdą wierzbę przy drodze, gdzie się dobrze oprzeć i odpocząć w cieniu. Zna każdą wioskę, każdą karczmę, gdzie jest dobra żytniówka albo jałowcówka; ba! zna prawie każdego człowieka, a jego znają również. Pogawędzi sobie z nimi, pozali się lub pochwali. A gdyby kogo i nie znał, wda się z nim w rozmowę, jakby z bratem. O nocleg nie ma kłopotu. Wejdzie do pierwszego domu i przyjmą go uprzejmie. Jeszcze go poczęstują i dadzą:

— A gdy będziecie wracać, nie mijajcie-że nas! Ktoby się tam trząsł na wozie!

Jędrusia nie cieszyła ta narada. Jemu się nie podoba ani pieszo, ani wozem. Jemu najlepiej w domu. W Św. Jakóbie nawet słońce tak nie świeci; ba! nawet wschodzi z drugiej strony horyzontu. Ludzie są też nie tak przyjaźni, ani się tak nie ubierają. Ma tam kolegów, ale tak nad nimi nie przewodzi. Nieraz mu się od nich dostanie.

Odjechać musi, to prawda, ale skoro już odjechać, to przynajmniej w niezwykły sposób. Ale pieszo! Wszak to traci wędrowaniem. Wóz znów i do tego drabiniasty, eh, któż się wozi na drabiniastym? On chce jechać koleją żelazną...

Kiedy jechał na wakacje, wpoprzek szosy przeleciał pociąg osobowy. Konie strzygły uszami, parskaly, aż je ojciec musiał za uzdy przytrzymać. On się wpatrywał w okna i widział w nich same wesole twarze. Jeden pan się uśmiechnął do niego, a jego kolega Swozka wywijał kapeluszem na pożegnanie. To jest podróż porządna! Zaraz wtedy sobie postanowił, że inaczej nie pojedzie, jak tylko koleją. Do tego stacya Poważna jest zaledwo o trzy godziny od wsi oddalona.

Ojciec poszedł w pole, a Jędrus zaczął się kręcić koło matki, która patrzyła na niego czule, jak zwykle przed odjazdem. Przybliżał się ku niej z wyrachowaniem i z podstępniemi myślami.

— Mamusiu, dajcie mi uszyć koszule takie, wiecie, co to kołnierz stoi do góry.

Matka patrzy, co on znów zamyśla.

— Jakie to chcesz? Przecież masz piękne koszule.

— Stoi tak do góry, bo jest skrochmalony. I na piersiach jest twardo i przy dłoniach. Wszyscy takie noszą.

— Ty masz piękne koszule, moje dziecko — uspokaja go matka. — Musisz je pierwej zedrzeć. Nie masz młodszego brata, aby z ciebieodzięrał, musisz sam.

— Ale! — zachnął się Jędrus.

— Przecież ich nie wyrzucę, takich koszul. Cwierć żyta dałam Teresi za nie — dorzuciła matka.

— Kiedy tam wszyscy noszą takie! — zawołał Jędrus na pół z płaczem.

Właśnie sobie o koszulach teraz pomyślał. Wie dział, że mu ich matka nie da, a więc w nagrodę

chciał się przymówić o kolej. Ale w rozmowie ja-
koś się niepostrzeżenie uparł przy koszulach, a mat-
czyny upór zaczyna go gniewać.

— Tyś, moje dziecko, chłopski syn. Tamci
są synami proboszczów lub nauczycieli. Gdzieżby
nam wystarczyło! Ty się nie możesz równać, tyś
chudak.

— I ksiądz proboszcz nosi takiel

Matka się zamyśliła. Naprawdę to inna sprawa,
kiedy i ksiądz proboszcz takie nosi. Cóż robić?
Nie, w żaden sposób nie można. Lecz tego roku
mało i nie urósł, w żaden sposób nie można sobie
pozwolić na taki wydatek.

Jędrus siadł przy stole i milczy uparcie. Czekają,
aby matka przyszła i zgodziła się na to. Ale ta już
pewnie o tem nie myśli. Dopiero gdy odchodziła
w pole i dawała mu polecenie, co ma robić, wtedy
jej przyszło do głowy, że go dziś zasmuciła.

— Koszul, to już wcale nie — mówi, głaszcząc
go po głowie. — Obejdź się jeszcze temi. Za rok, jak
Bóg da życia, to nie mówię.

Jędrus ruszył ramieniem i patrzy na bok.

— Oj, dam ci ja naszyć takich koszul, jeśli się
będziesz dobrze sprawował, nie bój się! Teraz na
żaden sposób.

Żał jej go było znów, że mu nie może zadosyć
uczynić. Chętnieby mu dała jaką nagrodę, ale co?

Jędrus wie, co zaszło, i że teraz jest czas na to.
Odezwał się tedy mrukiwie:

— A ja wam pieszo nie pójdę, bo ja nie że-
brak! Ja ojcu ucieknę!

— No, to powiedz ojcu. On się pewnie przy-
chyli, nie bój się. Konie mamy...

Cieszy się z takich posiłków i widzi już, że sta-
ry przegrał.

— Ja chcę jechać koleją, ja nie chcę wozem.

Matka się zamyśliła. Do kolei niema wielkiego
zaufania. To coś takiego nadzwyczajnego! Jeszcze

nie jechała nią, ani jej nie widziała, ale to, co sły-
szała od ludzi, to pachnie nieczystą siłą. Czart wie,
czy to idzie godziwym sposobem. Może to jakie cza-
ry. Gdzieżby wóz mógł jechać bez koni.

Nie, to nie będzie nic dobrego. Dyabeł wymy-
ślił taki bat na lud prosty, który się miał dobrze, do-
póki kolei nie było. Były furmanki, dukaty pleśniały
w skrzyniach. A teraz? Bieda, nędza, ani papiero-
wych niema!

— Już ty jedź wozem — mówi mu. — Jeszczeby
cię zabiło na tej kolei.

Jędrus się rozplakał.

— Mnie na nic nie pozwolicie, a inni mają
wszystko!

— Ależ ja ci się nie sprzeciwiam, tylko nie
placz. Powiedz to ojcu, on rad widzi takie wymy-
sły, powiedz mu, niech jedzie. Bezemnie ty możesz,
jak chcesz, choćby i na głowie, Boże odpuść!...

Ale Jędrus nie ma ochoty starać się o to u oj-
ca, ani śmiałości. On woli z matką. Chociaż odmó-
wi, odmawia delikatnie i chętnie się wdaje w kom-
promisy. A ojciec powie krótko: „Nie dam!” i ko-
niec. To tak, jakby zapieczętował. A oto matka za
koszule przystała na kolej; to już widoczne, że przy-
stała.

— Ja im nie powiem, mnie wykrzyczą! — skarży
się. — Mamusiu, powiedzcie wy. Proszę was!

A już się przysuwa do jej twarzy, która chce
być poważna. Za chwilę powaga znikła, a zjawił
uśmiech.

— Ty pochlebco, patrzcie go! Tylem wycier-
piała przez ciebie, a ty niedobry chłopcze!

II.

Ostatniego sierpnia wstali Rybakowie do dnia.
I pan syn musiał się dźwignąć, choćby się nie chcia-

lo. Czyni wszystko z niechęcią, z ociąganiem się. Na ostatnią chwilę zostawił same nieprzyjemne rzeczy, jak odwiedziny u wujków, stryjków, chrzestnych rodziców, i ktoby to wyliczył, u kogo jeszcze. Z niedbalstwa to odłożył na dzień dzisiejszy; widocznie myślał, że przez odłożenie odwiedzin odwlecze się i odjazd. Ale odjazdu nie odroczone, więc musi iść z odwiedzinami.

Przychodzą mu przytem różne myśli do głowy. Tak naprzykład: „Czybym ja nie mógł zostać w domu? Czybym ja nie mógł gospodarzyć?” Ale tu widzi, że do tego jest brat Janek. Temu się dostanie gospodarstwo, bo on jest starszy. Młodszy musi na innej drodze szukać kawałka chleba. „Czemuż to na mnie padło? Czemu nie na niego?” Odzywa mu się zawiesz. Jaktó Janek sobie postępuje, jak prawdziwy gazda. W domu i w stajni rządzi bez podziału. Ledwie co wyszedł z lat popisowych, a ojciec go bierze i na jarmarki z sobą, radzi z nim o kupnie i sprzedaży. Oj, Janek wie, że ma znaczenie w domu! Rozkaże i bratu i od roboty go nie uchroni! „Chybaj, Jędrus, przewracać siano! Robota taka pilna, a ty siedzisz w chłodzie!” Jędrusiowi nie chce się wyjść na spiekotę, do tego siano się sypie za kolnierz i gryzie spoconą skórę. Ale postuchać musi, boby go ojciec zmusił. Więc mu zazdrości, zazdrości. „On siedzie do gotowego, a ja się muszę męczyć! A jeszcze mi wytyka, że niby na mnie robi.” Już mu i to wypowiedział. Raz chciał ojca podrozczyć, że się nie będzie uczył, więc że go wezmą do gospodarstwa. Ale ojciec odpisał mu krótko:

— Jeśli się nie będziesz uczył, jak należy, źle na tem wyjdiesz; skoro przyjadę do Jakóba oddam cię zaraz Bukowińskiemu do terminu.

Bukowiński był szewcem w mieście, tym, który Jędrusiowi szył takie mocne, a takie przestronne buty. Jędrus się uląkł; widział bowiem nieraz, jak chło-

piec w terminie musi huścić majstrowe pędraki. A tę myśl poddał ojcu Janek.

Kiedyindziej zaś pogroził mu ojciec:

— Oddam cię do kowala, przynajmniej będzie nam miał kto konie podkuwać!

Cóż więc miał robić? Chcąc - nie chcąc musiał się zabrać do nauki.

— Przynajmniej tydzień mógłbym jeszcze zostać w domu—mówił do matki przedwczoraj wieczorem. Przed ojcem nie miał śmiałości z tem wystąpić.— Cóż robić przez ten pierwszy tydzień? Chodzić po mieście, albo się kapać w rzece, jeśli będzie ciepło. Będą tylko uczniów zapisywać, egzaminować tych, co przepadli, a my będziemy próżnować.

Matka nic nie miała przeciw temu; prosiła więc starego, aby syna jeszcze w domu zostawił.

— Przepis jest przepisem—zawyrokował.— Gdyby go nie było potrzeba, nie kazaliby mu wracać na pierwszego. To chyba tylko takie jego kaprysy. Jeśli nie ma ochoty, niech nie jedzie. Raczej go posłę do rzemiosła; przynajmniej nie będzie mnie kosztował.

Jędrus postyszał wyrok ojca i nie mógł usnąć do północy. Rano przekonał się naprawdę, że odjazd jest nieuchronny—matka rozczyliła na placki.

Tyle go tylko cieszyło, że pojedzie koleją. Stary z trudnością, ale ustąpił w tej rzeczy żonie.

— Przynajmniej tyle czasu nie stracisz. Naza jutrz wieczorem możesz być w domu. A trudnoby przecież było w domu bez gazdy.

Tyle sobie tylko stary wymówił, że do Powążnej pójdą pieszo. Czas jest piękny, drogi dobre. Matka znów się ofiarowała, że tłumok sama odniesie do stacyi. Nie lęka się nawet toboleka naładowanego plackami; przynajmniej widzieć będzie trzy godziny dłużej swojego synalka.

Tak tedy idą ze wsi grzbietem góry. Ojciec kroczy przodem i strzepuje rosę, która się na obszer-

nej łące bieli, jakby szron, a ziębi nogi. Za nim matka, zgięta pod tłumokiem, stąpa raźnie, nie chce zostawać. Jędrus się wlecze przygnębiony, a co 10 kroków obziera się na wioskę rodzinną. Szkoda, że jej nie widzi. Gęsta mgła usiadła w dolinach. Rozlala się, jakby jaki potop, chciałaby zatopić wszystko i szczyty gór i polany na halach, ale nie może się wydrapać po ich stromych bokach. Rzuca się tedy w doliny, urwiska i rozpadliny, a wirchy nad nią panują spokojnie i majestatycznie, oblane rannem światłem słońca. Lzy stanęły Jędrusiowi w oczach na widok jesieni, która pierwiej wkrada się w góry, niż do otwartego kraju, ale zato bywa czarowna, jak nigdzie...

Nie trzymając się szosy, stary zбочzył na ścieżkę. Ta wprowadziła ich w las, gdzie już panuje wesoly żywot, jak każdego poranka. Wrony kraczą, bijąc o jodły skrzydłami; długa pogoda wygnała je ze wsi i dolin. Kukulki nie słycać, ale zato drożdź pogwizduje. I drobne ptactwo piszczy i świergocze. Pod jodłami rosna liszki, krówki, kozaki i inne grzyby, ale ich kapelusze nie są okrągłe, świeże i pełne, ale powiędłe i pokrzywione. Długo nie było deszczu, słonko przypieka, więc pewnie i czerw je toczy. Zato pod smreczkami i jałowcem, po miejscach wilgotnych, a w cieniu, żółcą się rydzyki, piękne, drobne, jak dwugroszniaki. Jędrus wzrok na nich pasie, wnetby je zaczął zbierać.

Doszli do granicy; widać postawione słupy i usypane kopce. Na tym to tam właśnie otrzepano go dwa lata temu porządnie, gdy pasł z parobkami woły. Ale i to nie wystarczyło. Przywiązali go do koźła (drewnianego)—nie chciał iść po kartofle na granicę dobrownicką — i tak go toczyli na dół tą łąką, co się rozciąga aż po ten potok. Był taki umęczony, jak gdyby był sągi rąbał przez dzień cały; ale wnet zapomniał o wszystkim, gdy się kartofle upiekły i wybierano je z ogniska. Przez ten czas woły poszły

w szkodę, a to na dobrownicką granicę; stary Rybak musiał zapłacić 4 złote odszkodowania. Dlatego nie chce go puścić z wołami na paszę.

Przeszli i przez pamiętną łąkę; kroczyło się ścieżką, jakby po miękkim kobiercu. Z drugiej strony bieleją koszule Dobrowniczaków, którzy koszą owsy. Tu brunatnieją lny, rozłożone na ścierni, tam znów zboże, w pomiecie ułożone, czeka grabienia. Powietrze się ogrzało, mgła rzednie, Bóg wie, gdzie się podziewa. Snadź opada na ziemię, albo ginie w rozpadlinach.

Tylko tam na prawo ciągnie się długim pasem nietknięta, zakrywając dolną wełniastą linią. Tam tedy płynie rzeka.

Im bliżej Dobrownika, tem pola są bardziej puste. Zboże jest już w stodołach, zostały tylko puste ścierniska. Z między, zarosłej tarniną, wleciała gromada polnych wróbli i leci ze straszem ćwierkaniem tam na ten wirch i siada na jałowcu.

Ponad wioską widać cmentarz. Nie byłoby wiadomo, co to jest, gdyby się w środku nie wznosił krzyż kamienny, a dokoła mur, a raczej wał z kamienia i gliny. Tylko tu i owdzie w zielonej murawie widać plamę żółtą—grób świeży. Dobrowiczanie przez lato również zapomnieli umierać—nie mieli kiedy. Po ścierniskach naokoło cmentarza rozkładają kobiety len w równe rzędy.

— Boże dopomagaj? — woła Rybakowa do tej, która jest najbliżej.—A będzie też jaki?

— Chwała Bogu, będzie — odpowiada tamta, prostując się chętnie.

— A kiedyżeście go siali? Jeszcze przed Zielonemi Świątami?

— Tak jest, a doprawdyśmy dobrze utrafili. Potem przyszła posucha; nie byłby pewnie ani zszedł.

— Myśmy właśnie tak trafili — żali się Ryba-

kowa—wszystek wypaliło. Co zaś zeszło, to uschło. Ani go nie widać z pomiędzy grudek ziemi.

— No, no—dziwi się Dobrowniczanka.

— Oj tak, tak. Nie wiem, czy go będzie dziecięć garści. Będziemy mogli przez zimę wyspać się na cztery boki. Te, co zeszły przed Świątkami, to były spore. I ja też nagaśniałam: chodźmy, mówię, zasiał—dolożyła z wyrzutem napół zwrócona do męża—ale chlopi, wiecie, jacy są.

— Ano, to i nasi tak. Ale koszula ma zawsze być jak papier!—śmieje się Dobrowniczanka.

— Przynajmniej macie na kogo złożyć—ozwał się Rybak.—Zasiejesz go przed Świątkami—powiedzą: wygnito we wilgoci. Zasiejesz po Świątkach—uwiędło w posusze. Wam ani dyabeł nie dogodzi, kiedy już muszę grzeszyć!

— No, to już jest len!—chwali Rybakowa, jakby nie słysząc słów męża. — Około takiego nie żal robić!

Zeszli do Dobrownika. Wieś pusta, tylko gromadki dzieci w koszulach wygrzewają się przed domami. Z ich krzykiem miesza się grzechot srok na wierzbach nad potokiem i gęgot gęsi.

Wązkim wygonem wyszli poza stodoły i wspinają się na wyniosły kopiec. Słońce tu dobrze dogrzewa, jest gorąco. Powietrze drga nad pustym ścierniskiem, ojciec obciera pot rękawem, niosąc szeroki kapelus w ręce.

— A to upał!—przemawia do żony.—Nie ciężko ci? Daj, poniosę trochę.

— Daj pokój, przynajmniej aż przyjdziemy do tej tam byczyny.

— To leszczyna. Tam nasi chodzili na orzechy. Teraz jest zalesiona, widocznie Dobrowniczanie wygrali.

Ścieżka wprowadziła ich do leszczyny, a wila się to tu, to tam, aż się dostali na goły wierzchołek góry. Otworzył się im widok daleki. Widać same lasy

na górach, jakby się jedna opierała o drugą. Tu i owdzie tylko wioska, wciśnięta w dolinę. Powietrze czyste, nieco chłodne; dalekie góry jasne, jakby na obrazku.

— Usiądźmy — mówi stary. — Połowemy już przeszli. Teraz będzie już lżej w dolinę.

Matka rozwinęła tłumok i podaje bułkę lekka, przyrumienioną. Nóż idzie w nią, jak w papier, a gospodyni ogląda ośrodek biały, gąbczasty.

— Wydarzyła się—mówi z dumą.—Ano i mąka jest tego roku lepsza.

Stary tylko głową przytaknął i ani nie spojrzął na bułkę. Wyciąga krzesiwo z kozucha i patrzy w zadumie ku tym górcom, które zamykają horyzont. Snadź widzi przez ten wał lasów i gór ów kraj płaski i szeroki, gdzie są pola urodzajne. I tam już był i schodził cały ten kraj wzdłuż i wpoprzek.

— Rozmaite to są kraje na świecie. Człowiek by ani nie pomyślał. Nasz biedny, a tam dwa razy do roku żniwo. W ściernisku jeszcze urosnie hreczka. No, można mówić prawdziwie, że to ziemia obiecana.

Rybakowa nie słucha, co mąż mówi. Tyle razy to już słyszała. Oparła brodę na dloni i patrzy w ziemię. Zaczyna ją żal ogarniać. Chciała sobie tem poradzić, że odprowadzi syna na stację; ale cóż z tego za pociecha, skoro ją czeka długa, smutna podróż z powrotem. Już teraz się jej boi, nie będzie miała z kim pomówić...

— Kto siedzi w domu, ten nic nie wie. Stęka do śmierci i myśli, że to tak być musi. A ono, gdy się przedostaniysz przez te góry, otworzą ci się oczy. Tam błogosławieństwo Boże spada z nieba gotowe, tylko je zbierać. Bydła pięknego pełne stajnie, woly takie opasłe, a konie! A cóż u nas? Myśmy nieboracy!

—To ubogich tam nie ma?—dokucza mu żona.

— No, biednego też znajdziesz. A jest ich do-

syć. Tamtym daje Pan Bóg urodzaje, a nam zdolność do pracy. Co się nam nie urodzi, to dorobimy rękami, ba, a jakie to mozoly! (Pokazuje grube i stwardniałe dłonie). Tam gazda nawet nie młóci, bo naco, skoro przyjdą górale. Jeszcze się wyżywią i zabiorą zapłatę. Tak, przy bogactwie i bieda się trzyma, gdy robota śmierdzi, ale kto się roboty nie boi, ten ma przed sobą trzy światy. Nocowałem u dziedziców, co mają ustawicznie biały chleb na stole. Mięso przynajmniej raz na tydzień.

— I u nas jest dobrze temu, kto ręczo pracuje—rzekła żona.

— Naturalnie, dobrze, ale chyba tylko my powiemy, że dobrze. Gdyby ci tam widzieli nasz dobrobyt, płakaliby nad nami. Ja się wstydzilem mówić, że jednego tylko wieprzka zabiję przez zimę. Tam ich dziedzic zabije tyle! Dobrze, prawda, dobrze, a czemuż się nikt nie wróci, kto się tam raz zagrzeł? Przecieżby go ten dobrobyt musiał ciągnąć tu do góry. A każdy tam zostaje i dziękuje Bogu, że tam się znajduje. I Jędrus tam pójdzie. Coby tu robił? Na tę nędzę się patrzeć? ziemniaki skrobać?

Wyskoczył mu rumieniec na twarz, a oczy zabłyszczały. Wyjawiał swe najtajniejsze plany. Spogląda na syna, co on na to. Ale Jędrus patrzy w tę stronę, gdzie jego wieś rodzinna. W sercu różnie mu żal i tęsknota za temi górami. Nie są dosyć urodzajne, ale zato tak wdzięczne, tak miłe a miłe. Gdzież na świecie jest jeszcze kraj, któryby tak bezpośrednio przemawiał do serca. Nie, on nie zna takiego kraju. Nie jada w domu takich rzeczy, jakie dostają z domu jego bogaci koledzy, a o jakich marzy jego ojciec, ale przecie mu to smakuje przy stole rodzicielskim, gdzie się czerpie z jednej misy w zgodzie i miłości. Czegóż mu jeszcze trzeba? A właśnie od tego stołu jest odsunięty, oddzielili go do talerza, posłali pod piec. Wypchnęli go z pomiędzy siebie. A to dlaczego? Sam nie wie. Wie tyle tyl-

ko, że nie ma tam dla niego miejsca, przytulku. A więc jest prawdziwą sierotą, chociaż ma ojca i matkę.

Odwrócił się i obcierał ciężkie łyzy cichej skargi. Matka tylko się domyśla, dlaczego płacze jej dziecko. Ale ona się z tego cieszy; wie, dlaczego się to wszystko dzieje. Wie, że z tego smutku i utrapienia wyrośnie wielka pociecha. Będzie szczęśliwy, samodzielny, ludziom pożyteczny, a Bogu przyjemny. Wszak ona się o to gorąco modli, a to się jej spełni, ona w to pewnie wierzy i czeka. Jakby go uciszyć chciała, gładzi go ręką po głowie i przytula ją do swoich wzburzonych piersi.

Siedzą tak, zajmując się każde swemi myślami i żalami, i nie dostrzegają, że słońce idzie w górę. Dopiero, gdy się odezwał dzwon na wieży dobrownickiej, przemówiła stara:

— Możebyśmy już ruszyli. Raczej wcześniej przyjść i czekać, niż się spóźnić.

Jędrus się zerwał pierwszy. Teraz żyje tylko chwila, a w tej czeka go radość—podróż kolejną. Nie chce jej stracić, ta zazdrość pozostała mu jedyna na dziś. Gdyby nie to, nie wiem, coby go cieszyć mogło. Może być, że znalazłby co innego, ale teraz ma kolej i myśli tylko o niej. I dom rodzinny wobec niej blednie. Zdaje się mu, że już go dawno opuścił. Cieszy się, jak to będzie stał przy oknie i spoglądał na kraj, przez który pociąg popędzi. To musi być pięknie! Porwałby się i pędem poleciałby do Poważnej. Chód ojca, który znów kroczy przodem, z tlomokiem przewieszonym przez lewe ramię, zdaje się mu zbyt powolny.

— Tam pod tą miedzą jest dobra woda. Wytryska z pod lipy. Nie taka, jak nasza, takiej jeszcze nie pila.

I Rybak sunie ścierniskiem ku miedzy, a za nim żona i syn.

Była to zwyczajna szczawa, obłożona otluczo-

nemi kamykami. Z dna tryskają bańki. Woda przezroczysta, czysta, około niej chłodek. Usiedli sobie, a Rybakowa nie może się wody nachwalić, taka jest świeża, chłodna, a bije do nosa. Ani Jędrus nie żałuje, że dla niej zбочyli ze ścieżki. Czuje się dobrze, jakby mu nowej sily w żyły nalał.

W oddali ukazała się rzeka, mgła już się nad nią nie unosi. Oddziela się od niej, jakby od srebrnej wstęgi, obmywa podnóże stromej buczyny, wyglądając jak srebrna obrączka, otaczająca szmaragd. Na jej brzegu stoi wioska z białym kościółkiem.

— To Poważna—objaśnia ojciec.—W górę już nie pójdziemy.

Jędrusiowi bije serce raźniej, oczy błyszczą. Wieś zda się go przywoływać, taka piękna i miła.

— No, już nie będziemy długo razem—przemawia matka, zostawszy znacznie po za mężem.

Na sercu robi się jej ciężko, a słowa więzną w gardle.

— A pisz. Gdybym umiała, pisałabym każdej niedzieli, ale nas nie uczono. A Boga się bój!

Tak mu oto rozprawia, tak go naucza. Wszystko to rzeczy znane, ale zawsze nowe, gdy pochodzą od matki. W jej głosie drga żal i trwoga. Wszak nie wie, co czeka ją, co syna. Może jakie nieszczęście, może śmierć. A dziecko to samutkie w obcym świecie, nie ma kto nad nim czuwać. Dlatego najprzód go napomina, przestrzega, naucza i cieszy. Choć Jędrus myśli już o czem innym, przecie mowa matki do serca drogę znajduje i przenika jego zamki. Rozczula go to i czyni miększym; budzi w nim dobre myśli i piękne przedsięwzięcia.

— Otóż to most, ale tam wolno chyba tylko pociągowi zauważa ojciec.

Widać i koleje żelazne, jak wybiegają z wąskiej doliny i zataczają się ku mostowi. I Rybakowa temu dziełu się dziwi; takiego mostu jeszcze nie widziała.

— Ten jest cały żelazny; no, skoro chodzi po nim „żelaznica,” musi być żelazny — objaśnia im stary.

— No, ale to go spory kawałek — dziwiła się żona.

— Tam powyżej jest przewóz. Tylko się prze-wieziemy i już będziemy w Poważnej.

Przyszli do przewozu, ale czołna były na drugiej stronie. Rybak woła, gwizdże, ale około budy przewoźnika cisza. Wyszli tedy na nasyp, aby przejść mostem na drugą stronę. Wtem usłyszeli, że ktoś z lewej strony krzyczy. Od swego domu bieży ku nim strażnik w uniformie.

— Gdzie to chcecie iść?—krzyczy zadyszany.

— Do Świętego Jakóba—odpowiada Rybak spokojnie.—Odwożę oto syna do szkół, więc radziłyśmy się na ten pociąg.

— Przez most nie wolno chodzić!

— Przecież się nie złamie, jeśli przejdziemy!

— Ale was przejedzie, bo „zug” tu zaraz będzie. Sygnał już był.

— Tylko nas przepuście—perswaduje mu Rybakowa.—My darmo jechać nie chcemy, broń Boże! Zapłacimy, jak należy, ile będziecie żądać. Tylko nas przepuście!

— Jakże was przepuszczę, kiedy już przyszedł sygnał! Przejedzie was, a ja stracę służbę.

— No, widzicie, jużemy mogli być na tamtej stronie, a nicby się nie stało—mówi Rybak.

— A czemu nie idziecie na przewóz?

— Ba, naturalnie, ale gdzie są przewoźnicy! Zanim tu przyjdą, gdzie będzie już pociąg!

Jędrusiowi za długo już tego czekania. Ogarnął go strach, że nie dobiegnie i puścił się cwałem przez most.

— Pójdiesz tu!—krzyczy strażnik.—Jak cię złapię... A do stu tysięcy!...

— Mój kumie, ile żądacie, jeśli nas puścicie?— zaczął Rybak z drugiej strony.

— Gdyby to było wcześniej, no... Ale teraz już zapóźno!

Rybakowi żal było chłopca. Widział, jak stoi na drugim brzegu i kiwa ręką. Nie, nie będzie mu psuł przyjemności, niech się co chce stanie. Niech nie powie, że ojciec był tyranem. Ale ledwo krok postąpił do mostu, strażnik już przyskoczył i przyparł go do poręczy.

— Ja cię nauczę, jeśli chcesz! Ja ci pokażę!

Rybakowa zaczęła się oglądać i spostrzegła, że poniżej mostu woda płytka.

— Stary, idźcie naprzód, przejdziemy wbród!

Ale stary ruszyć się nie może. Chłop schwycił go pod ramiona i ciągnie ku swemu domku.

— Puśćcie mnie, już nie pójde. Przysięgam na Boga, no...

— Nie puszczę. Ja wiem, żebyście poszli, a ja bym miejsce postradał.

W dolinie odezwał się gwizd ostry. Strażnik zciągnął z nasypu Rybaka, a tymczasem jego żona stanęła z sygnałem.

— No, widzicie i takby już było za późno. Maszyna wasby dogoniła na moście. Czemużeście lepiej przedtem nie śpieszyli?

— A gdzie są tamci? Nie stanie się im co?

Jędrus, widząc, co się stało, puścił się wzdłuż kolei. Przyszło na niego rozrzewnienie; zdawało mu się, że zginie, jeśli nie dobiegnie zawczasu na peron. I dobiegł nieco wcześniej, niż pociąg.

Maszyna fuknęła i stanęła. Peron się okrył parą. Konduktorowie w letnich spodniach wyskoczyli i krzyczą:

— Poważna, Poważna! egy perc! (jedna minuta!).

Otwierają drzwi, o których Jędrus myśli, że wiodą do nieba. Z wozów wychodzą panowie, naj-

więcej żydów z tobołkami. Jeden sobie niesie pod pachą stołek; wziął sobie go pewnie, aby miał na czym siedzieć w IV klasie. Ledwo się ci wysypali, już inni wstępują. Podają sobie pakunki, kiwają rękami, całują się i wołają: „Adieu! Lebewohl! Glückliche Reise!” Zaledwo byli w środku, już stanęli przy oknie, uśmiechają się, widocznie z radości, że już wsiedli, inni obcierają sobie nosy i rozmawiają z tymi, którzy zostali na peronie.

Jędrus stoi jak na szpilkach i czeka. Nieboga matka bieży wzdłuż nasypu, trzymając buty w rękach, pełna strachu o syna. Kiwa na niego ręką, pewnie, aby nie siadał.

Drzwi zaś trzaskają, konduktorowie biegają. Odezwała się trąbka, maszyna świsnęła, zadymiała się okryła parą. Jedno szarpnięcie i pociąg opuścił peron. Konduktorowie wskoczyli na schody, trzymając się lewą ręką, prawą salutują z uśmiechem. Widocznie cieszy ich podróż w taki czas piękny.

Minął i ostatni wóz. Ludzie opuścili peron, urzędnicy odeszli do biur i restauracji. Jędrusiowi oczy zalały się łzami. Pociąg; zaledwo się pokazał, znów mu zniknął.

— Biedactwo, ani nawet tego nie uzyskał! — słyszy głos matki przy sobie.

Idą napowrót do mostu szukać ojca. Ten już kroczy pewnie po moście, nie widać na nim gniewu.

— Niecnota, że nas też nie puścił. Teraz już darmo. Jakże będziemy czekać? O drugiej po północy możemy sięść znów. Jak chcesz, rób; ja chętnie poczekam. A może pójdziemy?

Daje niby do wyboru, ale przecie to widoczne, że onby raczej szedł pieszo. Może być, że chłopiec to również odgadł, albo go też odeszła chęć tak długiego czekania. Snadź nie podoba się mu podróż nocą. Będzie ciemno—nie zobaczy nic.

— Ja, jak mówię, chętnie. Powiedz, jak ty

chcesz. Możemy wstąpić do karczmy i poczekać. I matka sobie odpocznie.

— Pójdziemy już pieszo—mówi Jędrus po ciężkiej walce.

— No, nic się złego nie stało — cieszy go ojciec. — Na Boże Narodzenie przyjedziesz koleją, a ja przyjadę po ciebie saniami. Oj, dość się jeszcze najeździsz, nie bój się. A prawiebyśmy byli dobiegli, gdyby nie ten nicpoń. No, więc chodźmy. Matka nas może wyprowadzić na to wzgórze. Pójdziemy wolno, a jutro o tym czasie będziemy w Jakóbie. I furmanka się może jaka trafi.

Bez słowa kroczą w górę, nikt niema ochoty do rozmowy. Matka jest najsmutniejsza. Stażeli na wirchu; matka się z nim żegna. Stary na to nie patrzy; odwrócił się i spogląda ku tym góróm, za któremi leży jego ziemia obiecana.

— No, idź już stara! A już tam poróbcie wszystko, nim wrócę. A nie płacz!

Stara się ruszyła, ale skoro obaj zniknęli za szczytem, wróciła się i patrzy za nimi. Przy pierwszym skręcie Jędrus się obejrzał i jeszcze raz pokłamał kapeluszem. Wyciągnęła ku niemu ręce, jakby go wołała napowrót, albo błogosławiła, ale szosa była już pusta...

Visitatio canonica.

Opowiadanie starego kościelnego.

Na plebanii w Haczkowie znać ruch ogromny, jak w jakim nowomodnym arsenale. Miejsmem pracy jest podwórze, szopa, gumno, ale przede wszystkim kuchnia. Tu ociera się kucharka o kucharkę; o służących rozmaitego rodzaju i o różnych „oblizajkach” szkoda nawet i mówić. Aż ciemno w kuchni od tyłu czeladzi. Tu chleb do pieca wsadzają, tam rodzynki do ciasta sypią, tu placki serem smarują, ówdzie zaś gęś skubią.

Ktoby potrafił to wszystko naraz wyliczyć? A nad tą wszystką czynnością wznosi się potężne berło, jakby pałka tambormajora—warzecha pani plebanowej ¹⁾.

Co się to, na miły Bóg, dzieje? Czy to wesele będzie, czy chrzciny, albo czy...—Pan Bóg ich tam wie! Ja wiem tylko tyle, że pan pleban dostał raz list wielki z ogromną w środku pieczęcią, a mniejszych około niej, jak maku, ale te już nie są całe, ale poprzelamywane. Taki list—my słudzy kościelni to wiemy—taki list nazywa się: kurenda.

Ale to nie była kurenda, jak zwyczajna kurenda, bo pan pleban przeczytał ją może i pięć razy.

¹⁾ Obrazek tu przedstawiony ma za przedmiot parafię ewangelicką, jakich na Słowaczyźnie bardzo wiele. (*Przyp. włóm.*)

nie rzucił jej na stół, jak inne, ale nie spuszczał z niej oka. W końcu czapeczkę złotem wyszywaną przesunął na tył głowy, spojrzął na panią plebanową długo, znacząco i rzekł: „Znów będzie robotą!”

Pani plebanowa przeczuwała również coś niezwykłego: „Księża spowiedź?”

Pan pleban chodził po świetlicy, aż chwasty na żupanie się ruszały i machnął ręką, że nie. Potem dodał: „Jeszcze więcej!”

Pani plebanowa nie umiała już dalej zgadywać. Widać było na jej twarzy, że ją to nieco dręczy, a pan pleban, poznawszy to, wyswobodził ją z mąk, rzekłszy: „Będzie”... Pan pleban powiedział, co będzie—ale ja tego nie spałem. Zapomniałem to słowo, jakby mnie kto zabił; tyle tylko wiedziałem, że to jest albo po niemiecku, albo po hebrajsku—ile języków ci panowie znają! — ale że to tak brzmiało, jakby powiedział: licytacja. Co to licytacja, tom wiedział dobrze, bo już nie jedna była we wsi naszej.

Twarz pani plebanowej zaszła jakby chmurą. Nie dała jednak po sobie poznać, lecz się zapytała: „A kiedy to będzie?”

— Za miesiąc—z końcem maja—26 maja. Tak tu stoi.

— To możeby co wsadzić do karmnika?

— Nie zaszkodzi.

To było wszystko, com wyrozumiał. Następstwa tej wielkiej kurendy uczuliśmy najwięcej my, słudzy kościelni—wtedy byłem jeszcze ministrantem. Zwołaliśmy na wielki plebański podwórzec wszystkich drób, o którym mówiono szeroko i daleko po całym senioracie i dystrykcie ¹⁾. Rzuciło się ptactwu coś owsa, a pani plebanowa przyglądała się, jak się mie-

¹⁾ Na senioraty i dystrykty podzielone są parafie ewangeliczne.

szają kaczki z kurami, gęsi z perliczkami, a jak się to wszystko między sobą swarzy. Myśmy spoglądali na panią plebanową i uważali, kiedy ręką skinie. Skoro palcem wskazała, skakaliśmy między drób i chwyтали ofiarę wybraną przez naszą panią. Wielki kojec przy kurniku był już przepelniony nieszczęśliwymi ofiarami, które do dnia dzisiejszego mogły były biegać po podwórzu plebańskim, gdyby nie ta kurenda. Ile ich było, aniby już nie potrafił dzisiaj opowiedzieć, gdyby nie kuratorowe ²⁾ rachunki z roku 18..., gdzie stoi pod rubryką: „jak była ta wielgo wizyta“:

jedyn wielgi jendur
 styry módki (młode)
 znowu styry kacki
 dwie aprykanki
 trzi gensi.

Od tej chwili przewróciło się do góry nogami życie wszystkich obywateli probostwa haczkowskiego. Pan pleban chodził zamysłony, mało mówił—wyręczała go pani plebanowa. Nabiegałem się do kuratora Jędrzeja Zabijaka każdego dnia. Każdym razem kazała go pani plebanowa wołać. A czego mu nie poleciała!

— Każcie plebanię obielić i podsienia trzeba już raz wybrukować. Kamienie wam zwietrzeją, a nie ruszacie ich: to jest gotowa szkoda kościoła. A ta sień, cała odrapana, jakże się tak pokażemy?

Kurator pokręcił głową—to się mu nie podobało. Mnie też nie. Plebania była biała i sień nieodrapana, można było na niej dukaty rachować, i bruk był dobry. Ale kurator nie sprzeciwiał się pani plebanowej; poskrobał się tylko za ucho i wracał do domu w swoich wielkich krypciach, którym pyski

²⁾ = u nas przewodniczącego komitetu kościelnego.

sterczały do nieba. Jeszcze się w domu nie zagrzał, już go znów kazano wołać na plebanie.

— Tu w kuchni wypadła blacha—trzeba ją dać naprawić—jakże się będzie na niej warzyć?

— Ano tak, tak! — I to było wszystko. Nasz kurator był człowiek dobry, uznał wszystko, co mu mówiono, ale gdy przyszedł napowrót do swego podwórza, kłopoty gospodarskie zepchnęły zawsze na koniec sprawy kościelne. Co dzień więcej mnożyły się moje wizyty u Zabijków, a kurator, mój chrześtny ojciec (niech mu Pan Bóg da wieczną chwałę, bo już przeszedł do kościoła tryumfującego), zawsze się mnie lękał. Tylko to, że był jego chrześtniakiem, uwolniło mnie od drogi do piekła — inaczej byłby mnie posłał pięć razy na dzień, i to do gorącego. Ostatecznie znalazł sposób: gdy mnie zobaczył, że idę do niego, krył się. To komora z beczkami kapusty, to stodoła, to sąsiek, to owczarnia, ba nawet i szopa stawała się jego schroniskiem.

Parafianie przeczuwali, że się na plebanii na coś zanosi. Myśleli sobie, że to będzie Bóg wie co, a może jaka gościna. Aż tu w tę niedzielę po kazaniu pan pleban oznajmił światu: „Wtedy a wtedy będzie w parafii wizytacya (wtedy sobie to słowo zapamiętał, że to wizytacya, a nie licytacya), przybędzie do wsi super-intendent i cały wielebny seniorat i wszyscy panowie z komitatu i pan starosta powiatowy. A więc w przyszłą niedzielę odbędzie się konwent kościelny.“

To ogłoszenie wywarło na parafian wrażenie głębokie. I nie bez przyczyny. Odkąd Haczków Haczkowem nie było tam nigdy tylu panów. Haczków leży w bok od szosy, z którą łączy go tylko droga polna, ale ta wiedzie korytem rzeki. Zdarza się, że rzeka wzbierze i przetnie Haczkowu komunikacyę z resztą Europy, a więc ze sławnym a wielebnym senioratem. W drugą stronę wiedzie również droga polna wielkimi łukami do Podbrzezia, ale Ha-

czkowanie niechętnie jej używają. I mają słusność. Między granicą Haczkowa a Podbrzezia ciecze mały potok, ale gdy nieco deszczu spadnie, tak zwykle wzbiera, że zabiera brzegi, splókuje ziemię i zostawia głębokie, skaliste urwiska. Na tym to potoku obie wsie wspólnymi siłami wystawiły most. Podbrzezie dało tramy, a Haczków deski. Ale radość niedługo trwała; przyszła wielka woda, deski zabrała—zostały tylko tramy. Wtedy powstała kwestya, kto ma położyć na stare tramy nowe deski — Podbrzezie nie — i mieli słusność — bo ich tramy są, ich woda nie zabrała, skoro je porządnie wbili. Haczkowanie również nie — i mieli również słusność — bo już raz dali deski, a nie będą ich ciągle dawać; oni również mają lasy i mogą dać tramy.

Sławne urzędy obu poczciwych wsi długo, długo się wadziły; ustąpić nie chciał żaden. Ostatecznie się pogodzili: poczekać aż tramy albo zgniją, albo je woda zabierze, albo je cyganie spalą. Potem, gdy ich nie będzie, znów wystawić most, a wtedy tramy da Haczków, a Podbrzezie belki. Układ podpisały oba urzędy, a dla pewności i pieczęcie z sadzy przyłożyli. Ale tramy z woli Bożej trwają do dnia dzisiejszego. Ani powódź, ani cyganie nie usunęli dotąd tej głównej przeszkody stosunków między Haczkowem a Podbrzeziem.

Ale Haczkowanie, chwała Bogu, nie są w ciemnię bici. Znajdą sobie drogę i bez Podbrzezian. Drogę „ku wodzie“ naprawili, wyłożywszy ją na wieczną pamiętkę centnarowemi blokami, przez rzekę urządzili przewóz, ale tylko dla pieszych. Wóz może iść w bród, a jest poniżej przewozu miejsce znakomite. A ma to wielkie wygody. Jeżeli np. idzie wóz z Haczkowa, zwłaszcza furmański (nie śmiećcie się, w Haczkowie mają i furmańskie wozy), no to wóz ten będzie dobrze wypoczęty, a koła u niego rozeschnięte. Nie wyjdzie im na pożytek droga przez wodę? A jeżeli zaś wraca wóz z furmanki do domu, pewnie

będą koła zabłocone — a więc czy się nie omyją? A konie w Haczkowie jakie mają! Gdyby był który dychawiczny, a wejście do głębokiej wody spocony, naturalnie trzaśnie kopytami. Dlatego haczkowskie konie są daleko znane, chociaż w całej wsi są tylko trzy pary i to gdy się sześciu gazdów złoży.

Obcym ludziom ciężko było dostać się do Haczkowa, a z Haczkowa jeszcze ciężiej. Dlatego to sądy pozywały Haczkowiaw najwięcej w zimie, kiedy rzeka zamarzła, albo w lecie, gdy się dała w bród przebyć. Wójt z podatkiem na W. Świętych wybiaranym musiał często czekać do Trzech Króli, nim mróz chwycił. Pani plebanowa zwyczajnie w czasie zniw wybierała się na wielkim furmańskim wozie do miasta, aby sobie nakupić wszystkiego na pół roku. Miała ona taką małą książeczkę i w niej sobie przez całe dwa kwartały pisała, co jej wyszło, a czego trzeba było nakupić. W zimie dopełniał zawsze zasobów pan pleban, kiedy się przesankował do miasta.

Haczkowianie się zlekli, że do nich naraz tylu panów przybędzie.

— A dlaczego nie przyjedzie sam superintendent, ale tylu z nim panów?

— Ba jużci, ten ci będzie tak samo chodził, jak jaki wędrowny — zaśmiał się pisarz gminny, który nieco świata był poznał. — Starosta jest tylko starostą, a nie ruszy się bez hajduka.

— Ale to nie będą hajducy, to będą panowie.

— Naturalnie, bo superintendent wielki pan, tego nie będą obsługiwać hajducy.

— O jej! — taki to on. Jabym go rada widzieć.

Pisarz się pogardliwie roześmiał. Kobięcina poczyna wielką przewagę jego ducha i doświadczenia nad sobą. Dlatego zapytała jeszcze wstydliwie:

— A możecie go już kiedy widzieli?

— Widziałem, ale tylko na obrazku; przecież go potem zobaczysz.

— A co on będzie jadł?

Pisarz znów się złośliwie uśmiechnął i odparł:

— Ziemniaki z kapustą.

— Ale.. a jużci! — przeczyła kobięcina. — Ja się nie dam oszukać.

Pisarz nadał swej twarzy wyraz poważny.

— Wiesz, to tak jest: chłop się tylko raz w rok naje — we wilię; wtedy ma wiele i dobrego. Taki pan się każdego dnia naje tak, jak ty na wilię.

Ostatecznie kobięcina wszystko zrozumiała. „Każdego dnia jada opiekane knedle i pierogi?” — pytała się mędrca wiejskiego.

— Ba, jeszcze i coś lepszego, niż to! Kiedy ty na święta napieczesz, co jada twój chłopiec najchętniej?

— No, to jest nagroda! Kiedy mu dam zawijany placek, wyje z niego sam środek, twaróg albo powidła, a resztę mi tak zostawi. A z baby również wydziobie najpierw rodzenki, a babę zje, gdy przyjdzie na niego bieda.

Pisarza to widocznie zupełnie zaspokoilo. Przy stanął na drodze i poważnym głosem rzekł:

— Widzisz, superintendent również to tylko jada, co bywa w zawijanych placach.

Ale kobieta jeszcze nie była zadowolona. Ona musi wiedzieć wszystko od A do Z. Zapytała więc:

— A kto zje do ostatka placek, gdy go tak zostawi?

Pisarza to już zgniewało i odchodząc, odparł:

— A od czegoż będą tamci inni?

Odtąd zaczęły kobiety nosić na plebanię podarunki. Nanosiły maku, twarogu, powidel, masła, jaj, rodzenków — wszystkiego tego, co się do zawijanych ciast daje.

Tak mijał czas na rozmaitych przygotowaniach.

II.

W Podbrzeziu już ukończona wizytacja kanoniczna. Goście się już posilili za niezwykle długim stołem. Na pierwszym miejscu siedzi Jego Dostojność, a na jego twarzy igra uśmiech zadowolenia. Doprawdy rad jest, że już seniorat cały zwiedzony, oprócz jednego Haczkowa, i że te gościny powoli ustana. To nie drobnostka być w gościnie przez cały dzień czternaście!

Do tej izby wszedł wójt podbrzeski z twarzą zachmurzoną. Gdy drzwi otworzył, widać było pełno głów, które ciekawie śledziły, jak się będzie wójt poruszał między tyłu panami. On się im przysięgał, że nie ma strachu, ale wszedłszy do środka, zapomniał o wszelkich przyrzeczeniach. Stał nieporadnie w środku izby, nie mógł przemówić ani słowa. Ostatecznie odważył się, uczynił w stronę podbrzeskiego plebana kilka kroków żołnierskich, nachylił się nad jego stolikiem i coś mu do ucha poszeptał. Wszyscy z ciekawością obrócili się ku niemu. Jego Dostojność zapytał:

— Cóż tam?

— Mała przygoda—odpowiedział za wójta pan pleban. — Na halach pada deszcz gęsty, rzeka pewnie wzbierze i przewóz do Haczkowa będzie niebezpieczny.

Wszyscy się zlekli. Rzecz ta dotknęła ich niemiło, znali rzekę dobrze; jeden dobry deszcz w lasach, a już rzeka wylewa się po za brzegi.

„Co tu robić?”

To było ciężkie pytanie. Na wójcie było to widać, jak ciężkie. Obracał kapelusz w rękach, chciał coś powiedzieć, ale mu głos w gardle zamierał. Co miał czynić? Nachylił się nad swoim panem plebanem i znów mu coś zaszeptał.

— Doskonale, panie wójcie, doskonale! — krzyknął uradowany pleban. — To będzie dobrze. Pan

wójt radzi — rzeki, zwracając się do wszystkich — abyśmy jutro pojechali „wirchami“ do Haczkowa; przez wodę nie przeprawilibyśmy się w żaden sposób. Tam na granicy jest również most zepsuty, ale nasi ludzie naprawią go do jutra, a my suchą nogą przybędziemy do Haczkowa.

— Bardzo dobrze, panie wójcie — pochwalił go pan senior.

Wójt jakby był odrazu o łokieć urósł. Szuszał nogami, obrócił dwa razy kapelusz w rękach, zaczerwienił się aż po uszy i głosem drżącym, ale przed wszystkimi panami dodał głośno:

— Zaprzęgi damy my, droga zła, pańskich koni szkoda. Do Haczkowa damy przez kogo wiadomość, z której strony panowie przyjdą i że my, wieś Podbrzezie raczymy ich tam zawieźć.“

Wójtowa sława była odtąd wielka. We wsi wskazywali nań palcem: „Patrz nasz wójt z superintendentem rozmawiał!“ Okoliczne wsi również się o tem dowiedziały, a do protokołu gminnego pisarz to również zapisał na wieczną pamiętkę.

Na drugi dzień ruszyła wizytacja z Podbrzezia „wirseckami.“

Zaledwie w Haczkowie zaświtał wielki dzień przybycia superintendenta, a już całą wieś ogarnęła jakaś gorączka. W ostatnią godzinę pokazało się, że przygotowania ani z grubsza nie są ukończone, że się wiele, wiele rzeczy zaniedbało. Jedyne pani plebanowa nie straciła głowy. — Wszystko miała już na roznach — i pieczenie i drób — hej, po wielkiem krwi przelaniu! Wczoraj ciekła krew potokami do nastawionych naczyń; wszystko, co było w karmniku, musiało życiem zapłacić za wyżywienie. Kucharki jak katy chodziły po podwórzu ze skrwawionymi nożami. Pozarzynały wszystko, co im podałyśmy — my, słudzy kościelni. A jak każdy kat jest tchórzem podszyty, kiedy mu się pod rękę dostanie co niezwyczajnego, tak i kucharki uciekły, kiedy

z kojca wyciągnęliśmy wykarmione indyki. Ani jedna nie ośmieliła się wziąć siekiery do ręki i targnąć się na życie tego pięknego ptaka. Co robić — chcąc nie chcąc, musieliśmy my, słudzy kościelni, spełnić na nich wyrok śmierci. Ta egzekucja została wykonana pod poddaszem plebanii haczkowskiej dnia 25 maja 18.., na dzień przed przybyciem biskupa. Większy kłopot był z dwoma prosiatkami, które kurator kupił na jarmarku. Nie miał im kto zadać śmiertelnego ciosu. Oblecieliśmy całą wieś, aż na koniec kurator zabijak musiał przytłumić w sobie delikatniejsze uczucia — i tam dalej...

Ale były tu jeszcze i inne kłopoty. Wczoraj przed wieczorem przybiegł kowal Stefan na plebanie zupełnie bez tchu.

— Miłosierny Panie, zapomnieliśmy o moździerzach! Moździerzy jeszcze nie mamy we wsi.

— Stefanie, to dobrze, żeście o tem nie zapomnieli, ale ja nie mam teraz już na to czasu — mam inną pilną pracę — pobiegnijcie do kuratora.

Kowal Stefan pobiegł do kuratora Zabijaka.

Zabijak podług dobrego a dawnego zwyczaju poskrobał się za lewem uchem i rzekł:

— Kumotrze, wiecie co? Najlepiej będzie iść do wójta. On się o nic nie potroszczy, żadnej pomocy nam nie da. Wczoraj sam musiałem przywlec z miasta pół beczki wina. Krzyże mam całkiem otarte, a ten nic, siedzi tylko w izbie i kurzy fajkę, jak baron. Czy nie prawda? Ale niema sprawiedliwości na świecie?

Oba się wybrali do wójta. Zastali go siedzącego za stołem i czytającego z jakiejś karteczki. Wyłożyli mu, o co chodzi, a kurator dodał z wymówką:

— Ja nie wiem, niceście nie urządzili, jak się patrzy!

— Ja? — rozgniewał się wójt. — Przecież wszystko tylko na mojej głowie. W konwencie zarządzili

podział składki od komina do komina na tę „kanonową” — spojrzal do karteczki, która przed nim leżała, i poprawił się — na tę kanoniczną wizytację po dwa reńskie szajne. Kto ją zebrał? wy, czy ja? Kto zdarł troje krypci, gdyśmy wieś wyganiałi, aby ponaprawiali parkany plebańskie? Kto dał z własnego podwórza trzy belki na mostek przed plebanie? Wszystko ja robię za was! Tu znów muszę powiedzieć powitanie przy rzece; dwa dni się już ucę, a tego nikt nie uzna. Kiedym się uczył życzeń, jako družba, nie miałem tyle kłopotu, a teraz się ucz na stare lata! Zeszłej nocy włożyłem je pod poduszkę, aby prędzej wlało w głowę, a ono nic! Tej nocy muszę nie spać, a uczyć się. Chodźcie do podwójciego, niech wypędzi kogo do miasta po komitatowe moździerze. Prochu mamy dość i grubego i drobnego.

Przezorny kowal i kurator poszli za podwójcim, który właśnie wyszedł na grządki, aby podlać kapustę. Zanim go znaleźli, zanim wyprawili chłopą, padł zmrok na rozruszany Haczków.

Chłop gdzieś po północy przyszedł do domu i to „wirseckami.” Zaraz wyszukał i obudził wójta, gdyż trudno, w czasie wojny i cholery i prawo pozwala obudzić wójta, a cóż dopiero w czasie wizytacji kanonicznej! Wójt, naprzekór wszystkim kłopotom i mowie powitalnej bardzo smacznie sobie chrapał. Ale gdy mu sprawę wyjaśniono, przeszły go po plecach dreszcze.

— A byleś u pana starosty?

— A naturalnie! Ale ten mi powiedział, że komitatowe moździerze przechodzą ze wsi do wsi wszędzie przed wizytacją, a teraz są w Podbrzeziu, abym tam szedł, że mi tam już dać mogą. Zabrałem się do wójta, proszę go o moździerze, a ten skoczył na mnie, dlaczego nam to w ostatniej godzinie przyszło na pamięć; czyśmy sobie zkądinąd nie mogli moździerzy pożyczyć, czy oni będą z kluczków strzelać, gdy wizytator będzie od nich odjeżdżał, abyśmy

sobie jutro przyszedli po nie, a wtedy je nam chętnie dadzą.

Wójt posłał chłopą do domu, a sam poszedł na poradę do kowala, któremu powierzono troskę o moździerz i o strzelanie.

— Tak prześladowają naszą wieś we wszystkim! Znow taka nieprzyjemność... no, ale niechtam!

I pogroził zaciśniętą pięścią bezbożnym Podbrzeżianom.

Wójt był również zagniewany, ale przecież pocieszył kowala.

— Kumotrze, wszystko do czasu! Przecież my kiedyś zapłacimy im rachunek, hej, zapłacimy!

W tych słowach odezwało się sumienie każdego rodowitego Haczkwianina; były one za słabe, aby wyraziły gniew, który czuł każdy Haczkwianin ku Podbrzeżianowi. Te dwie wsie już od czasów króla Macieja, jak to udowadniają protokoły gminne, żyły w nieprzyjaźni bądź otwartej, bądź skrytej. Z początku była to zwyczajna zawiść sąsiedzka, ale ta znalazła potem rzeczywistą podstawę. Haczków dał sobie wyrzeźbić z drzewa do swego kościoła Wieczerzę Pańską i to właśnie taką, jaka była w kościele podbrzeskim. Bardzo to piękna robota: Chrystus siedzi w środku, a około niego dwunastu apostołów. Serce każdego Haczkwianina musiało skakać z radości, gdy widział te miłe figury, skupione przy Chrystusie na ołtarzu Bożym. Aż oto po kilku latach przyszło na myśl któremuś Haczkwianinowi policzyć, ile jest tych figur — i naprawdę brak było jednego apostoła. I gdyby to jeszcze którego, ale, pomyślcie sobie, Judasza!

Ta wieść rozniosła się rychło w Haczkowie, a u wójta zawyrokowali, że złodziej się pewnie ukomil na ten wielki worek, który Judasz w ręce trzymał. Haczków upadł w opinii, w mieście się żaden wieśniak ani śmiał ukazać. Aż tu któryś z Haczkwian idzie na nabożeństwie do Podbrzezia, patrzy

z zazdrością na ołtarz i widzi dwóch Judaszów, siedzących przy stole z workami.

Jakim sposobem dostał się Judasz haczkowski do Podbrzezia, tego nikt nie umiał powiedzieć. Dość, że cały Haczków się oburzył, a wójt posłał do Podbrzezia list piorunujący. Podbrzeski wójt mu odpowiedział, że nie mają się o co gniewać, bo w Haczkowie jest dosyć innych Judaszów. Haczków odpowiedział na to, aby apostoła wrócili, że jaki jest, taki jest, ale oni wszystkich apostołów chcą mieć w domu. Listom nie było końca. Haczków się odniósł aż do władzy, ale Podbrzezie — to byli ludzie przemądry — nie wrócili Judasza Haczkowu.

Od tego czasu jest w Haczkowie jedenastu, a w Podbrzeziu trzynastu apostołów, jak o tem mówią protokoły gminne, a Haczkwianie nienawidzą Podbrzeżian.

Kowal ze złości nie mógł spać; przemyślał, jakby tych Podbrzeżian zawstydzić. Nowe moździerz ulać, ba, kiedy niema tyle żelaza. No, zrodziła mu się w głowie myśl desperacka. W komorze rdzewiało od przeszłej zimy odrapane stare kowadło. Z niegoby się dał zrobić dobry moździerz. O świtanu już były moździerze przed kuźnią. Rano każde dziecko już wiedziało, że się komitat złączył z Podbrzeziem, aby Haczków zupełnie zawstydzić, ale kowal Stefan przewyższył wszystkich rozumem i wy dobył wieś z wiecznej hańby. Zrobił pięć moździerzy i to w czasie tak krótkim. Z kowadła był największy i najpewniejszy. Potem poszedł do kołodzieja, brata kuratora, wziął od niego cztery jaworowe kłocce, które sobie na dzwona do kół przysposobił. Taki kłoc bywa z krętego drzewa, a gdy go się jeszcze ściągnie żelaznymi obręczami, można z niego strzelać, jak z działa.

Każdy Haczkwianin był dumny ze Stefana,

gminnego kowala. Obstąpili jego kuźnię, a on każdemu objaśniał, jak na tę myśl przyszedł.

Ale mała przygoda popsula radość Haczko-
wian. W nocy musiał gdzieś w lasach deszcz padać, bo rzeką płynie woda mętna i przez brzegi się przelewa.

— Że też to musiał akurat teraz deszcz padać! Dwa tygodnie było pięknie i nie mogło do jutra wytrzymać.

— Jakby kto naumyślnie to zrobił!

Ale i to nie było jeszcze wielkiem nieszczęściem. Pamiętając dni przeszłe, że się nie można spuszczać na pogodę, gmina przysposobiła wielką tratwę, na której chciała przewieźć na drugi brzeg do wsi swoich gości i z powozami razem. Aby się pańskie konie na równej drodze od wody ku plebanii nie podbiły, kazała gmina sprowadzić z pola wszystkie sześć koni, które w zaprzęgu na brzegu się pasą.

Zaledwie rosa zaczęła osychać, cały Haczków zeszedł na dolny koniec wsi do przewozu. Również i cały urząd tam się znalazł. Tylko pan pleban został na plebanii, aby tam przywitać zacnych gości. Kurator z żoną również poszedł ku rzece; w domu jest już ugotowana „krampampula“ i pokrajane kołaczki na poczęstowanie pańskich woźniców. Przy ogniu stoją dwa ogromne garnki z mięsem. To trudno: na plebanii pamiętają o panach, kurator musi pamiętać o woźnicach; niech i ci pamiętają, kiedy była w Haczkowie wizytacya.

Cała wieś wyglądała naraz jak wymarła. Tylko przed kuźnią płacze się ze szczęścia dzieci. Oglądają moździerz już nabite i rzędem ustawione. Kowal grzeje na ognisku drót, aby go mógł zaraz do panewki przyłożyć, skoro u przewozu strzał się da słyszeć. Gdy moździerz wypala, mają się odezwać wszystkie dzwony.

III.

Sławny i wielbny kościół haczkowski miał tedy dzwony. A jaką dzwonnice! Nie—o tej miałem zaraz na początku opowiadać, bo inaczej moi współobywatele pogniewają się na mnie, że ich osobliwości pomijam milczeniem. Mieli dzwonnice, którejby i w Rzymie darmo szukał. Kiedy wyjdiesz ku dzwonom, widać, podług naszego gminnego protokołu, do Galicyi po Nowy Targ, a na dół aż po Zwoleń. Gdybyś wyszedł do góry, aż pod krzyż, gdzie się nasz sławny kogut podług wiatru obraca, zobaczysz nawet Kraków, a na południu Peszt. Nasi starzy ojcowie przysięgali na to, więc musi być prawda. Ja byłem prawie pięć lat sługą kościelnym, wszedłem aż pod koguta, ale Krakowa nie widziałem. No, mojemu słowu nie potrzebujecie tak wierzyć, może być, że nasi ojcowie mieli wzrok lepszy. Ba, stary stryk Daniel Colonus przysięgał, niech mu tam ziemia będzie lekka, bo już jest na Boskim sądzie, żeby było widać aż pod sam Tokaj, gdzie te strzygi na św. Łucyę tańczą, gdyby zaraz za Miskowcem niebo nie było się o ziemię oparło.

Owa dzwonnica nie była tak wysoka, ale postawiona była na pagórku stożkowatym zaraz powyżej plebanii. Jeżeli tedy doliczymy do niej i wysokość pagórka—co to za wysokość! Który seniorat ma taką wieżę? Na dzwonnicy są trzy dzwony: wielki, mały i średni. Każdy pochodzi z innej doby i z innej fabryki. Dlatego to nie mogą się z sobą zgodzić i ciągle się kłóć. Haczkowianie ufali sobie, że powoli się zgodzą i przywykną, ale nie daj Boże! Ten mały — ten wam skacze do tego starego; nim stary powie jedno słowo, najmniejszy już go obsypie przewiskami.

Podług kościelnych protokołów, w mały i średni mają dzwonić słudzy, do wielkiego wynajmuje kościół dzwonnika, zwyczajnie dorosłego parobka, który

za swoją fatygę dostaje rocznie półtrzyznaście złotych szajnych i od każdego pogrzebu po 7 groszy. Z biegiem czasu wielki dzwon się zesechł, czy obtarł o tyle, że go już i sługa mógł uciągnąć. Tak w moich czasach, głym był sługą kościelnym, nie było dzwonnika. Zastępowałem go ja, starszy między sługami, młodszy dzwonił tylko w średni. O ten najmniejszy biła się cała młodzież Haczkowska. Kiedym wyszedł z kluczem z plebanii, już mnie czekała pod dzwonnica cała kupa młodych haczkowian; każdy mnie prosił, abym mu pozwolił dzwonić, a jeden nad drugiego mnie podplacał. Byłem wtedy najwyższym dostojnikiem we wsi, stałem najwyższym; wyrokowałem, kiedy mają Haczkowie jeść i z pola iść do domu, a oprócz tego młodzież starała się o me względy. Ci, którym dozwoliłem dzwonić, po dziś dzień są mi wdzięczni; ci zaś, których pomiąłem, dotąd na mnie gniew swój wywierają. Ha, no!...

W pamiętny dzień wizytacji, ku swemu zdziwieniu, nie zastałem pod dzwonnica ani jednego chłopca. Obaj słudzy spoglądaliśmy na siebie i pytaliśmy się: co będzie? Radzimy wspólnie, dzwonić trzeba będzie, a niema kto. Zbiegłem do wsi, a przywykły biegać do kuratora, jak, nie przymierzając, koń, zapamiętałem drogę i szedłem prosto do kuratora. Nie zastałem nikogo w domu. Cóż miałem robić? — poszedłem na plebanie. Pan pleban posłał mnie po kuratora. Pędzę na dalszy koniec wsi do przewozu, hej! tam byli i moi dawni dzwonnicy, ale żaden ani nie spojrzął na mnie. Wszystko spoglądało na drugi brzeg — czekali, czekali. Wreszcie uchwyciłem kuratora za rękaw i opowiedziałem, co się stało.

— To może mam iść ja! — odburknął gniewliwie. — Tu masz kopę chłopców, zawołaj sobie, którego chcesz.

Wezwałem tego i owego, ale jakby mnie nigdy nawet nie byli widzieli. Unikali mnie. Bez żadnej nadziei wróciłem na plebanie.

Pan pleban również miał już dosyć. Wziął kapelusze i pewnym krokiem szedł do przewozu. Tam rzekł do całego narodu:

— No, jakto, to niema w tej wsi człowieka, któryby kościelowi posłużył? Nikt się nie zgłosi dobrowolnie?

Nastała cisza, jak w grobie. Chłopcy cisnęli się w tył, aby ich pan pleban nie dostrzegł. Ano, dzwonnica jest tu i będzie na wieki, a intendent tylko ten raz przybędzie.

— Kto się zgłosi dobrowolnie, tego imię zapiszę w protokóle, że dziś przy przybyciu wizytacji dzwonił.

To poskutkowało nareszcie. Pachotek kuratora, wtajemniczony nieco w sprawy kościelne, wiedział, co to znaczy błyszczeć w protokóle. Wystąpił z tłumem i szedł za mną ku dzwonnicy. Nigdy nie szedłem z tak ciężkim sercem na swoje wysokie miejsce, jak dziś. Czulem cały ciężar swej godności na młodych barkach. Wielką ofiarę uczyniłem wówczas swemu powołaniu: odejść od przewozu, nie widzieć nic!...

A na tej wieży, jakeśmy się tam czuli! My, ministranci, byliśmy smutni, a pachotek Jędrzej był zadumany. Prawdopodobnie żałował, że się dał opanować ambicyi. Przecież nie był zmuszony iść tutaj, myśmy mu nie byli winni, a przecież się na nas zemścił. Kiedyśmy podźwignęli okiennice, ażeby patrzeć ku rzece, on na nas krzyknął:

— Siedz, jak upieczony! Zrzucę cię na dół, jeśli nie będziesz siedział.

Siedliśmy sobie na oknie, a oparłszy głowy o ręce, zamyśliliśmy się. Oczy niechcący błędziły po podłodze wyłożonej okrzasanemi okrajkami. Tu i owdzie czerniły się krople mazi, którąśmy dzwony smarowali, aby się lżej poruszały. Pachotek się i do tego wmieszał.

— Czy to musicie tyle smarować? Patrzcie, co mażi po ziemi—a średni jest cały mażią zalany...

— Smarowaliśmy je jeszcze na Wielkanoc, a nie mamy nawet czem. Kurator nam nigdy nie chce dać na maż.

— Tak wam trzeba robić, skoro nie umiecie gospodarzyć. To, co jest nakapane na ziemi, mogłoby starczyć na rok cały. Gdybym ja był kuratorem, jabym wam ujął!

Chciał być skąpszym od swego gospodarza! — Gdyśmy potrzebowali powrozu do dzwону, musieliśmy go przez dwa miesiące codziennie męczyć, a gdy się wreszcie zdobył na kupienie nowego, musieliśmy mu zanieść wszystkie kawałki starego. Hej, to był kurator!

Mierzilo nas to siedzenie. Zwiążaliśmy powrozy od wielkiego i średniego i zaczęliśmy się huścić. Pacholek uczynił ruch, jakby się przysposabiał do odpięcia swego szerokiego, nasmarowanego pasa, a myśmy uciekli do drugiego kąta. Cała wizytacya zaczęła się nam nie podobać. Ani oknem patrzeć, ani się huścić—cóż tedy robić? Leżeć i spać jak pacholek — to nam się nie chciało. Zamieniliśmy z sobą znaczące spojrzanie i już drapaliśmy się po słupach do poddasza, a po em wiązaniach pomiędzy belki i banty do okienka pod kogutem. Pacholek się zdrzemnął, ani nie spostrzegł, gdzie się podzieliśmy, a myśmy patrzyli ku rzece i zazdrościli swoim towarzyszom.

Widok był naprawdę piękny. Nie widzieliśmy wprawdzie ani Krakowa, ani szczytu tokajskiego, ale zato okoliczne wierchy, pomiędzy które przedzierała się rzeka, jak jasna wstęga. To ruchliwe życie na jej brzegu i ta ulica, przystrojona teraz przed przybyciem wizytacyi zieloną chojną czerwonego smreka i lipy, i ten rząd małych smreczków, które wysadzili drogę od przewozu aż do plebanii, a ztąd ku kościolowi—to wszystko dodawało właściwego powa-

bu i tak już pięknemu widokowi. Zapatrzyliśmy się w te piękności i na chwilę zapomnieliśmy, czego tu właściwie chcemy.

Pod naszymi nogami, jak otwarta księga, leżało podwórze plebańskie. Mogliśmy widzieć wszystko, co się na niem dzieje. Plebania podobna była do ula, który się właśnie wyroił. Pojawi się tu lub tam ktoś, ale zaraz znika w kuchni. Albo znów pokaże się na progu jedna lub druga kucharka, ostudzi rozpalone oblicze białą zapaską, obejrzy się z roztargnieniem po podwórzu i znów znika we wnętrzu. I pan pleban wyjdzie w czarnem ubraniu, przejdzie przed drzwiami pięć, sześć długich kroków, spojrzy ku przewozowi i wróci się do sieni, trzasnąwszy szerokiemi drzwiami.

Zbliża się południe, słońeczko dźwiga się do góry i nam w okienku dobrze dopieka, zaczynamy się już nudzić, a wystrzału nie słyhać. Pan pleban wdział na siebie już i płaszcz i zawiązał sobie nową, pięknie na końcach ząbkowany biały krawat i chodzi wielkimi krokami popod ścianą. Skrzypienie jego butów słyhać aż u nas pod kogutem. Po chwili ce wybiegnie i pani plebanowa z rożnem, z którego wznosi się pachnąca para ku niebu. Gdy się para rozwiała, ujrzeliśmy na rożnie prosiątko z przypieczoną skórką. Mały ryjek komicznie zwrócił się do pana plebana, a z półotwartego pyszczka widać było białe ząbki, jakby się śmiać chciało z marności tego świata. Pan pleban spojrział mimochodem na to piękne zjawisko i kiwnął głową, że się mu to podoba. Pani plebanowa jest niecierpliwa; widocznie zaczyna się bać, aby goście nie zawiedli. Pan pleban dla uspokojenia przyniósł jej z pokoju wielką kurendę, pokazał jej 26 maja 18... czarno na białem, otworzył i kalendarz i sprawdził, że dziś muszą przybyć goście. Pani plebanowa, widocznie uspokojona, wróciła znów do swego państwa.

Przy tej obserwacyi zapomnieliśmy o całym

zresztą świecie. Rożen zwrócił nasze myśli w zupełnie innym kierunku. Jakby we śnie, usłyszeliśmy głos pacholka, który od dzwonów krzychał: „Chłopcy, chłopcy! Gdzieżeście? Pójdźcie dzwonić!

— Aha, już mu się samemu sprzykrzyło, chce nas ku sobie przywabić—rzekł młodszy posługacz.— Zgodziłem się z nim, mówiąc:

— Głupiec, chce nas zwieść, jakbyśmy nie widzieli lepiej, co się dzieje.

— Gdzieżeście, potwory!—I pacholek cęglupiał bił czemciś o słupy.

My się śmieliśmy z niego. Za chwilę małą słuchamy, jakby coś skrzypiało, to był powróż, który przy kołysaniu dzwonu tam i napowrót się smykał, aż naraz i serce w dzwon uderzyło. Co to jest? Czy to już południe? Spojrzeliśmy w niepewności jeden na drugiego. Południe nie może być, na południe dzwoni się w średni, a nie w wielki. Z plebanii również wszyscy wybiegli na podwórze i pan pleban patrzy w dół wsi i nie może sobie wytłómaczyć, co znaczy dzwonięcie? Patrzymy w stronę przewozu, u rzeki też ciekawy ruch, ludzie się mieszają, chodzą jak na jarmarku — i tu wzbudził głos dzwonu zdziwienie. Przypadkiem spojrzę drugim oknem, co było po za mną, ku wyższej stronie wsi, i widzę długi rząd powozów.

— Wizytacya jedzie! wizytacya jedzie! — krzyczę na swego towarzysza i pokazuję mu powozy.

I jużemy się zsuwali na dół na poddasze aż nad same dzwony. Zatrzymaliśmy się nad otworem, którym trzeba się spuścić na dzwonnice — ujrzelśmy pacholka, jak ciągnął wielki dzwon. Do dzwonnicy zejść nie mogliśmy, bo trzeba było zejść na koronę wielkiego dzwonu, a ta przy dzwonięciu poruszała się w tę i ową stronę. Pacholek nas spostrzegł i pogroził pięścią:

— Poczekajcie, takeście to pilnowali!
Byliśmy zawstyżeni, zgruchotani.

Gdy dzwonięcie ustało, zesłaliśmy do pacholka powozy już były na plebańskim podwórzu.

* * *

Takie tedy niesławne było przybycie wizytacyi do Haczkowa. Z całej wsi nikt jej nie przywitał, przed plebanią nikt jej nie oczekiwał, ani jej nawet nie dzwoniono we wszystkie dzwony! Tylko Podbrzeżanie zachowywali się w naszej plebanii, jakby w swoim domu, a do siebie się uśmiechali. Nikt mi nic nie mówił — zabrałem się do przewozu. Tam zastałem ludzi już w rozpacz. Niektórzy mówili, że intendent do Haczkowa wogóle już nie przybędzie. Ja poszedłem prosto do kuratora i pociągnąłem go za rękaw

— Wizytacya już jest na plebanii!

— Kto? kiedy? co? jakto?

— A ktoby mógł być na wszystkie pytania odpowiedzieć? Wójt pojął to tylko, że już nie będzie witał intendenta, rzucił kartkę na ziemię i podeptał ją nogami.

Zastępy ludu posunęły się ku plebanii, podwórze napelniono się ludźmi, wszyscy patrzyli nabożnie w okna, czy nie zobaczą kogo, którego już miesiąc gorączkowo oczekują — ale z kuchni wyszli i powiedzieli, że intendent jest umęczony długą i złą drogą.

Wójt i kurator z Podbrzezia przybiegli z wesołą miną do naszego wójta.

— Cóż to u was za choroba? Myśleliśmy, że wyjedziecie naprzeciw przynajmniej na granicę, a tu ani we wsi żywej duszy, jakbyś szedł przez umarłą Ligotkę. A ze dzwonami również — chybaście je do Rzymu posłali, żeście tylko w jeden dzwoniли.

— Wiecie wy, dlaczego to jest — bodajeście kark skęcili. Czemużeście wymyślili drogę po za stodołami, jak wilk do owczarni? Dobry pasterz idzie do ow-

czarni drzwiami: a nie po za plotami! Czemużecie przynajmniej nie uwiadomili, którędy pójdziecie?

Wójt z Podbrzezia przybierał rozmaite miny, ale nie mógł przytłumić uśmiechu. Był to wielki śmieszek. Położył rękę na sercu, jakby przysięgał.

— Uwiadomiliśmy was—niech mnie dyabli wezmą na miejscu, jeśliśmy was nie uwiadomili! A to przez naszego gajowego!

Wójta naszego jakby kto wrzącą wodą oblał:

— Ależ nikogo nie widziałem, ani kurator!

Żona gajowego haczkowskiego słuchała, o czym rozmawiają urzędnicy obu szanownych gmin i odezwała się:

— Mój mąż wczoraj wieczorem—prawda, to już było w nocy—chwycił kogoś w polu, chyba, żeby to on...

— A gdzie jest twój mąż?—obruszył się na nią wójt.—Dlaczego tu go niema? Ja go nauczę!

Gajowa za chwilę przybiegła ze swym mężem na plebanie, a z nimi przyszedł i podbrzeski zagubiony gajowy. Musiał to być szelma, bo oczy się mu ustawicznie śmiały. Natychmiast stanął przed haczkowskim wójtem i wyciągając jeden róg pisma, rzekł:

— Dobrze, żeście tu, panie wójcie. Nasz wójt wam posyła to pismo i pozdrawia was z całym urzędem.

— Nacóż teraz moje pismo, kiedy ja tu sam jestem? Gdzie ty łazisz, próżniaku? Ze służby cię oddalę!—oburzył się podbrzeski wójt na swojego gajowego. Gajowy, spuściwszy nieco oczy ku ziemi, przecież świadomie się uśmiechał, jakby wiedział, że mowy się mówi, a chleb się je. No, ani jego wójt nie wyglądał tak groźnie; jego głos był niły i gniewny, ale oczy śmiały się do gajowego. Podbrzeski gajowy się usprawiedliwiał:

— Chwała Bogu, żeście tu! Ten oto—ukazał na haczkowskiego gajowego—wczoraj późno wieczorem

za nic mnie chwycił i zamknął. Gdyby nie wy, sam nie wiem, kiedyby mnie był puścił.

Wójt haczkowski spojrzał na swego gajowego. Gdyby jego oko było miało ostrze, pewnieby go było przeszyło. Gajowy się bronił i to z wielkim rozgoryczeniem: Cóż ma chodzić po naszych oziminach!

— Szedłem „uwrociami” — bronił się podbrzeski gajowy.

— Nie cygań, szedłeś środkiem zagonów, dobrze widziałem. Ja go zaaresztowałem i chciałem go wieść ku wam, jako do wójta. Ale już była późna noc, nie chciałem u was o głupstwo robić hałasu, a na świtanie jużem was w domu nie zastał. No, myślę sobie, dobrze—zawiedziesz go po tej paradzie; czy tak, czy siak, to ci nie ucieknie. No, i przywiódłem go.

— Tak, tak—przytakiwał mu nasz wójt rozszereżony. Takiś wielki, jak dąb, a głupiś, jak but! Nie mogłeś się go wypytać, czego chce, do kogo idzie, co niesie—he?

— Moja stara się go pytała, a skoro jej nie powiedział, komużby powiedział? Milczał zacięcie. Nie rzekł ani słowa, jakby się zająknał, i tylko ten list mi pokazywał. Ale co mnie z listu—myślę sobie—skoro nie wiem, co w nim napisano. Nas nieuczylili jeszcze czytać.

— Gminny gajowy, a nie umie czytać! To dopiero jest robota!—gniewał się nasz wójt.

— Ale nie gniewajcie się, sąsiedzie—odezwał się wójt z Podbrzezia.—Stalo się, to już trudno. A w nagrodę zato wystawiliśmy wam most.

Nasz wójt udobruchał się nieco, gdy usłyszał o moście, ale przecież westchnął:—Ale honor, sąsiedzie, gdzie jest nasz honor!

— Będzie to jakoś, będzie. A honor, no, jak honor.

Z kuchni wyszła jedna z kucharek i szepnęła kuratorowi, aby uraczyli furmanów i Podbrzezian!

Zabrał tedy głos kurator:

— E, co się będziemy darmo gniewać? Pójdźcie do mnie!—I prowadził ich do swojego domu.

Kowal Stefan nazajutrz przy odjeździe wizytacyi strzelał ze swych moździerzy, że się aż rozlegało. Jego dostojność, usłyszawszy o wszystkim, zaśmiał się szczerze i powiedział słówko i tej drugiej stronie. Ja wkrótce po wizycie biskupiej byłem wybrany dzwonnikiem i piastowałem tę godność do czasu, kiedy mnie ożenili. Urzędy i gminy pojedynały się i wyrównały, jak o tem mówią rachunki kuratora anno 18.. gdzie pod rubryką: „jak była ta wielgo wizyta,” czytamy:

potbżeski urzont wobesne holb 7

potbżeski urzont pocesne za Judosa holb 5,



K O N I E C .



A. Pixewski

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. Powieści poetyckie, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *2, 3 i 4. Bolesławita. Tułacze, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. Psychologia rozwoju narodów, z przedmową *Juliana Ochowicza*.
- *6. Eliza Orzeszkowa. Trzy nowelle, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *7. Iwan Turgeniew. Z zapisek myśliwego, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- *8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. Dzieje Księstwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. Cudna Mieszczka, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. Psalterz Dawidów, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. Zakopane skarby, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. Czarna Perelka, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *16. Julian Mohort i Klemens Junosza. Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *17. Teodor Jeske-Choiński. Stfumione Iskry, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. Poemata, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *19. Władysław Smoleński. Szkoły historyczne w Polsce (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. Szkice i obrazki, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. Władysław Łokietek, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
- *24. Roman Plenkwicz. Kształcenie młodzieży (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochowicza*.
- *25. Zygmunt Krasiński. Irydyon, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Tom.

- *26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. *Pojata, córka Lezdejki*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *30. Julian Ochorowicz. *Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu*, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
- *31. Klemens Junosza. *Na zgliszczach*, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *32 i 33. Anna Potocka. *Pamiętniki*, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. *Wyprawa André'e go balonem do bieguna*, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- *35 i 36. Berta baronowa Suttner. *Precz z orężem!* historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. *Pamiętniki Seglasy*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. *Podróż do bieguna północnego*, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. *Rok dziewięćdziesiąty trzeci*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. *Dziennik Franciszki Krasieńskiej*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. *Nowe dziedziny widma*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. *Książę Srebrny*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *47. Juliusz Słowacki. *Beniowski*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *48 i 49. Teodor Tomasz Jez. *Szandor Kowacz*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *50. Adam Krechowicki. *Stella*. — *Tartówna*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Krahermer. *Syberja i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej*, w tłumaczu i z przedmową *Włodz. Trąpczyńskiego*.
- **52, 53, 54, 58. *Dzieje Narodu Polskiego*, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.
55. Adolf Dygasiński. *Wilk, psy i ludzie*. — *W puszczy*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. *Przygody Huck'a*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *59. *Pamiętniki Franciszka Karpińskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *60, 61. J. I. Kraszewski. *Barani Kozuszek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. *Straszny Dziadunio*, z przedmową *Adama Ptuga*.
- *63, 64, 65. L. Gallet. *Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac*, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.

Tom.

- 66, 67. Oskar Mysing. *Berezyna*, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąpczyńskiego*.
- *68. Konstanty Rengarten. *Pieszko do Chin*, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *69. C. F. Gordon Cumming. *Życie w Chinach*, w przekładzie dra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *70. Michał Bałucki. *Przekłęte pieniądze*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. *Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *73. 74. Kajetan Kraszewski. *Bartochowski*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. *Don Kiszot*, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami G. Dorého.
81. Edmund Biernacki. *Istota i granice wiedzy lekarskiej*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. *Obrazy z życia na Wschodzie*, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.
84. Stanisław Grudziński. *Półpanek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jez. *Nad rzekami Babilonu*. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choiński. *Historyczna powieść polska*. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. *Wybór poezji*, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 91. *Pamiętniki Szymona Konopackiego*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzyński. *Nowelle*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
- I. Piotr Chmielowski. *Historja Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.
92. S. M. Roguski. *Wilcze gardła*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 93, 94. *Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a*, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
95. Ks. A. Brykczyński. *Listy z Włoch o sztuce kościelnej*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 96, 97. Oskar Mysing. *Wróg Napoleona*, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. *Serce kamienne*, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. *Słowacy ich życie i literatura*, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. *Całą siłą*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- II. Piotr Chmielowski. *Historja Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami i mapką.
- 106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci**. Powieść z czasów kampanii węgierskiej.
109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracjami.
110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
111. **Pamiętnik Generała Wysockiego**, z ilustracjami.
112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz**, powieść z przedmową *Juliana Mohorta*.
- III. Piotr Chmielowski. **Historia Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
- 113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustr.
- Rok 1900.**
115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane**, (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara*.
- 117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona**, powieść historyczna.
- 121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. **Zmartwychwstanie**, powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- IV. Piotr Chmielowski. **Historia Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
126. John Ruskin. **Gałązka dzikiej oliwy**, w przekładzie W. Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
127. Włodzimierz Zagórski. **Humoreski**
- 128, 129. Walerya Marrené-Morzkowska. **Błędne koła**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*
- 130, 131. Szymon Konopacki. **Moja druga młodość**, trzeci i czwarty tom pamiętników
132. Ewweli-Bej. **Suryawansa**. Powieść na tle życia Ormian tureckich.
- 133, 134. Dr. Józef Siemiradzki. **Szlakiem wychodźców**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, (z ilustracjami).
135. A. Komorowski. **Wspomnienia Pedchorążego**, (z ilustracjami).
136. Marcin Kukuczyn (Maciej Bencur). **Obrazki i Nowelle** z przedmową *Wawrzyńca Szrobara*.

9267A

